

**PROF. MARIAN SZAMATOWICZ
MILION PAR CZEKA NA DZIECKO**

**PROF. RYSZARD KOZIOŁEK
REKTOR NA TRUDNE CZASY**

**FRANCJA WALCZY
Z ISLAMSKIM TERRORYZMEM**

**POWIATOWE SANEPIDY:
ROZPACZ I SKARGI**



OSKARŻAMY



**POMÓŻ KUPIĆ CIEPŁY OBIAD
DLA NASZYCH SENIORÓW!**

Zasil zrzutkę:
zrzutka.pl/seniorwkoronie

TY też możesz czynić dobro!

Więcej o nas przeczytasz w grupie na Facebooku:

SENIOR W KORONIE - wsparcie dla starszych osób w czasie pandemii covid-19

Znajdziesz nas też na Instagramie: www.instagram.com/senior_w_koronie/

CYTATY

BILL GATES,
informatyk,
przedsiębiorca

*Dwie dawki
dziennie, po 3 dol.
na człowieka...
Wystarczyłoby
40 mld dol., żeby
zaszczepić cały świat.*
„Forum”

PAWEŁ GRZESIOWSKI,
immunolog

*To, co się dzieje,
jest katastrofą, którą
nikt nie zarządza.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

HANNA KRALL,
reporterka

*Aktualna polityka
historyczna jest walką
z pamięcią prawdziwą.*
„Wysokie Obcasy”

JERZY HAUSNER,
były wicepremier

*Inflacja jest powyżej
4%, a takiej nie można
lekceważyć. NBP
nic nie robi.*
„Rzeczpospolita”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Piekło za życia

Jeśli wierzą? Jeśli sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, zarówno ci legalni, bo wybrani zgodnie z procedurami, jak i politycy partyjni skierowani tam przez PiS, wierzą w niebo i piekło, to nie muszą czekać na to, co jest po śmierci. Swoim wyrokiem sprawili, że tysiące polskich kobiet będzie miało piekło na ziemi. Instytucja o śladowej wiarygodności podjęła decyzję na gwizdek polityków. W błyskawicznym tempie wprowadziła w nasze życie społeczne jeszcze więcej barbarzyństwa. Życie rujnują kobietom prawnicy hipokryci i cynicy schowani za sztandarami religijnymi. Choć sami są w większości zaprzeczeniem wartości chrześcijańskich. Zakazać i nakazać. Uwielbiają te słowa. Nie wierzą w wieczne potępienie, wolą kary doczesne. A najbardziej karę więzienia. Tysiące kobiet i lekarzy w więzieniu ma być drogą do wychowania społeczeństwa.

Życie setek tysięcy Polek i bez tego wyroku Trybunału było okropne. Znany jest los samotnych matek wychowujących niepełnosprawne dzieci. Bieda, a często nędza i ciężka harówka. By jakoś przeżyć. Pozostaje bezradne liczenie na zaległe alimenty. Innym – czekanie na spokojny dzień. Bez maltretowania i gwałcenia przez często pijanych mężów i partnerów. W tysiącach polskich rodzin kobiety i dzieci zderzają się z domowym piekłem. I co? Czy ktoś jako tako rozgarnięty o tym nie wie? A przecież tak jest wszędzie. Od małej wioski po Warszawę. Mapa Polski jest gęsta od ponurych szlaków cierpień kobiet i dzieci. Wiemy o tym. Wystarczy uczciwie przeanalizować statystykę policyjną. Ile jest kobiet zamordowanych, ciężko okaleczonych, wygnanych na bruk? A maltretowanych i bitych nawet się nie liczy.

Moment, w którym prezes PiS polecił całkowicie od niego zależnej prezes Trybunału zajęcie się wnioskiem prawicowych polityków, jest cyniczną próbą przykrycia ponad 4 tys. ofiar COVID-19. Śmierci, których mogłoby nie być, gdyby nie skrajna nieudolność rządu.

Tym ludziom nic nie wychodzi. Efekty bredzenia o strategii i przygotowaniach do ratowania życia i zdrowia Polaków widzimy w setkach kolejnych nekrologów.

Prawicowym fundamentalistom od lat dedykuję tę samą radę: nie chcecie aborcji, to jej sobie nie róbcie. Zaczniście od siebie. Od polityków PiS, Solidarnej Polski czy Konfederacji. Od księży i zakonników. Bo lista tych, którzy zmusili swoje żony lub partnerki do aborcji, jest za wielka na łamy PRZEGLĄDU. Wiedza o tym nie jest tak tajna, jak myślicie. A jeśli chcecie się przekonać, co o waszych pomysłach sądzą Polki i Polacy, zróbcie referendum.

JAKA LEWICA MA W POLSCE PRZYSZŁOŚĆ?



We wtorek o godz. 17.00
na naszym kanale na YouTube
Robert Walenciak będzie
o tym rozmawiał
z Jakubem Dymkiem.

Subskrybuj nasz kanał i bądź zawsze na czasie!

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Oskarżamy**
Rządzący nie mają planu walki z COVID-19
- 12 Wiedziałam, że urodzę trupa**
- 14 Rektor na trudne czasy**
– rozmowa z prof. Ryszardem Koziółkiem
- 16 Nierówna walka**
Zapaść w powiatowych sanepidach
- 20 Pożegnania w czasach zarazy**
– rozmowa z Katarzyną Czajkowską-Łukasiewicz
Czajkowską-Łukasiewicz
- 52 Pamięć zaklęta w plastik**
Sztuczne tworzywa na cmentarzach

ZAGRANICA

- 24 Francja ma dość**
Nowy etap walki z islamskim terroryzmem
- 28 Co się stało z partią ludu?**
Demokraci w USA i biali robotnicy
- 32 Wierzą autorytetom**
Duńskie sukcesy w walce z COVID-19
- 34 Polskie sądy niewiarygodne**
Problemy z ekstradycją
- 36 Premia za wirusa**
Po wyborach w Wiedniu
- 56 Uratować orangutany**

OPINIE

- 38 Marian Szamatowicz**
Balon hipokryzji musi pęknąć
- 40 Zbyszek Zaborowski**
Czego brakuje lewicy w Polsce?

PRZEGŁĄD ZWIĄZKOWY

- 41 Praca zdalna na nowo?**

HISTORIA

- 42 Dwaj obrońcy drukarni „Wolność”**

KULTURA

- 44 Powrót Stacha z Warty**
Zapomniany Stanisław Szukalski
- 48 Degustator**
Wojciech Pszoniak 1942 – 2020
- 66 Paweł Althamer, Artur Żmijewski**
Pieśń ostateczna

NAUKA

- 58 Prognozy z internetu**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Piekło za życia
- 13 Jan Widacki**
Mecenas Giertych
- 19 Roman Kurkiewicz**
Nasza narodowa śmierć
- 23 Andrzej Szahaj**
To brzydkie słowo na w
- 31 Tomasz Jastrun**
Początek katastrofy
- 51 Wojciech Kuczek**
Tańczący diabeł
- 55 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Polski wstyd



20
WYWIAD

POŻEGNANIA W CZASACH ZARAŻY

– rozmowa z Katarzyną Czajkowską-Łukasiewicz



24
ZAGRANICA

FRANCJA MA DOŚĆ

Nowy etap walki z islamskim terroryzmem



56
EKOLOGIA

URATOWAĆ ORANGUTANY

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS,
JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, JAKUB ORZĘCHOWSKI/AGENCJA GAZETA (2)



Prof. Boleśław Samoliński

Choroby nie czekają
na koniec pandemii

Jacek Pańkiewicz

Oszukany przez MSZ

Joanna Hetman-Krajewska

Rozwody w czasie zarazy



Historia pewnej habilitacji

Trzeba mieć miedziane czoło, żeby z czymś takim ubiegać się o habilitację. Promotor Czarnka był jedynym specjalistą w dziedzinie habilitacji, reszta kolegium nie bardzo znała się na problematyce. No i ta wierność – ten sam promotor pracy magisterskiej, doktoratu, habilitacji. Razem piszą naukowe wypracowania... Piękny minister.



Antoni Oleksicki

Twierdzi też pan profesor, że reforma Zalewskiej „zabrała (dzieciom) znakomitych nauczycieli”. To nieprawda. Część nauczycieli gimnazjów przeszła do liceów, a większość do szkół podstawowych. Uczniowie nic na tym nie stracili.

Zdziwiło mnie stwierdzenie, jakoby w okresie międzywojennym „polska edukacja należała do wiodących w Europie”. Może dotyczyło to elitarnych szkół w dużych miastach, jednak całość nie przedstawiała się już tak kolorowo. Wystarczy wspomnieć, że w 1931 r. ponad 23% obywateli RP powyżej 10. roku życia było analfabetami i był to jeden z najgorszych wyników w Europie. Z relacji moich przodków wiem, że edukacja, zwłaszcza na prowincji, kończyła się wtedy najczęściej na VI klasie i była na bardzo niskim poziomie. Tylko dobrze sytuowani mogli kontynuować naukę.

Włodzimierz Mytnik, Kraków



Oświatowa kontrrewolucja

Z perspektywy doświadczenia wyniesionego z przeszło 40-letniej pracy w oświacie podzielam opinię prof. Bogusława Śliwerskiego (PRZEGŁĄD nr 42) na temat kiepskiego stanu edukacji. Trudno jednak się zgodzić z niektórymi jego stwierdzeniami.

Prof. Śliwerski idealizuje trochę gimnazja i przyczernia obraz (nie twierdząc, że wspaniały) reformy minister Zalewskiej. Zapomina, że gimnazja nie cieszyły się zbyt dobrą opinią. W sondażach przed reformą większość ankietowanych (w tym nauczycieli) opowiadała się za ich likwidacją. Reforma gimnazjalna przyczyniła się do upadku wielu małych szkół podstawowych, bo samorządom nie opłacało się utrzymywać szkół z sześcioma (zamiast ośmioma) rocznikami. To wtedy wydłużyła się droga dziecka do szkoły, bo gimnazjum też było najczęściej dalej od domu niż podstawówka. Reforma Zalewskiej odwróciła ten trend. Gimnazja nie wyrównywały poziomu kształcenia, ale zwiększały nierówności – już po VI klasie (a nie jak przedtem po VIII) zaczynał się wyścig do szkół renomowanych, które natychmiast pojawiły się na rynku edukacyjnym, w ślad za tym rozrósł się rynek korepetycji itd.



Czego brakuje lewicy

Tzw. lewica ze względu na swój eklektyzm, aspiracje do reprezentowania wszystkich, chęć bycia lepszą w tej reprezentacji niż środowiska nominalnej prawicy, nacjonalistów, tzw. liberałów, sama dokonuje swojej anihilacji, sprzyja dezorientacji własnych członków. Oni właściwie nie wiedzą, do czego ma się sprowadzać lewicowa aktywność, czyje ma reprezentować interesy ekonomiczno-klasowe. *Clou* lewicowości było zawsze przekonanie o dążeniu do przekształcenia rzeczywistości materialno-społecznej w interesie danych klas społecznych. Taki dobór kadr na dobrą sprawę nie zaczął się wczoraj, można by wręcz stwierdzić, że już za PRL, tylko skutki są dzisiaj bardziej widoczne.

Paweł Kotras



ZDJĘCIE TYGODNIA

Gazem w kobiety i ich prawo do decydowania o swoim ciele. Protest pod domem Jarosława Kaczyńskiego po orzeczeniu przez Trybunał Konstytucyjny niezgodności z konstytucją przepisów o tzw. aborcji eugenicznej, 22 października.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy 1 listopada cmentarze powinny być zamknięte?

DR MAGDALENA KOZELA,
*Instytut Zdrowia Publicznego
Collegium Medicum UJ*

Od pewnego czasu zamknięte cmentarze źle się w Polsce kojarzą, przynajmniej części społeczeństwa. Natomiast jeśli chodzi wyłącznie o względy epidemiczne, zamknięcie cmentarzy na jeden dzień nie wydaje mi się dobrym pomysłem. Konsekwencją takiej decyzji mógłby być większy ruch w sobotę poprzedzającą święto oraz w Dzień Zaduszny, a więc osiągnęlibyśmy efekt odwrotny do zamierzonego. Poza tym w wielu miejscach na cmentarzach w tym roku nie odbędą się msze, a więc zgromadzenia, na których można było się spodziewać dużego odsetka osób starszych. Brak zakazu nie powinien zatem znacząco odbić się na statystykach zachorowań, jeśli tylko odwiedzający groby będą postępowali rozsądnie: rozłożą wizyty na więcej dni, o co apeluje również Kościół, będą zachowywać zalecany dystans itd. Oczywiście wprowadzanie zakazów i nakazów w czasie epidemii jest nieuniknione, ale równie ważna jest indywidualna odpowiedzialność za zdrowie swoje i innych. I to ona w przypadku wizyt na cmentarzach wydaje się

kluczowa. Sami musimy rzetelnie przeanalizować ryzyko i zdecydować, czy powinniśmy iść na cmentarz w Święto Zmarłych, czy możemy to zrobić kilka dni wcześniej lub później – a babci doradzić, żeby jednak została w domu.

JOANNA WICHA,
pielęgniarka i socjolożka, Lewica Razem

Byłoby to hipokryzją, skoro np. kościoły pozostają otwarte. Ograniczyłabym się do apelowania do społeczeństwa o rozłożenie wizyt na cmentarzach na przestrzeni dwóch najbliższych tygodni. Przekonujemy innych, żeby rozsądnie podeszli do sprawy, dzięki czemu każdy będzie mógł bezpiecznie odwiedzić groby bliskich.

KRZYSZTOF WOLICKI,
Polskie Stowarzyszenie Pogrzebowe

Wystarczy rozłożenie wizyt na kilka dni przed tą datą i po niej oraz rezygnacja z odwiedzania cmentarzy przez osoby starsze. Po co mamy dodatkowo stresować ludzi zakazem, wielu szykowało się do tych świąt. Oczywiście nie mamy pewności, że społeczeństwo rozsądnie podejdzie do sprawy, jednak myślę, że przyjdzie jakieś opamiętanie. Mam te-

ściów po osiemdziesiątce i jak im powiedziałem, że absolutnie nie powinni tego dnia iść na cmentarz, to była wielka awantura, ale ostatecznie przyznali mi rację. Ja już odwiedziłem groby bliskich i zapaliłem znicze. Zadbajmy, żebyśmy za rok 1 listopada spotkali się na cmentarzach, a nie byli na nich odwiedzani.

Czytelnicy PRZEGŁADU
WOJCIECH CHMIELEWSKI

Oczywiście, że powinni. Zakaz powinien obowiązywać już teraz.

BOŻENA MIERNIK

Tak, powinny być zamknięte. Polacy mają mocno zakodowane, żeby tego dnia ruszać na groby, wszędzie są tłumy ludzi. W większości robią to na pokaz dla rodziny, bliskich i znajomych.

WŁODZIMIERZ ZIELICZ

Problem jest źle postawiony! Sam cmentarz – duży, zielony park, gdzie ludzie są od siebie dość daleko – nie jest niebezpieczny! Niebezpieczny jest dojazd na wielkie cmentarze w tłoku, dlatego należy to jakoś rozśrodkować.

Not. Michał Sobczyk

OSKARŻAMY

Rządzący nie mają i nigdy nie mieli realnego planu walki z COVID-19

Marek Czarkowski

Piątek, 23 października: 13 632 nowe zakażenia, 153 zmarłych, u których stwierdzono SARS-CoV-2. Karetki z pacjentami odsyłane od szpitala do szpitala, lekarze dyżurujący pięć dob bez przerwy, pielęgniarki na skraju wyczerpania, zajęta większość łóżek dla pacjentów z COVID-19 i większość respiratorów potrzebnych dla walczących o przeżycie. Oto obraz Polski w drugiej fali pandemii. W kolejnych dniach i tygodniach będzie jeszcze gorzej. Pandemia wymknęła się spod kontroli i nikt nie wie, ile ofiar pochłonie. Już jest 4171 zmarłych i tysiące z ciężkimi powikłaniami. Za kilka miesięcy może to być 40 albo 60 tys.

Płacimy straszliwą cenę za arogancję, niekompetencję, tumiwiśmizm, lekceważenie faktów, bezczelne kłamstwa i żalosną wiarę, że „jakoś to będzie”, rządu Mateusza Morawieckiego. Przyjdzie czas, gdy ci panowie odpowiedzą przed sądem za to, co zrobili i czego nie zrobili.

Błędy z zaniechania

Rządzący nie mają i nigdy nie mieli realnego planu walki z COVID-19. Zajmowali się rywalizacją o stołki, wyborami korespondencyjnymi oraz nachalną promocją urzędującego prezydenta. Niewygodne fakty ignorowano.

Agencja Wywiadu, która bezpośrednio podlega premierowi, już w styczniu informowała, że w Chinach pojawiła się nieznana choroba. Że zagrożenie jest realne i należy się na nie przygotować. Premier Morawiecki nie kiwnął palcem.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski wybrał się w lutym na narty do Włoch, zamiast zadbać o dodatkowe środki, także materialne, przygotować lekarzy, pielęgniarki, ratowników

medycznych i szpitale na nadchodzącą pandemię.

Agencja Rezerw Materiałowych, nad którą nadzór sprawuje wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, nie zaczęła w styczniu i lutym gromadzić niezbędnych zapasów sprzętu medycznego i środków ochrony. Przeciwnie! Właśnie się ich pozbywała!

Minister edukacji Dariusz Piontowski uważał, że nie ma potrzeby zamykania szkół czy odwoływania zajęć w związku z koronawirusem. Dowodził, że to samorządy i dyrektorzy muszą zadbać o bezpieczeństwo uczniów.

29 lutego br., gdy było jasne, że katastrofalnie brakuje maseczek, kombinezonów, respiratorów, testów i płynów do dezynfekcji, główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas błysnął „genitalnym” poczuciem

Płacimy straszliwą cenę za arogancję, niekompetencję, lekceważenie faktów, kłamstwa i żalosną wiarę rządzących w to, że „jakoś to będzie”.

humoru, radząc, by politycy, „którzy posługują się koronawirusem jako elementem gry politycznej, włożyli sobie łód do majtek”. Zapewniał jednocześnie, że „strona rządowa prowadzi (w kwestii pandemii) racjonalną politykę”.

Wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński na Twitterze informował, że „do bazy rezerw w Porębach dojechał transport maseczek dla personelu medycznego. Udało się dzięki wsparciu @MorawieckiM, energii @JEmilewicz, a przede wszystkim gestowi firmy Mercator Medical, która nie wzięła za to ani złotówki”.

Maseczek miało być 50 tys., co było kroplą w morzu potrzeb. Cieszyński nie wspominał, że dwa tygodnie wcześniej Agencja Rezerw Materiałowych pozbyła się 63 tys. wysokiej

klasy specjalistycznych francuskich masek neoprenowych. Sprzedawała je po 10 zł za sztukę. W marcu na aukcjach internetowych można było te maski kupić po 300-400 zł.

Na handlu tym towarem można było nieźle się wzbogacić. Tak jak trener narciarski Łukasz G., który powołując się na znajomość z ministrem Szumowskim i jego bratem, za 5 mln zł sprzedał Ministerstwu Zdrowia chińskie maseczki chirurgiczne ze sfałszowanym certyfikatem. Gdy resort się o tym dowiedział i wiceminister Cieszyński zażądał zwrotu pieniędzy, G. pokazał mu gest posłanki Lichockiej. Sprawa będzie miała finał w sądzie.

Były handlarz bronią Andrzej I., prezes lubelskiej spółki E & K, postanowił zarobić na respiratorach. Dostawa 1241 tych niezwykle potrzebnych urządzeń miała zostać

zrealizowana do końca czerwca br. Spółka E & K otrzymała od Ministerstwa Zdrowia niemal natychmiast 154 mln zł zaliczki z 200 mln, na które opiewała umowa. Krąży też informacja, że umowa ta była znacznie szersza, miało bowiem chodzić o 2,2 tys. respiratorów za 370 mln zł, jednak spółka E & K nie wywiązała się z niej. Panowie Szumowski i Cieszyński publicznie zapewniali, że wszystko jest w porządku, i przekonywali, że „maseczki kupiliby nawet od diabła”.

10 kwietnia br. wiceminister Cieszyński podpisał umowę na zakup miliona wykrywających koronawirusa testów antygenowych produkcji koreańskiej firmy PCL. Miało to kosztować 29,6 mln dol. Ostatecznie do Polski trafiła połowa zamówienia. Zapłaciliśmy niecałe 15 mln dol.



Transport środków ochrony medycznej z Chin 14 kwietnia witali na lotnisku premier Morawiecki i wicepremier Sasin.

Według Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny zgodność wyników tych testów była „na poziomie 57% wzwyż – w zależności od ilości wirusa w badanej próbce”. Testy trafiły na oddziały ratunkowe szpitali, co mogło być groźne dla pacjentów, ratowników medycznych i lekarzy, bo nie było gwarancji, że wynik testu jest prawidłowy. Równie dobrze można by rzucać monetą.

Gdy pod koniec maja wypłynęła informacja, że Ministerstwo Zdrowia zleciło firmie Żabka Polska opracowanie i aktualizację algorytmów służących do modelowania ruchu pacjentów zakażonych lub podejrzanych o zakażenie koronawirusem, posłowie Koalicji Obywatelskiej złożyli w Sejmie wniosek o wotum nieufności wobec ministra Szumowskiego. Jednak został on sprawnie odrzucony na początku czerwca br. głosami posłów Zjednoczonej Prawicy.

Uciekający minister

W połowie sierpnia br. najpierw wiceminister Janusz Cieszyński, a dzień później minister Łukasz Szumowski podali się do dymisji. Było to doskonałe posunięcie. Gdyby ten duet przetrwał w resorcie do dziś, gdy liczba osób, u których wykryto

koronawirusa, wynosi kilkanaście tysięcy dziennie, zostałby zlinchowany za to, że nie przygotował Polski na nadejście drugiej fali pandemii.

Lansować się na COVID-19 postanowił również Mateusz Morawiecki. 14 kwietnia br., kilka minut przed godz. 10, na lotnisku im. Fryderyka Chopina na Okęciu wylądował największy samolot transportowy świata, An-225 Mrija. Przywiózł z Chin partię środków ochrony medycznej, w tym maseczek chirurgicznych zakupionych na zlecenie rządu przez KGHM Polska Miedź i Grupę Lotos. Witał go premier w towarzystwie ministra aktywów państwowych Jacka Sasina i prezesa miedziowej spółki Marcina Chłodzińskiego.

Wszystko byłoby OK, gdyby nie okazało się tydzień później, że „certyfikat” obejmujący owe maseczki wystawiła włoska firma ECM niemająca prawa do nadawania środkom ochrony indywidualnej znaku CE, oznaczającego zgodność z normami unijnymi. Propagandowy sukces Morawieckiego zmienił się w żalosną hucpę.

Co gorsza, po kilku tygodniach w kręgach towarzyskich stolicy zaczęły krążyć plotki, że za tym „air show” stała Agencja Wywiadu, która postanowiła się dokapitalizować. Jak? Przez podstawione spółki kupiła

w Chinach za grosze transport maseczek – jak się okazało trefnych – który następnie został sprzedany KGHM już za grube miliony dolarów. Polecenie miał wydać prezesowi Chłodzińskiemu premier Morawiecki.

Jeśli to prawda, rodzi się pytanie, czy w sprawie respiratorów zakupionych w lubelskiej firmie E & K nie realizowano identycznego scenariusza. Handel bronią na dużą skalę, zwłaszcza nielegalny, nie jest w Polsce możliwy bez współpracy ze służbami specjalnymi.

Podobna próba „dokapitalizowania” miała miejsce w latach 90., gdy Urząd Ochrony Państwa zorganizował operację pod kryptonimem „Zielone Bingo”. Jej celem było zarobienie na debiucie giełdowym akcji TUIR Warta SA. Skąd o tym wiemy? Bo UOP stracił część funduszu operacyjnego i sprawa trafiła do prokuratury.

Dziś w kwestiach maseczek od trenera narciarskiego i respiratorów, które miała dostarczyć spółka byłego handlarza bronią, kompetentne organy wykazują daleko idącą powściągliwość, prowadząc postępowania w sprawie, choć fakty i główni bohaterowie są znani. A liderzy Prawa i Sprawiedliwości forsują w Sejmie pakiet ustaw „bezkarność+”, które mają zapewnić nietykalność

► m.in. ministrom Szumowskiemu i Cieszyńskiemu.

24 sierpnia br. prokurator generalny Zbigniew Ziobro, mówiąc o byłym ministrze zdrowia, oświadczył: „Nie widzę powodów, by miał się bać odpowiedzialności”. Czy trzeba więcej dowodów, kto tu kogo kryje?

Silni, zwarczi, gotowi... i zaskoczeni

18 marca br. premier Morawiecki w programie TVP zapewniał, że „przygotowania do zwiększonej liczby przypadków koronawirusa przebiegają codziennie. Rozpoczęliśmy te przygotowania parę miesięcy temu, kiedy usłyszeliśmy, bodaj 9 stycznia, o przypadkach koronawirusa”.

Dziś wiemy, że premier ordynarnie mijał się z prawdą. Nie było żadnych przygotowań. Rząd i politycy PiS zostali na przełomie lutego i marca zaskoczeni skalą dramatu. Kiedy oglądali w telewizyjnych wiadomościach obrazy z północnych Włoch, pandemia zaczęła im się kojarzyć z powodzią, której skala jest trudna do przewidzenia, ale której skutki można minimalizować. Dominowało przekonanie, że „na każdej powodzi można też wypłynąć”!

Pierwszy spróbował szczęścia minister zdrowia Łukasz Szumowski. 26 lutego br. pytany w stacji RMF FM, gdzie był w tym roku na nartach,

Jeśli władze mówią, że nikt nie był w stanie przewidzieć takiego wzrostu liczby zarażonych, to kłamią.

przyznał: „Byłem we Włoszech”, a po chwili dodał: „Ani się nie przebadałem, ani się nie zbadałem, nie poszedłem na kwarantannę. Poszedłem do pracy i kontrolowałem swój stan”. Gdy prowadzący zapytał o maseczki chirurgiczne, minister oświadczył z uśmiechem: „One nie zabezpieczają przed wirusem, one nie zabezpieczają przed zachorowaniem. Na pewno nie pomagają”.

Nic dziwnego, że do niedawna najbardziej prominentni politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim na czele ostentacyjnie pokazywali się w miejscach publicznych bez maseczek, nie zachowując przy tym dystansu społecznego. Tymczasem zwykłych obywateli policja i sanepid okładały



Zmarłych na COVID-19 chowa się w metalowych trumnach. 2 września 2020 r., Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny Nr 1 w Lublinie.

mandatami i karami administracyjnymi w przedziale od 500 zł do 10 tys.

Niekompetencja i tumiwisizm rządzących zaczęły zabijać, gdy COVID-19 pojawił się w domach pomocy społecznej. Część pracowników uciekła, ci, co zostali, nadludzkim wysiłkiem starali się pomóc podopiecznym, najczęściej osobom starszym i schorowanym. Śmierć zbierała w tych placówkach srogie żniwo.

Państwo wcześniej nie zrobiło nic. Nie ostrzegło. Nie było przygotowane na taki dramat. Reagowało za późno. Co gorsza, w czerwcu złagodzone zostały obostrzenia i Polacy poczuli się swobodniej. A liderzy dawali przykład!

1 lipca br. w Tomaszowie Lubelskim na wiecu przedwyborczym premier Morawiecki mówił do zgromadzonych rolników: „Ja cieszę się, że coraz mniej obawiamy się tego wirusa, tej epidemii, i to jest dobre podejście, szanowni państwo. Bo on jest w odwrocie. Już teraz nie trzeba się go bać. Trzeba pójść na wybory, tłumnie, 12 lipca”.

6 lipca w Końskich, w czasie tzw. debaty prezydenckiej, prezydent Andrzej Duda zapewnił: „Absolutnie nie jestem zwolennikiem

jakichkolwiek szczepień obowiązkowych. Powiem państwu otwarcie, ja osobiście nigdy się nie zaszczepiłem na grypę. I uważam, że szczepienia na koronawirusa absolutnie nie powinny być obowiązkowe. Proszę bardzo, kto chce, jeżeli będzie szczepionka, niech się zaszczepi, ale kto nie chce, to jest jego osobista decyzja”.

Rząd, a zwłaszcza odpowiedzialny za sektor górniczy wicepremier Jacek Sasin, był zaskoczony, gdy COVID-19 uderzył w śląską aglomerację. Już w maju kopalnie ROW Ruch Janów w Rybniku, Murcki-Staszic w Katowicach i Sośnica w Gliwicach zostały zamknięte. W kopalniach Bobrek w Bytomiu i Pniówek w Pawłowicach wykryto ogniska SARS-CoV-2. W czerwcu zamknięto kilkanaście kolejnych kopalń, a region na stałe zagościł w czołówce województwa o największej liczbie zakażonych. Przy okazji ujawniły się wszystkie mankamenty służby zdrowia i nadzoru sanitarnego. Mieszkańcy Śląska godzinami czekali na ekipę, która pobierze od nich wymazy. Nie można było się dodzwonić do sanepidu. Jego pracownicy nie mogli sobie poradzić z ogromem zadań, jakie na nich się zwały. Były osoby, które z powodu chaosu organizacyjnego spędziły na kwarantannie sześć, a nawet siedem tygodni. Ginęły próbki, nie można było niczego się dowiedzieć.

Doszło do bezprecedensowej sytuacji – główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas 30 maja br. powołał na stanowisko wojewódzkiego inspektora sanitarnego dr. Grzegorza Hudzika, który pełnił tę funkcję w latach 2009-2015. Ktoś musiał opanować chaos na Śląsku.

Strategia? Jaka strategia?

Planowanie nigdy nie było mocną stroną rządu Mateusza Morawieckiego. Przygotowanie kraju na zapowiadaną przez naukowców i lekarzy drugą, jesienną falę pandemii COVID-19 przekraczało możliwości intelektualne i merytoryczne panów ministrów. Ale jeśli rządzący mówią, że „nikt nie był w stanie przewidzieć takiego wzrostu liczby zarażonych”, to kłamią.

Już w lipcu br. eksperci IHME (Instytutu Pomiarów i Oceny Stanu Zdrowia) z Waszyngtonu ogłosili swój model rozwoju pandemii koronawirusa w Polsce, z którego wynikało, że nabiera ona rozpędu. W ich ocenie na początku grudnia liczba chorych pilnie wymagających hospitalizacji wyniesie ponad 58 tys. 26 czerwca przed niekontrolowanym wybuchem epidemii w październiku

ostrzegał zespół naukowców złożony z matematyków Uniwersytetu Warszawskiego oraz ekspertów Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny.

Pod koniec sierpnia wiceminister zdrowia Waldemar Kraska pytany, czy możliwy jest scenariusz mówiący o kilku tysiącach zachorowań dziennie, odparł, że „tyle nie powinno być”, dodał jednak: „Możemy przekroczyć liczbę 1000 zakażeń dziennie”. Trzeba przyznać, że się nie pomylił. Liczba ta po siedmiu tygodniach została przekroczona dziesięciokrotnie!

3 września br. nowy minister zdrowia Adam Niedzielski przedstawiał na konferencji prasowej liczący kilkanaście stron dokument „Strategia walki z pandemią COVID-19”. Dziś trudno go znaleźć, bo został na początku października zastąpiony „Strategią walki z pandemią COVID-19. Wersja 2.0”. To kolejny dowód, że urzędnicy nie nadążają za biegiem zdarzeń i przygotowują plany działań na kolanie.

Resort nie ujawnia też nazwisk ekspertów, z których rad i opinii korzystał. W środę 21 października w wywiadzie udzielonym portalowi Onet.pl senator PiS Jan Maria Jackowski

powiedział, że prof. Andrzej Horban, doradca ministrowi Niedzielskiemu, stwierdził, że ostatnie pół roku nie zostało wykorzystane efektywnie. Trudno o lepszy komentarz.

Rządzący czekają dziś na cud. Dostałem z Ministerstwa Zdrowia informację, że umowa Komisji Europejskiej z koncernem AstraZeneca „gwarantuje dostęp pierwszej partii szczepionki już w grudniu 2020, jeżeli zostanie ona dopuszczona do obrotu, tym samym zabezpieczając część zapotrzebowania krajowego”. Jest zatem nadzieja, że Polska otrzyma swoją część pierwszej partii szczepionki przeciw SARS-CoV-2 za cztery-siedem tygodni. Szczepionka jest produkowana od sierpnia br., a jej końcowy etap – czyli pakowanie już wyprodukowanych dawek – odbywa się w zakładach w Anagni we Włoszech. Jeśli wszystko pójdzie dobrze i między grudniem 2020 r. a marcem 2021 r. Polska otrzyma szczepionkę, rząd Zjednoczonej Prawicy rozkręci taką akcję propagandową, jakiej jeszcze nie widzieliśmy. Ale mimo wszystko jest to dobra wiadomość.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl



POTRZEBNA JEST WOLA POLITYCZNA

Premier i ministrowie mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu

PROF. DR HAB. RYSZARD PIOTROWSKI,
*konstytucjonalista,
Uniwersytet Warszawski*

Premier i ministrowie mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu. Zależy to od okoliczności natury politycznej. Art. 68 ust. 4 konstytucji mówi o tym, że „władze publiczne są obowiązane do zwalczania chorób epidemicznych i zapobiegania negatywnym dla zdrowia skutkom degradacji środowiska”. To zobowiązanie ma charakter aktywny, można więc ocenić, w jakim stopniu mieliśmy do czynienia z działaniem władz publicznych, a w jakim stopniu z zaniechaniem. To konkret, który odnosi się do naruszenia konstytucji przez członków rządu.

Wiąże się to również z odpowiedzialnością za wykonywanie konstytucyjnych obowiązków przez Radę Ministrów. Przypomnę, że należy do nich w szczególności obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa wewnętrznego państwa i porządku publicznego. Co prawda, jest to sformułowanie ogólne, ale wynikające z niego obowiązki mogą także stanowić przedmiot oceny, która

będzie prowadziła do pociągnięcia do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu.

Gdyby to nie nastąpiło, istnieje możliwość dochodzenia szkody spowodowanej niezgodnym z prawem działaniem władzy publicznej. Choć uważam, że byłoby to bardzo trudne pod względem dowodowym.

W konstytucji jest też art. 38, który mówi: „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia”. Ma on ogólny charakter, dlatego moim zdaniem bardzo trudno byłoby dowieść, że rząd nie wywiązał się należycie z wynikających stąd obowiązków.

Pozwolę sobie na ogólną uwagę. Istnieje droga do pociągnięcia najwyższych urzędników państwowych do odpowiedzialności, ale jest ona uzależniona od czynników politycznych. Postawienie premiera czy ministrów przed Trybunałem Stanu wymaga odpowiedniej większości parlamentarnej. A ewentualna odpowiedzialność za naruszenie prawa, polegające na niedopełnieniu obowiązków, zależy od tego, w jakim stopniu sędziowie będą niezawisli, a sądy niezależne. Wszystko to razem zależy zaś od wyniku wyborów.

Wiedziałam, że urodzę trupa

22 października 2020 r. zalegalizowano w Polsce tortury

Anna Brzeska

Pamiętacie Państwo wstrząsającą historię dziecka, które „uratował” prof. Chazan? Prof. Romuald Dębski opisywał jego stan w TVN 24: „To jest dziecko, które nie ma połowy głowy, ma mózg na wierzchu, ma wiszącą gałkę oczną, ma rozszczep całej twarzy, nie ma mózgu w środku i będzie umierało przez najbliższy miesiąc albo dwa, bo ma zdrowe serce i zdrowe płuca, aż umrze w końcu z powodu jakiegoś zakażenia”.

To było sześć lat temu. Lekarz miał ze sobą w studiu zdjęcia innych niekształconych płodów, ale nie zdecydowano się na ich pokazanie. Były zbyt potworne.

Wtedy trudno byłoby uwierzyć, że kiedyś to wszystko może się dziać legalnie, na znacznie szerszą skalę, w majestacie prawa. Że spełni się mokry sen religijnych fanatyków. I będzie trzeba pokornie rodzic, cierpieć, wyć. Przy aplauzie Kai Godek, arcybiskupów, Kaczyńskiego i... Jadwigi Emilewicz, która już sygnalizuje na swoim Twitterze, że „należy z całą stanowczością odradzać diagnozy prenatalnej w celach selekcyjnych”.

A jednak to prawda. Co będzie dalej? Zakaz USG, badań prenatalnych? Jak daleko można się posunąć – w środku Europy, w XXI w.?

Oto fragmenty kolejnej przerażającej historii, tym razem Katarzyny Wójtowicz.

Kilkanaście lat temu zaszłam w ciążę. W 12. tygodniu trafiłam do szpitala. Patologia ciąży. Krwawiłam, miałam bóle i sączyły mi się wody. Lekarze zdecydowali – podtrzymujemy ciążę. Nikt mnie nie zapytał.

Postawiono moje łóżko na kołkach – tak, żeby macica znajdowała się wyżej niż głowa. W dwie ręce wbito igły, by móc podłączyć kroplówki. Leżałam niczym ukrzyżowany Chrystus (...).

Lekarze nic nie mówili. Kazali leżeć i się nie ruszać (...). Minął tydzień, czułam się strasznie. Bolała mnie głowa, brzuch, bolało mnie całe ciało (...).



Protest pod Trybunałem Konstytucyjnym, 22 października 2020 r.

Pielęgniarki komentowały – chcesz mieć dziecko, trzeba pocierpieć. (...)

Codziennie sprawdzano tętno dziecka. Dwa razy w tygodniu robiono mi USG. W milczeniu. Monitora nie odwracano w moją stronę. Niczego mi nie tłumaczono (...). Nie dopytywałam. Czułam się bardzo źle.

Na początku 23. tygodnia ciąży miałam wrażenie, że umieram. Przestałam czuć ruchy płodu. Zgłosiłam salowej, pielęgniarce, lekarzowi. Dostałam odpowiedź: „Młoda jest, to i ruchów nie wyczuwa. Leżymy. Podtrzymujemy”. Czułam się jak przedmiot. (...)

Dwa dni później – 24 grudnia – poprosiłam, aby mnie zbadano. (...) Odmówiono mi.

25 grudnia, korzystając z basenu, odkryłam, że coś wysunęło się z mojej macicy. Szok. Wrzask. Histeria.

Lekarz, pielęgniarka, lekarz. Cisza. Patrz. Myśl. Zostawiają samą. Minuty są wiecznością. W końcu informacja i decyzja: „Będziemy rodzić. Dostanie pani »prowakację«, bo dziecko nie żyje”.

Panika. Strach. Strach!

Zawieziono mnie na porodówkę. Zaplikowano środki dopochwowe i zastrzyk oraz podłączono kroplówkę. (...) Zaczął się poród. Nie krzyczałam. Płakałam cicho. Byłam sama. Wiedziałam, że urodzę trupa.

Starłam się. Bóle partu ustały w połowie porodu. Usłyszałam: „Jeszcze raz. Przyj! Mam już nogi”.

Nie mogłam. Poczułam szarpnięcie. Lekarz wyciągnął płód.

Usłyszałam: „Syn. Chce zobaczyć?”.

Pielęgniarka, która stała koło mnie, gwałtownie potrząsnęła głową. Zrozumiałam, że lepiej nie patrzeć...

Potem okazało się, że mój syn nawet nie przypominał człowieka. Niewykształcone kończyny. Uszy nie tam gdzie trzeba, twarz niewykształcona. Gdyby urodził się żywy, zmarłby zaraz po porodzie lub męczył się. Ile? Nie wiadomo. (...)

Przez kilka tygodni byłam w szpitalu. Miałam robione badania, USG. Te deformacje były widoczne. Lekarze wiedzieli. Zachowali to dla siebie. (...)

Zostałam z tym sama.

Myślałam o tych nóżkach.

Myślałam o tych deformacjach.

Chcąc pochować syna – Adrian – musiałam zidentyfikować ciało. Ciało, które oprócz nieludzkiego wyglądu zostało podane sekcji.

Powiedzieli: „Proszę przywieźć pieluszkę. Trzeba owinąć ciało. Ubranka się nie nadadzą”. (...)

Pogrzeb się odbył.

Pierwszy raz dzielię się moją historią publicznie. Już mogę.

Dla przestrogi. Dla zrozumienia. Dla oprzytomnienia.

Wstrząsające? Przyzwyczajajmy się, bo to jest wojna. PiS rozpętało ją właśnie na całego.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Mecenas Giertych

Zatrzymanie mecenas Giertycha, a już szczególnie jego forma, oraz przeszukanie prowadzonej przez niego kancelarii adwokackiej muszą budzić zasadniczy sprzeciw.

Nie wiem, czy Giertych jest winien, czy nie. Nie wiem, czy zatrzymanie było uzasadnione. Zapewne na wniosek obrońców Giertycha oceni to sąd. Wciąż jeszcze wierzę, że sąd może być niezależny, a poza tym rzetelny. Ale z całą pewnością forma była niedopuszczalna. Zgodnie z prawem taka czynność jak zatrzymanie dokonana być musi „w sposób możliwie najmniej naruszający dobra osoby zatrzymywanej”. Zatrzymywanie adwokata pod sądem, skuwanie go na oczach widzów, w obecności telewizyjnych kamer, na pewno nie spełniało tego wymogu. To nie nowość. Tak zatrzymywano za pierwszego PiS, zdarzało się, że tak zatrzymywano również w czasach, gdy PiS nie rządziło. Może warto sobie przypomnieć zatrzymanie przed laty ówczesnego generalnego konserwatora zabytków, który – jak się okazało dużo później – był niewinny, co potwierdził nawet Sąd Najwyższy, i to w czasie, gdy jeszcze zasiadali w nim wyłącznie sędziowie. Na miejscu zatrzymania obecne były aż trzy stacje telewizyjne, które – jak zapewniano – znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Transmisję, z komentarzem prokuratora, zobaczyła potem cała Polska na ekranach telewizorów. Wydaje się,

Przeszukanie kancelarii adwokackiej na wszelki wypadek jest zupełnie nie do pomyślenia w cywilizowanym państwie prawa. A u nas?

że dopóki ktoś, kto zarządził taką formę zatrzymania – obojętne, czy będzie to prokurator, czy funkcjonariusz policji lub CBA – nie odpowie karnie za przekroczenie uprawnień, takie widowiskowe zatrzymania będą się powtarzać.

Może kiedyś ktoś odpowie za to zatrzymanie Giertycha, które ewidentnie nie było dokonane w nakazany ustawą „sposób możliwie najmniej naruszający dobra osobiste zatrzymanego”?

Kolejna sprawa to przeszukanie kancelarii adwokackiej. Przypomnę: adwokat to zawód zaufania publicznego. Klienci powierzają mu swoje tajemnice, których część jest chroniona prawem tak samo jak tajemnica spowiedzi. To tajemnica obrończa. Z tej tajemnicy, podobnie jak z tajemnicy spowiedzi, nikt nie ma prawa adwokata zwolnić. Tajemnica ta obejmuje wszelkie informacje, które uzyskał, wykonując obronę. Ludzie o tym wiedzą i powierzają adwokatom w zaufaniu swoje największe sekrety. W zaufaniu do adwokata i do państwa. W zaufaniu, że adwokat ich nie ujawni ani nie wykorzysta ze szkodą dla klienta. Nie ujawni nawet dziennikarzowi „Gazety Wyborczej”, co Giertychowi – zdaje się – niedawno się zdarzyło. Dlatego

przeszukanie kancelarii adwokackiej to coś zupełnie nadzwyczajnego. Muszą być do tego ważne powody i przede wszystkim musi być wyjątkowo wysokie prawdopodobieństwo, że adwokat rzeczywiście popełnił przestępstwo, a w jego dokumentach są dowody niezbędne w śledztwie. Przeszukanie kancelarii na wszelki wypadek, a nuż znajdą się dowody jakiegoś przestępstwa, jest zupełnie nie do pomyślenia w cywilizowanym państwie prawa. A u nas?

Gdy już zachodzi konieczność przeszukania kancelarii adwokackiej, gdy prokuratura wie, czego szuka, do przeszukania doprasza się przedstawiciela samorządu adwokackiego. Podobno w przeszukaniu kancelarii mecenas Giertycha uczestniczył przedstawiciel rady adwokackiej, tyle że zaczęło się ono co najmniej godzinę przed jego przybyciem. Nawiasem mówiąc, przeszukanie robi się na ogół dopiero wówczas, gdy ktoś odmówi wydania obiektów (dokumentów), których żąda prokuratura. Gdyby zażądano wydania takich dokumentów, a Giertych je wydał, nie byłoby powodu grzebania we wszystkich dokumentach. Ale wtedy prokuratura musi wiedzieć, czego szuka, a nie „trałować” dokumenty adwokata jak leci, a nuż coś ciekawego się znajdzie.

Pamiętać też trzeba, że Roman Giertych jako adwokat reprezentował wiele osób ze świata polityki. Od pewnego czasu był zaufanym adwokatem czołówki Platformy Obywatelskiej. Szczerze mówiąc, nieco mnie to dziwiło, ale to nie moja sprawa. Podejrzewam, że dokumenty znajdujące się w jego kan-

celarii i zawartość dysku jego komputera były niezwykle ciekawe dla obozu władzy. Ileż tam haków można by wygrzebać!

Giertych nie jest bohaterem z mojej bajki. Pamiętam, jak wskrzeszał Młodzież Wszechpolską, jak zachowywał się w sejmowej komisji śledczej i jej kuluarach, jakim był wice-premierem przy Jarosławie Kaczyńskim i ministrem edukacji, jak porządkował kanon lektur szkolnych. I pamiętam, ile czasu mu zajęło, zanim się zorientował, że Kaczyński zjada „przystawki”, że już pożarł Leppera, a teraz nadchodzi czas, gdy zeżre jego. Od tamtej pory bardzo mu się odmieniło. Może nawet przeczytał coś Gombrowicza. Dość, że pokończyły go Platforma i liberalne media. Ładny obrazek Giertycha ustawiającego pseudosędziów Izby Dyscyplinarnej TVN pokazała kilkakrotnie. To rzeczywiście było ładne i odważne. Ale ja i tak mam przed oczyma Giertycha z komisji śledczej i u boku Kaczyńskiego. Ten obrazek nie był ani ładny, ani odważny. Mniejsza z tym. Największe pretensje mam do prokuratury o to, że stworzyła sytuację, w której – cholera! – ja muszę Giertychowi kibicować.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Rektor na trudne czasy

Rozwiązanie
wielu problemów,
a przede wszystkim
problemu
pandemii, przyjdzie
z uniwersytetów,
od ludzi nauki

**PROF. RYSZARD
KOZIOŁEK**

– rektor Uniwersytetu Śląskiego



Rozmawia Katarzyna Niedurny

Został pan rektorem Uniwersytetu Śląskiego w ciekawych czasach. Pandemia, sytuacja polityczna, wiele rzeczy dzieje się w Polsce i na świecie. Jaką rolę w tym zamieszaniu odgrywa uniwersytet?

– Ogromnie ważną. Rozwiązanie wielu problemów, a przede wszystkim problemu pandemii, przyjdzie z uniwersytetów, od ludzi nauki. To tam trwają prace nad szczepionką, lekami, strategią radzenia sobie z kryzysem, także klimatycznym. Uniwersytety zostały stworzone do tego, by rozwiązywać nasze ludzkie problemy. **Czy uniwersytet jest instytucją polityczną?**

– W tym najczęstszym rozumieniu słowa polityczny jest instytucją apolityczną, czyli pomyślaną w taki sposób, żeby kształcenie i badania nie były zależne od bieżącej polityki. Tak zapisana jest jego rola w konstytucjach wielu krajów, a zwłaszcza zachodnich demokracji, zapewniających mu eksterytorialność i wysoki stopień autonomii, pozwalających

na prowadzenie go zgodnie z wewnętrznymi statutami, ograniczając możliwość ingerencji w nim organów ścigania bez zgody rektora. Nauczanie i kształcenie rozwijają się najlepiej chronione przed polityką i agresywną ideologią. Apolityczne powinny być również przyznawane uniwersytetom dotacje. Potrzebujemy wsparcia, ale jako formy inwestycji społecznej w przyszłość. Nie może to być forma szantażu, że władza daje uczelniom pieniądze, a one w zamian robią to i to. Uczelnie, żeby pozostać apolityczne, również muszą być chronione przed agresywnym kapitałem, który będzie wymuszać środkami finansowymi określone badania lub sposób działania.

Uniwersytet zostaje wmieszany w rozgrywki nie tylko naukowe. Pojawiły się w mediach informacje o kolejnym ruchu prokuratury w postępowaniu w sprawie dr hab. Ewy Budzyńskiej. Studenci mają udostępnić notatki z prowadzonego przez nią przedmiotu jako materiał dowodowy.

– To bardzo złożona sprawa, która ciągnie się od długiego czasu.

Coraz trudniej zachować nam tu jasność widzenia. Zwłaszcza komuś, kto przygląda się temu z zewnątrz. Pani dr hab. Ewa Budzyńska nie jest już pracownikiem UŚ. Odeszła z niego na własną prośbę. Stało się to po wniesieniu skargi ze strony studentów, którzy poculi się dotknięci poglądami wygłaszanymi przez nią w formie prawd naukowych. Mają do tego prawo, podobnie jak pracownicy uczelni, którzy czują się dotknięci, urażeni, zbulwersowani zachowaniem studentów.

Skarga trafiła do ówczesnego rektora, który rozpatrzył jej treść i uznał za zasadną. W kolejnym kroku sprawa została skierowana do rzecznika dyscyplinarnego. Nie jesteśmy przecież w stanie od razu rozstrzygnąć rzetelności i uczciwości takiej skargi. Rzecznik po przesłuchaniu obu stron uznał, że studenci mieli prawo do jej wniesienia, i przekazał sprawę do komisji dyscyplinarnej, czyli rodzaju niezależnego sądu uczelni. Ten ma za zadanie wydanie orzeczenia i uznanie, czy sprawa ma być umorzona, czy ma doprowadzić do jakiejś formy kary, np. w formie upomnienia.

Sprawa toczy się długo z powodu nie celowej zwłoki, ale procedur uczelnianych. Z końcem kadencji poprzedniego rektora ustała działalność komisji dyscyplinarnej. Sprawa została wznowiona dopiero po wakacjach, kiedy powołano nową komisję.

Prof. Ryszard Koziołek – literaturoznawca, eseista, pisarz, wykładowca akademicki. Autor książek „Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy”, „Dobrze się myśli literaturą”, „Wiele tytułów”. Laureat Nagrody im. Kazimierza Wyki za wybitne osiągnięcia w dziedzinie eseistyki oraz krytyki literackiej i artystycznej.

A rektorowi po wielokroć zadaje się pytanie, dlaczego nie reaguje, co się dzieje. Formalnie od momentu skierowania sprawy do rzecznika rektor jest wyłączony z dochodzenia, nie ma nic do gadania i czeka, aż skończy się obradowanie. Dopiero po wydaniu orzeczenia zapoznaje się z nim.

A co z prokuraturą?

– Prokuratura równolegle podjęła dochodzenie na wniosek nieznanego mi oskarżyciela, który zarzucił studentom składanie fałszywych zeznań. Ta sprawa toczy się na zewnątrz uczelni z zupełnie innego powództwa, do czego tym bardziej nie mam wglądu. Budzi to jednak mój niepokój czy

– Może to nie są obawy, ale rodzaj dezaprobaty. Uważam, że to stanowi szczególnie wrażliwe społeczeństwo. W sytuacji zaś, w której szkoły powinny być świeckie, a uniwersytet autonomiczny, tak radykalne poglądy nie są dobrym prognostykiem. Z drugiej strony zdają sobie sprawę, że dzisiejsze media preferują osoby o ostrych i wyrazistych poglądach, które mają zdolność polaryzowania debaty publicznej. Tam mamy do czynienia z teatrem polityki w bardzo złym guście. Natomiast codzienna praca wymaga złagodzenia poglądów. Mam nadzieję, że stanie się tak i w tym wypadku. Natomiast po takich wypowiedziach

Wsparcie nie może być formą szantażu, że władza daje uczelniom pieniądze, a one robią to i to.

wręcz mnie bulwersuje, ponieważ traktuję to jako wyraz braku zaufania do uczelni i organów, które w tej sprawie rozstrzygają. Dotyczy ona tak naprawdę sporu światopoglądowego bądź pomieszczenia opinii z faktami naukowymi. Moim zdaniem nikt nie potrafi tego rozstrzygnąć lepiej niż sami naukowcy. Natomiast prokuratura podjęła działania w sprawie składania fałszywych zeznań, nie czekając na rozstrzygnięcie komisji dyscyplinarnej. Uważam to za działanie niezrozumiałe i nieuzasadnione.

Jeśli dobrze rozumiem, przedmiotem dochodzenia jest wymieszanie porządku naukowego ze światopoglądowym, nie zaś sama treść poglądów dr hab. Ewy Budzyńskiej?

– Nie wiem tego, ponieważ konkretne zarzuty znane są jedynie stronom i ich pełnomocnikom. Naukowiec może sobie pozwolić na przedstawienie swoich poglądów przy wyraźnym zaznaczeniu, że są to właśnie poglądy, i zapewnieniu uczestnikom zajęć pola do przedstawienia własnych opinii, a następnie zweryfikowaniu ich na podstawie wiedzy faktycznej.

Ostatnio w rozmowie o edukacji pojawiły się głosy, że minister edukacji narodowej i szkolnictwa wyższego Przemysław Czarnek również będzie narzucał kierowanym przez siebie podmiotom swoje przekonania. A mówił wiele o bezzasadności gender studies, wypowiadał się przeciw społeczności LGBT+. Wzbudza to pana obawy?

panu Czarnekowi trudniej będzie przekonać o swojej bezstronności ludzi, którzy stoją na straży wolności akademickich, świeckiej szkoły, tolerancji, niewykluczania nikogo z żadnego powodu związanego z płcią, kolorem skóry, religią, tożsamością seksualną. Trzeba poczekać, czy te niepokoje się utwierdzą, czy rozwieją.

W aplikacji na stanowisko rektora napisał pan, że uniwersytet jest obecnie jedyną instytucją publiczną przygotowaną, aby przejąć każdy spór lub konflikt i nadać mu postać cywilizowanej konwersacji.

– Rola uniwersytetu jest szczególnie, ponieważ społeczeństwo nie ma wiele miejsc, w których mogłoby

Nauczanie i kształcenie rozwijają się najlepiej chronione przed polityką i agresywną ideologią.

odnieść korzyść z porządnej, dobrze zorganizowanej i uargumentowanej, kulturalnej debaty. Jesteśmy enklawą. Ale też nie możemy odwracać się od tego, co dzieje się w debacie publicznej, i uznać, że zostawiamy na zewnątrz brud polityki i emocjonalną debatę, a my tu w cichości będziemy zajmować się swoimi sprawami. Wydaje mi się, że trzeba szukać pewnego modelu dobrej dyskusji i transmitować go w tamtą stronę, ale też wciągać w swój świat agresywnych aktorów sceny publicznej i trochę ich zmuszać do innego sposobu dyskusowania, który jest standardem w murach uczelni.

Czy taka zmiana języka debaty jest możliwa?

– Chciałbym powiedzieć, że tak, ale uniwersytet dysponuje o wiele skromniejszymi środkami niż media, zainteresowane ostrymi sporami, bo to jest atrakcyjne widowisko, bo to się klika. Uczelnia w tej rywalizacji jest o wiele bardziej konserwatywną instytucją. Ale swoją działalnością chcemy udowodniać, że inna debata jest możliwa. Kto ma to robić, jeśli nie my?

Z wykształcenia jest pan polonistą. Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w tym roku został teatrolog – prof. Jacek Popiel. Czy humanistyka to lek na trudne czasy?

– Dodabym do tego zestawienia polonistów na stanowiskach rektorów prof. Bogumiłę Kaniewską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od pewnego czasu z radością widzę, że stopniowo granice między naukami przestają być zauważalne. Coraz wyraźniej widzimy, że naszych problemów nie rozwiąże się w obrębie jednej dyscypliny. Mówimy dzisiaj o ociepleniu klimatu. Wiemy, że odpowiedzi, jak zneutralizować jego skutki, nie znajdują w pojedynkę ani chemicy, ani fizycy, ani politycy. Muszą oni współdziałać ze sobą i pracować również ramię w ramię z psychologami, pedagogami, nauczycielami, politologami. Wszystkimi, którzy przekonają ludzi do zachowań ekologicznych i dostarczą nam instrumentów do tego, żeby sensowniej gospodarować energią, odejść od paliw

kopalnych. Ale przecież choćby kłuczowa w Polsce transformacja przemysłowa wymaga decyzji nie tylko ekonomicznych, lecz także psychologicznych i społecznych. Tak, żeby ludziom mieszkającym m.in. na Śląsku zapewnić sensowną i stopniową transformację. To chyba humanistyka najwcześniej rozumiała, że problemy ludzkie są możliwe do rozwiązania we współdziałaniu różnych dyscyplin i nauk. Dodatkowo to ona jest nauką, która prowadzi do rozumienia człowieka, jednostki i społeczeństw, a bez tego nie powiedzie się żaden projekt, żaden plan, żaden sensowny sposób wymyślenia lepszej przyszłości. ■

Helena Leman

Nierówna walka

Powiatowe sanepidy: zakażeń przybywa, ludzi brakuje

Gdy dzwonię do Anny Obuchowskiej, rzecznik prasowej Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Gdańsku i jednocześnie zastępcy pomorskiego wojewódzkiego inspektora w Gdańsku, telefon odbiera sekretarka. Tłumaczy, że rozmowa jest niemożliwa, bo za kilka minut pani rzecznik zaczyna spotkanie. Mam próbować następnego dnia, najlepiej po godz. 11, gdy skończy się bieżące raportowanie. Po wysłaniu mejla jednak rzecznik Obuchowska kontaktuje się ze mną. Wyjaśnia, że wejście na teren stacji jest niemożliwe, bo 30 września zostały wykryte przypadki koronawirusa u załogi i wprowadzono szczególne zasady bezpieczeństwa.

– Staramy się ograniczać kontakty z osobami z zewnątrz, aby nie narażać naszych pracowników i osób postronnych. Do tej pory ogniska

Na opieszałość narzekają też dyrektorzy szkół, którzy czekają na rozpatrzenie wniosków o nauczanie zdalne lub hybrydowe. O zamknięciu szkół decyduje bowiem sanepid.

Z pytaniami do pomorskiego sanepidu można również zwracać się przez facebookową stronę Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Gdańsku. Poruszane są tam różne problemy, powtarzają się apele do ozdrowieńców o oddawanie osocza. „Skoro osoby bezobjawowe nie są testowane, to nie będą wiedziały, że mogłyby oddać osocze. Mniej testów równa się mniej

stacjom powiatowym. I to jest dla nas zadanie priorytetowe.

Przyrost zakażeń

Województwo pomorskie nie było liderem zachorowalności na COVID-19. Gwałtowny przyrost zakażeń, jak w całym kraju, nastąpił na przełomie września i października. Jak podają raporty dzienne przygotowywane przez wojewódzką stację sanepidu, jeszcze 25 września zarejestrowano 128 chorych na COVID-19, 9 października – 388, a 22 października już 710. Rośnie też liczba ognisk koronawirusowych. 25 września raportowano o 50 takich ogniskach, a 9 października było ich już 109, 22 października – 228. Ponadto powiatowi inspektorzy nadzorują ogniska rodzinne, nieujęte w tej statystyce. Z analizy raportów wynika, że najwięcej ognisk jest w szpitalach, przychodniach, zakładach opieki leczniczej i domach pomocy społecznej, zaraz po nich są zakażenia w szkołach i przedszkolach oraz zakładach pracy, pozostałe przypadki związane są z weselami, imprezami urodzinowymi, wycieczkami itp.

Cały ten ogrom spraw obsługuje 988 pracowników zatrudnionych w jednostkach organizacyjnych Państwowej Inspekcji Sanitarnej w województwie pomorskim, tymczasem

Codziennosc powiatowego sanepidu: urywające się telefony, niekończące się skargi ludzi i ogromny natłok spraw.

zakażenia SARS-CoV-2 zanotowano w kilku stacjach sanitarno-epidemiologicznych województwa pomorskiego. Nie mogę też blokować ludzi, żeby rozmawiali z dziennikarzem, bo jesteśmy bardzo obłożeni pracą – wyjaśnia i szybko kończy rozmowę. Już dzwoni kolejny telefon.

W stacjach powiatowych albo odbywają się automatyczne sekretarki, albo linia jest zajęta. W sanepidzie powiatu kartuskiego, który to powiat od 3 października znajduje się w strefie czerwonej, słyszę tylko brzęk odkładanej słuchawki, choć dzwonię kilkakrotnie. W Pruszczu Gdańskim obiecują, że oddzwonią, i na tym się kończy. W Sopocie, który w strefie czerwonej też jest od 3 października, dyrektor tamtejszej stacji odbiera natychmiast i prosi o podesłanie pytań. Załatwiam sprawę szybko, bo dzwonię bezpośrednio na komórkę.

Na utrudniony kontakt z sanepidem w czasie pandemii skarżą się ludzie jak Polska długa i szeroka. Rekordziści po kilkadziesiąt razy bezskutecznie wydzwaniają na numery alarmowe. Padają słowa o braku empatii, panowania nad epidemią.

osocza”, píše Dorota Piotrowska. „A co z dodzwonieniem się na testy?”, pyta Barbara Zielara. Ludzie, którzy powinni być testowani, nie mogą się zarejestrować ze względu na ogromne kolejki na infolinię. Ktoś inny píše, że nie ma co się dziwić wzrostom zachorowań, skoro osoby z bezpośredniego kontaktu z chorym na COVID-19 nie są informowane przez sanepid o konieczności odbycia kwarantanny. „Nie wiem, ile ludzi jest na tyle rozsądnych, aby zastosować samoizolację”, zastanawia się internauta.

W sanepidzie pracują siedem dni w tygodniu, w systemie na trzy zmiany. Szeregowy urzędnik zarabia netto około 3,1 tys. zł.

Powiatowe sanepidy nie nadążają, bo po prostu są niewydolne kadrowo. Anna Obuchowska tłumaczy, że wszyscy pracownicy merytoryczni, w tym ściśle kierownictwo stacji wojewódzkiej, są zaangażowani w walkę z koronawirusem: – Z powodu zakażeń SARS-CoV-2 u pracowników PSSE od początku października bardzo aktywnie pomagamy naszym

osób objętych kwarantanną na dzień 22 października jest tu 16 039.

– Nasze organy powiatowe wydają przede wszystkim decyzje o kwarantannie – informuje Anna Obuchowska. – Nałożenie takiej decyzji poprzedzone jest zawsze przeprowadzeniem szczegółowego dochodzenia. Wciąż przybywają nowe tematy, którymi zajmuje się inspekcja.



W laboratoriach sanepidu przeprowadzane są testy na SARS-Cov-2.

z mobilnych punktów poboru i udaje się tam swoim samochodem. W przypadku pacjentów niesamodzielnych, którzy nie mogą się udać do *drive-thru*, lekarz kontaktuje się z wojewódzką stacją sanitarno-epidemiologiczną i przekazuje informacje o konieczności wykonania testu. WSSE wystawia zlecenie i wysyła do pacjenta kartkę „wymazówkę”.

– Obecnie realizowanych jest dziennie kilkaset zleceń dotyczących pacjentów niesamodzielnych – mówi Anna Obuchowska. – Nadal też inspektorzy powiatowi wydają decyzje o izolacji osób z potwierdzonym zakażeniem, gdyż nie wszyscy mają możliwość uzyskania porady u lekarza POZ. Ustalamy również listy wymazowe dla konkretnych mobilnych zespołów wymazowych z uwzględnieniem trasy przejazdu i możliwej do realizacji liczby wymazów. Ze względu na badanie próbek w różnych laboratoriach zespoły muszą dostawać osobne listy pacjentów, których badania zlecili lekarze, i osobne ze zleceniami od PIS.

Na początku września jedna ze stacji telewizyjnych wemitowała reportaż o pracy powiatowego sanepidu w Nowym Sączu, w strefie czerwonej. Pokazano nie tylko przemęczenie pracowników, lecz także zagubienie w morzu dokumentów. W reportażu wystąpił Janusz Górski, który za darmo opracował specjalny system informatyczny, ułatwiający pracę w tamtejszym sanepidzie. Po emisji programu główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas obiecał zmiany, mówił też o otrzymaniu 60 mln zł na zakup sprzętu.

– Na program w pełnym wymiarze jego funkcjonalności cały czas czekamy – mówi rzeczniczka prasowa WSSE w Gdańsku. – Informatyzacja Państwowej Inspekcji Sanitarnej jest bardzo potrzebna. Teraz wykorzystywane są niektóre moduły, pomagają w bieżącej pracy. Na przykład korzystając z ogólnokrajowej infolinii, można uzyskać informacje o obowiązującym stanie prawnym, ▶

Na początku epidemii oczekiwano od nas teleporad, mimo że lekarzy w inspekcji jest niewielu. Poszukiwaliśmy też osób powracających do Polski z krajów, gdzie epidemia już się rozwijała, i obejmowaliśmy je nadzorem. Następnie uruchamialiśmy system pobierania wymazów i badań PCR, nakładaliśmy kary za łamanie zasad kwarantanny. Z początkiem roku szkolnego pojawiły się problemy związane z powrotem dzieci i młodzieży do nauczania stacjonarnego. Liczba telefonów jest ogromna, część zapytań nie należy do kompetencji Państwowej Inspekcji Sanitarnej, a tłumaczenie tego faktu blokuje linie telefoniczne.

Rzeczniczka podkreśla, że pracownikom trudno jednocześnie odbierać telefony i przygotowywać dokumentację z dochodzeń, sporządzać sprawozdania i decyzje, że pracują siedem dni w tygodniu, w systemie na trzy zmiany. Szeregowy urzędnik w sanepidzie zarabia netto ok. 3,1 tys. zł.

– Na razie nowe osoby są zatrudniane, tylko gdy dotychczasowy pracownik odejdzie na emeryturę lub umrze. Zatrudnianie nowych osób uzależnione jest bowiem od środków na ten cel – będą one przeznaczone

na potrzeby Państwowej Inspekcji Sanitarnej w przyszłorocznym budżecie państwa. Trzeba także pamiętać, że wymogi kwalifikacyjne na różne stanowiska w PIS są regulowane prawem i nie jest łatwo im sprostać – dodaje Anna Obuchowska. Na internetowej stronie stacji powiatowej

Okolo 10% zakażonych w województwie stanowią pracownicy ochrony zdrowia.

w Kartuzach wisi ogłoszenie o poszukiwaniu asystenta w nadzorze sanitarnym, dokumenty trzeba było złożyć do 15 października.

Odciążenie iluzoryczne, programu informatycznego brak

Aby odciążyć sanepid, do walki z koronawirusem w jesiennej strategii włączono lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej. W drugiej połowie września Ministerstwo Zdrowia opublikowało zasady zlecania testów na koronawirusa, dzieląc pacjentów na samodzielnych i niesamodzielnych. Pacjent samodzielny po teleporadzie czy kontakcie bezpośrednim z lekarzem POZ otrzymuje od niego zlecenie na wykonanie testu w jednym

o zasadach dotyczących izolacji i kwarantanny czy centrach testowych. W konkretnej sprawie jednak trzeba się kontaktować z właściwą stacją powiatową.

Przystopować epidemię za wszelką cenę

Tomasz Augustyniak, szef pomorskiego sanepidu, co czwartek o godz. 11 bierze udział w audycji „Bądź zdrow” w Radiu Gdańsk. 8 października mówił: „Nie jestem optymistą.

Ludzie mają pretensje o wszystko, wylewają wszystkie swoje żale, czy nas to dotyczy, czy nie.

Mamy problemy z bieżącym funkcjonowaniem ochrony zdrowia. Nie ma co ukrywać, ostatnie dni pokazały, że tak ogromna dynamika wzrostu zakażeń powoduje szereg nieprzewidywanych dotąd kłopotów. Nie wydaje się tu istotne, że obecnie posiadamy jeszcze bufor wolnych miejsc w szpitalach i respiratorów; na 690 łóżek covidowych zajętych jest 229, a na 20 respiratorów przeznaczonych dla pacjentów z COVID-19 zajętych jest 15. Poważne utrudnienie to braki kadrowe w szpitalach, wynikające z wieloletnich zaniedbań”.

Zwrócił też uwagę, że ok. 10% zakażonych w województwie stanowią pracownicy ochrony zdrowia. Dodał, że jedynie trzy powiaty: człuchowski,

sztumski i malborski, są w ostatnich tygodniach mniej dotknięte koronawirusem, a dwie trzecie przypadków COVID-19 w regionie to zakażenia rozproszone, niezwiązane z żadnymi ogniskami, co utrudnia służbom działania prewencyjne.

Ewa Maziarka, kierownik Sekcji Higieny Komunalnej Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Sopocie, z którą rozmawiam 14 października, podkreśla, że najtrudniejsze są w jej pracy urywające się telefony, niekończące się skargi

ludzi i ogromny natłok spraw. – Ludzie mają pretensje o wszystko, wylewają wszystkie swoje żale, czy nas to dotyczy, czy nie. Lekarz czegoś nie dopowiedział przy teleporadzie – dzwonią do nas; nie dał zwolnienia, a osoba jest w izolacji – dzwonią. Ktoś był w sklepie i zauważył, że inny klient jest bez maseczki – od razu do nas monit. Odbieramy pytania z pensjonatów i hoteli odnośnie do zasad przygotowania stołów do śniadania, korzystania z basenów, z saun, przebywania gości przy recepcji. Ludzie pytają nawet o zasady najmu krót-

469 opinii o nauczaniu zdalnym/hybrydowym, 94 wnioski rozpatrzone negatywnie, sześć jest w trakcie rozpatrywania. Z potwierdzonym zakażeniem jest 260 nauczycieli i 282 uczniów, w kwarantannie jest ponad 6 tys. uczniów i 470 nauczycieli.

Od wielu dni media donoszą o narastaniu w całej Polsce, także w Pomorskiem, sprzeciwu dyrektorów szkół, którzy samowolnie przechodzą na tryb zdalny lub hybrydowy, nie czekając na rozpatrzenie sprawy przez sanepid. Swoją decyzję dyrekcje uzasadniają ochroną uczniów i pracowników, poza tym obawiają się pozwów rodziców.

Tomasz Augustyniak w audycji „Bądź zdrow” 22 października mówił, że każda pomoc jest dla służb sanitarnych na wagę złota. Dwa dni wcześniej taką pomoc sanepidowi zadeklarowały władze samorządowe województwa. W liście do wojewody marszałek pomorski oraz prezydenci Gdańska, Sopotu i Gdyni zapowiedzieli, że oddelegują urzędników do wykonywania zadań sanepidu. „Oznacza to zarówno wskazanie takich osób, jak i pokrycie ich wynagrodzeń”, wyjaśnili.

Ponadto władze Gdańska i województwa pomorskiego wyraziły gotowość przekazania obiektów, w któ-

Dwie trzecie przypadków COVID-19 w regionie to zakażenia rozproszone, niezwiązane z żadnymi ogniskami.

koterminowego w czasie epidemii, wnoszą skargi w sprawie remontów budynków mieszkalnych w tym okresie. Staramy się interweniować, np. rozmawiamy ze spółdzielniami i rekomendujemy, by remonty odbywały się bez wchodzenia do mieszkań. Oddzwaniamy na wszystkie telefony, ale czasem poważne sprawy mogą się nie przebiec.

W Sopocie od 4 do 14 października wydano 74 decyzje o kwarantannie wobec 125 osób, a 55 osób zostało objętych nadzorem, w tym okresie wydano też cztery opinie w sprawie nauczania hybrydowego lub zdalnego. Do Państwowej Inspekcji Sanitarnej w województwie pomorskim od 1 września do 22 października wpłynęło 569 wniosków od dyrektorów szkół, dotyczących zmiany trybu nauczania. Powiatowi inspektorzy wydali w tym okresie

rych odbywały się Międzynarodowe Targi Gdańskie, na potrzeby szpitala tymczasowego. Samorządy Gdyni, Sopotu i Gdańska przekażą też konkretne środki finansowe działającym już w Trójmieście szpitalom.

– Choć wielu pracowników jest zmęczonych, mają niewykorzystane urlopy, robimy, co możemy, żeby przystopować rozwój epidemii. Przychodzą do naszych powiatowych stacji członkowie rodzin osób objętych kwarantanną, rozmowy czasem mają przebieg dramatyczny, lepiej, żeby takich rozmów było jak najmniej – podsumowuje Anna Obuchowska.

23 października Tomasz Augustyniak poinformował, że jest zakażony koronawirusem.

Helena Leman



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

„Dołącz do zespołu! Chcesz włączyć się do wyjątkowej walki i pomagać? Masz wykształcenie? Nie boisz się nowych wyzwań? Dołącz do nas! Oferujemy pracę w pierwszym (...) w Warszawie. Tworzymy zespół, który pokaże, że (...) da się pokonać profesjonalizmem i solidarnością! Szukamy ludzi z pasją, zaangażowanych i pełnych entuzjazmu!”. To reklama nowego banku? Internetowego start-upu? Nowej sieci kawiarni? Nie. To zaproszenie do pracy w Szpitalu nad Szpitalami, w Kostnicy nad Kostnicami – Szpitalu Narodowym. Jeśli nie umie się zbudować, wyposażyć, zatrudnić personelu w szpitalu, należy powołać Szpital Narodowy.

W dawnych czasach władza miała nieodpartą potrzebę chrzczenia wszystkiego określeniem socjalistyczny, choć z socjalizmem najczęściej nie miało to żadnego związku, a słowo opatrzone przymiotnikiem socjalistyczny często traciło swój sens. Jerzy Fedorowicz nazywał nawet ten przymiotnik anihilującym. Przymiotnik ów niemal całkowicie zniknął z naszego języka (niekiedy tylko występuje jako oblega, obraza, zarzut), ale potrzeby władzy pozostały. A potrzeby

śłużbę zdrowia, głównie lekarzy, że bez zaangażowania walką z koronawirusem – rodzi się szatański w swojej odwadze i bezkompromisowości pomysł. Szpital na Narodowym. Narodowy Szpital na Narodowym Stadionie. Wszystkie łóżka, widoczne dla Morawieckiego, a niewidoczne dla dyrektorów i ordynatorów – na Narodowy. To już będą łóżka narodowe. Trzeba zespołu, bo tamten zaharowany, zakwarantowany, zdziękowany, wyczerpany. Hopsa, z pełnym entuzjazmem do pracy na Narodowym w Narodowym! To, że nie bardzo się nadaje, że nie ma żadnej infrastruktury szpitalopodobnej – betka. Słowo narodowy znosi te ograniczenia. Nie niweluje, tylko uwzniośla i wyposaża. A ludzie? Znajdą się entuzjaści narodowego zrywu szpitalnego.

Sami politycy PiS przyznają, że przespali ostatnie miesiące, bo ważna była kampania prezydencka, bo trza było pohandryczyć się o stolki w nowym rozdaniu rządowym, bo mamy taki rząd narodowo-recyklingowy, odnawiany wciąż, a jakby stary. Gdzie tu mieć głowę do jakiejś grypy? Oburzony był marszałek Senatu, w końcu profesor medycyny,

Nasza narodowa śmierć

władzy nie znoszą próżni. Od dwóch-trzech dekad zatem, sięgając głęboko do XIX- i XX-wiecznej, najgorszej z możliwych polskich tradycji politycznych, w triumfalnym pochodzie wraca słowo narodowy. Narodowe czytanie, narodowy piknik, narodowe rekolekcje, pamięć narodowa i jej instytut, inne instytuty narodowe, narodowa myśl, narodowe wszystko, co się rusza, nawet jeśli nienarodzone, albo szczególnie wtedy, bo jak się narodzi, to już tylko kłopot.

Stadion Narodowy oczywiście powstał, żeby naród patrzył, jak narodowa reprezentacja gra w piłkę; problem w tym, że gra rzadko i na dodatek mało narodowo, czyli słabutko. Mamy więc na Narodowym narodowy żużel, narodowe deski z narodowym żaglem na narodowej sztucznej fali, narodowy łód na lodowisku, narodowe komórki do wynajęcia dla tzw. byznesu, narodowe śpiewanie disco-narodo-polo, wszystko, co narodowe, na Narodowym się pomieści, a co się tam wydarzy, to już jest tym samym narodowe.

Czas więc na największą klęskę od lat, czyli pandemię COVID-19, która zbiera krwawe żniwo, ponieważ walkę z nią rządzący zawiesili w powietrzu, żeby wygrać wybory prezydenckie. Dzisiaj za to płacimy, to znaczy płacą ci, co cierpią, umierają, i ich rodziny. Ale narodowy prezydent wybrany z godnością milczy. Narodowo.

Tak więc, ponieważ szpitale osiągnęły pułapy swoich możliwości, brakuje łóżek, personelu, karetki godzinami krąży od szpitala do szpitala odsyłane jak od Annasza do Kajfasza, ludzie w tych ruchomych punktach niepomocy UMIERAJĄ, a władza w osobie premiera Morawieckiego wciąż widzi nieprzebrane zasoby łóżek, minister Sasin zaś wyrzeka na

zdziwiony pyta: „A co, mieliśmy szpitale budować?”. A gdzie, skąd? Po co szpitale dla chorych, nikt nie wpada na taki pomysł! Ale sytuacja nie tyle wymyka się spod kontroli, ile wali we własną stronę falą tsunami, nie oglądając się na zapewnienia premiera „Pinokia” Morawieckiego, że niegroźnie i że wszystko pod kontrolą. Polacy zakażają się już w liczbach powyżej 10 tys. dziennie, umierają każdego dnia prawie dwa tuziny. Czas na ruch. Narodowy. I taki mamy. Przekształcenie stadionu w szpital.

Czy jak stadion wypełnimy ściankami działowymi, to mamy szpital? Działający? Ta władza lubi, żeby było ją widać na sporym tle. Kiedy KGHM zorganizował na polecenie premiera transport milionów bezużytecznych, jak chwilę później się okazało, maseczek ochronnych z Chin, płacąc za nie czterokrotnie więcej, niż można by tutaj, maseczki przyleciały największym samolotem transportowym świata, a cała wierchuszka pławiła się w ryku silnika i świetle lamp TVP. Dzisiaj wiemy, że była to operacja, na której uwłaszczył się polski wywiad albo jakaś jego odnóżka.

Może należałoby, przy indolencji i braku kompetencji tej władzy, przyspieszyć obsługę wirusa i zamiast chałupniczo skłonego Szpitala Narodowego od razu i z hukiem otworzyć Cmentarz Narodowy. Na takim cmentarzu to i śmierć od razu zyskuje wizerunkowo, a wizerunek to dzisiaj wszystko albo i trochę więcej. Narodowy – rzecz jasna – wizerunek. Narodowe łopaty, narodowe trumny, narodowi grabarze. Nie jako metafora. Jako opis stanu Polski.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Anna Brzeska

Trwa pandemia. W jaki sposób wpływa ona na pani pracę z pacjentami w żałobie?

– Zwykle myślimy o żałobie w kontekście utraty bliskiej osoby – ktoś był i już go nie ma, trzeba to opłakać. Jednak żałoba ma wiele wymiarów, również ekonomiczny, społeczny czy kulturowy. I te wymiary żałoby, których przeżywanie jest związane z innymi ludźmi, zostają teraz zachwiane. Spójrzmy choćby na kwestię pogrzebu. Wiosną był taki moment – teraz do tego wróciliśmy – że w uroczystości nie mogło uczestniczyć wiele osób. Tymczasem dla komfortu psychicznego osoby, która kogoś straciła, zaproszenie wszystkich bliskich i wspólne pożegnanie zmarłego jest niezwykle ważne. Gdy ceremonia pewnego rodzaju „domknięcia” staje się utrudniona lub niemożliwa, mamy do czynienia z kolejną stratą. To wpływa na cały proces przeżywania żałoby.

Pandemia sprawiła, że żałoba w pewnym sensie stała się doświadczeniem kolektywnym.

Czyli rzutuje na to, co się dzieje dalej.

– Tak. W dodatku pandemia utrudnia to, co dzieje się w żałobie później, a co jest niezwykle dla niej istotne – uzyskanie wsparcia innych. Spotkania są mocno ograniczone, co również wpływa na poziom izolacji osób przeżywających żałobę. A pamiętajmy, że on i tak zwykle jest wysoki, bo trudno się rozmawia z kimś, kto cierpi. Nie do końca wiadomo, co wypada powiedzieć, bo przecież wiemy, że każdemu może pomóc coś zupełnie innego, coś innego może też zranić. Nie wszyscy mają zaś otwartość, by o to dopytywać.

W dodatku czasem trudno nawet określić, czy dana osoba nie widuje się z innymi dlatego, że coś się z nią dzieje – przeżywa stany depresyjne, nie jest zdolna wyjść z domu – czy po prostu izoluje się ze względu na COVID. Pandemia utrudnia więc także rozpoznanie problemów psychologicznych danej osoby. Nasza praca w fundacji jest teraz bardziej nastawiona na interwencję kryzysową. I kolejna sprawa – osoba w żałobie

nie może odbudować różnych form życia społecznego, już bez zmarłego.

Co to oznacza?

– Funkcjonujemy w różnych układach społecznych. Gdy np. umiera partner, nasze znajomości się przeformułowują. Na towarzyskie czy rodzinne spotkania przychodzi się już nie z partnerem, lecz samemu. To też jest ważny etap żałoby – móc zyskać na nowo swoją tożsamość jako członka grupy, społeczeństwa. I teraz stało się jeszcze trudniejsze. W dodatku przeżywanie przez cały świat innego rodzaju żałoby – rozumianej jako poczucie utraty i tęsknoty za

tym wszystkim, czego już nie można robić – może intensyfikować różne bolesne procesy u osób, które utraciły kogoś bliskiego.

Z drugiej strony pandemia daje rodzaj poczucia wspólnoty w tej żałobie, bo teraz już wszyscy coś tracimy. Niektóre osoby mówiły mi, że daje im to doświadczenie poczucia zrozumienia. Bo „wreszcie inni rozumieją, przez co ja przechodzę”. Żałoba nie musi przecież następować tylko po śmierci bliskiej osoby, możemy ją przeżywać po stracie pracy czy zakończonym związku. Pandemia sprawiła, że w pewnym sensie stała się doświadczeniem kolektywnym.

Ogólny nastrój żałoby może ułatwić żałobę indywidualną.

Pożegnania w czasach zarazy

Teraz wszyscy jesteśmy w żałobie

– Tak, dać poczucie zrozumienia. Na tym opiera się funkcjonowanie naszych grup wsparcia w fundacji – osoby, które przeszły przez to samo, mogą się skutecznie wspierać, nawet jeśli sytuacja każdej z nich jest nieco inna.

Jak możemy pomóc innym w przeżywaniu żałoby? Czasem po prostu nie wiemy, jak się zachować.

– Uniwersalną radą jest to, by być w kontakcie z osobami, które doznały straty, i mówić im właśnie, że nie wiemy, jak się zachować, co powiedzieć. Można zadzwonić i zakomunikować: „Zupełnie nie wiem, co ci powiedzieć w tej sytuacji, ale jestem przy tobie, chcę zrobić coś, by było ci lepiej”. Takie zwrócenie się do tej osoby, zapewnienie, że również doświadcza się bezradności, ale chce się towarzyszyć, jest czymś ważnym. Osoby w żałobie mówią, że to pomaga.

Istotne jest też to, by dać temu komuś przestrzeń na przeżywanie różnych emocji. Często myślimy o żałobie wyłącznie jako o smutku. Tymczasem żałoba jest stanem kompleksowym, w którym zawierają się różne uczucia: smutek, złość, poczucie winy czy rozpacz. Podarowanie tej osobie przestrzeni na nie, by mogła przeżywać nawet emocje dla nas niekomfortowe, jest bardzo ważne. Warto więc powiedzieć: „Możesz mi mówić, co przeżywasz, ja wytrzymam różne twoje uczucia”.

Pandemia utrudnia nam jednak te realne kontakty. Jak sobie z tym radzić?

Katarzyna Czajkowska-Łukasiewicz – absolwentka Wydziału Psychologii UW. Doświadczenie kliniczne zdobywała na Oddziale Psychiatrii, Psychotraumatologii i Stresu Bojowego Wojskowego Instytutu Medycznego, w Akademickim Ośrodku Psychoterapii oraz na Oddziale Dziennym Wolskiego Centrum Zdrowia Psychicznego. Z Fundacją Nagle Sami współpracuje od 2015 r. Prowadzi terapię indywidualną oraz grupę wsparcia.



KATARZYNA CZAJKOWSKA-ŁUKASIEWICZ

– psycholog

– Rzeczywiście, teraz mniej dostępne jest zrobienie wraz z tą osobą czegoś konkretnego, np. pójście do kina czy przygotowanie dla niej kolacji. Jednak jako społeczeństwo już nauczyliśmy się radzić sobie z przenoszeniem dużej części życia w świat wirtualny czy telefoniczny. Żałobę także musimy przenieść w te kategorie. To nie będzie to samo co realny kontakt, ale w każdej relacji i w każdej grupie można próbować znaleźć rozwiązania. Ważne jednak, by pytać tę osobę o jej potrzeby, nie bać się, że ją zranimy. Bo milczenie i nieobecność ranią najbardziej.

Czy w pracy spotkała pani osoby, które straciły bliskich przez koronawirusa?

– Nie, ale zdarzyły się osoby, które mówiły, jak trudno teraz się pożegnać z bliskimi. Chodzi o chorych onkologicznie, przewlekłe, przebywających w szpitalach czy hospicjach, jeśli nie ma możliwości odwiedzenia ich lub jest to utrudnione. To bardzo zaburza proces żałoby.

Dlaczego pożegnanie z odchodzącymi bliskimi jest tak ważne?

– Zawsze gdy tracimy kogoś bliskiego, w jakimś sensie zostajemy sami „ze swoim końcem liny”. W urwanej relacji niczego już nie

można zmienić, naprawić, niczego nie można powiedzieć. I to jest bardzo trudne doświadczenie, bo konfrontuje nas z rodzajem bezsilności. Oplakanie tej skończoności, niemożności dodania jeszcze czegoś do tej relacji, jest ważnym etapem pracy psychologicznej z żałobą. Żadne pożegnanie nie uchroni nas przed koniecznością jej przeżycia, ale na pewno duże znaczenie ma w jej procesie możliwość późniejszego sięgnięcia do pożegnania jako doświadczenia domykającego relację.

Ważne, by być w kontakcie z osobami, które doznały straty, i mówić im, że nie wiemy, jak się zachować, co powiedzieć.

Jeśli chodzi o pacjentów zmarłych na COVID-19, utrudnione jest też obecnie pożegnanie ciała – nie wolno np. wystawiać otwartej trumny. Czy to może mieć znaczenie dla procesu domknięcia relacji?

– Kiedy umiera ktoś bliski, tracimy w pewnym sensie poczucie bezpieczeństwa i kontroli – zdajemy sobie sprawę, że nie możemy zrobić nic, by uniknąć śmierci. Pogrzeb jest natomiast momentem, kiedy możemy zdecydować, jak chcemy się pożegnać. Te decyzje mogą być

obciążeniem organizacyjnym, ale jednocześnie dać nam możliwość bycia „przy sobie”, przyjrzenia się swoim potrzebom. W związku z ograniczeniami covidowymi ta możliwość również zostaje nam w pewnym sensie odebrana, a wraz z nią poczucie kontroli i bezpieczeństwa. To może utrudnić dopuszczenie do siebie pewnych emocji, pogłębić wewnętrzne konflikty.

Dużo osób neguje istnienie pandemii. Bo ucierpiały z powodu obustrzeń, np. utraciły pracę albo są przedsiębiorcami w branży dotkniętej ograniczeniami. Czy spotkała się pani z sytuacją, gdy ktoś stracił bliskiego – np. na skutek załamania się systemu ochrony zdrowia – i też przez to jest skłonny negować pandemię?

– Myślenie spiskowe pomaga niektórym zrozumieć to, co się dzieje, ograniczyć nasze poczucie bezradności, w którym nie jesteśmy przecież w stanie zbyt długo trwać. Ale w przypadku osób w żałobie pandemia wpisuje się raczej w inny mechanizm. Zwykle po śmierci bliskiej osoby nurtują nas pytania i wątpliwości typu: „Co mogłam zrobić?”, „Gdybym wtedy nie wróciła później, może by żył”. Takie odgrywanie scenariuszy w głowie to nic innego jak próby zaprzeczenia naszej śmiertelności czy podległości procesom, nad którymi nie mamy kontroli. To zwyczajne elementy procesu żałoby. Pandemia daje nam nowe paliwo do tego mechanizmu – staje się nową rzeczywistością społeczną, z której czerpiemy uzasadnienia. Czyli możemy teraz myśleć: „Gdyby nie pandemia, mój

mąż miałby miejsce w szpitalu i może udałoby się go wyleczyć” albo „Gdyby rządzący inaczej radzili sobie z sytuacją, mój bliski by żył”.

O czym jeszcze powinniśmy pamiętać, wspierając osoby w żałobie?

– O tym, by nie zapominać o nich również w późniejszym jej etapie. Gdy dowiadujemy się o czyjejś śmierci, zwykle pytamy bliskich, jak możemy im pomóc. Ale wiele osób skarży się potem, że to zainteresowanie z czasem się wycisza. Zakładamy, że skoro zasygnalizowaliśmy,

Fundację Nagle Sami założyła w 2011 r. Olga Punczewicz po tragicznej śmierci męża, himalaisty Piotra Morawskiego. Fundacja świadczy indywidualną pomoc psychologiczną i prowadzi grupy wsparcia, a także szkolenia oraz warsztaty dla specjalistów. Osoby w kryzysie psychicznym, zwłaszcza w żałobie, mogą również szukać wsparcia pod bezpłatnym numerem 800 108 108, pod którym dyżurują przeszkoleni psycholodzy. Linia działa od poniedziałku do piątku w godz. 14.00-20.00. **Więcej informacji: naglesami.org.pl.**

Działania fundacji można wesprzeć, przekazując darowiznę na numer konta: 07 1030 0019 0109 8533 0003 9912.

► że „w razie czego jesteśmy”, nie musimy robić nic więcej. Tymczasem ważne jest, by jednak się przypominać i nie zostawiać nikogo tylko z komunikatem, że może się do nas odezwać. Raczej weźmy ten kontakt na siebie jako towarzysze żałoby.

Osoby w żałobie mogą się obawiać, że będą kogoś obciążać swoim bólem.

– Tak, to bardzo częste. Śmierć i żałoba nie są atrakcyjnym tematem i mamy zwykle przekonanie,

Zaduszny. Osoby w żałobie przeżywają w tym czasie większy smutek, nasilają się ich refleksje dotyczące utraty bliskich, wraca więcej wspomnień. W tym okresie widzimy większy napływ osób potrzebujących wsparcia psychologicznego. Dzieje się tak co roku.

Może lepiej nie obchodzić tego święta? Czy ono w ogóle jest potrzebne?

– W pani pytaniu widać nadzieję czy pragnienie świata, w którym nie byłoby smutku ani żałoby. Śmierć

Żałoba jest stanem kompleksowym, w którym zawierają się smutek, złość, poczucie winy czy rozpacz.

że wolno nam popłakać w domu, ale potem sami musimy sobie poradzić, iść w świat i działać. Ważne jest też to, by uszanować, że osoba w żałobie może nie chcieć o niej mówić – woli rozmawiać o zwykłych sprawach.

Warto wtedy dopytać, o czym chce rozmawiać?

– Tak. To nie nasze pytania czy niewiedza bolą najbardziej, ale brak kontaktu.

W jaki sposób radzą sobie państwo ze wspieraniem pacjentów, gdy trudno spotkać się stacjonarnie?

– W fundacji prowadzę psychoterapię indywidualną oraz grupy wsparcia. Ze względu na pandemię grupa będzie się spotykała online, na platformie do wideokonferencji. Są to osoby na różnym etapie żałoby, z różnymi doświadczeniami, ale ponieważ wzajemne wspieranie się jest ważnym elementem tego procesu, chcemy, by grupy nadal działały. Zależy mi, by nowa grupa ruszyła w listopadzie, bo to szczególnie trudny czas.

Zimą trudniej sobie radzić z żałobą?

– Chodzi raczej o nadchodzące święta Wszystkich Świętych i Dzień

czy później nas dopadną – i dlatego m.in. na tym polega praca psychologiczna z żałobą, że dajemy sobie przestrzeń, by przeżyć również te najtrudniejsze. Dopiero wtedy możemy iść dalej, choć to długotrwały, wymagający proces. Ważne jest też, by zapewnić sobie warunki do przeżywania emocji – być może będzie to wsparcie psychologiczne czy rozmowy z bliskimi osobami. Lepiej nie łudzić się jednak, że można ten smutek odciąć i schować głęboko, wyjechać gdzieś i uciec od niego.

Z drugiej strony, w czasie żałoby jesteśmy bardziej podatni na zranienie. I wtedy warto być „przy sobie” i swoich potrzebach. Jeśli zatem ktoś czuje, że wyjazd będzie w danym momencie czymś najlepszym, żeby w ogóle przetrwać, szczególnie w tym pierwszym, kryzysowym czasie żałoby – to dlaczego nie? Ale nie wydaje mi się, by to mogła być strategia na dłużej.

W Polsce przeżywamy Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny refleksyjnie. Na Zachodzie Halloween to zabawa, przebieranki i żarty. Jaki jest pani, jako psychologa, stosunek do tego święta? Może na Zachodzie robią to lepiej?

– W takim sposobie przeżywania tego święta, jaki funkcjonuje w naszym kręgu kulturowym, jest więcej przestrzeni na to, by uznać, że życie nie składa się tylko z zabawy i radości. Mam więc dużo sympatii do tego naszego święta, bo jest bardzo urealniające. To taki moment w kalendarzu, kiedy akceptujemy to, że lato nie trwa cały rok, że przychodzi moment „zwinienia się w sobie” i przeżywania tego, co mamy w środku. Przemijanie jest wpisane

i umieranie oraz wszystkie uczucia, które pojawiają się w nas po utracie bliskich, to nie są tematy medialne, przyjemne, ekscytujące i na co dzień raczej ich unikamy. Listopadowe święto daje nam zaś przestrzeń również na takie uczucia. Dzięki niemu możemy zatrzymać się i dopuścić do siebie emocje, które odkładamy na bok w pędzie codziennego życia. Możemy się skupić na refleksji, na którą zwykle nie mamy przestrzeni, nie zaś na działaniu.

Osoba w żałobie może nie chcieć o niej mówić – woli rozmawiać o zwykłych sprawach.

Czy dla osób – być może świeżo po stracie bliskiego – dla których to święto jest dodatkową trudnością, dobrym pomysłem byłby wyjazd, ucieczka, by nie musiały widzieć tych wszystkich zniczy i cmentarzy?

– Nasuwa mi się ulubiona odpowiedź, za którą chowają się psycholodzy, czyli: to zależy. Z jednej strony, unikanie emocji jest strategią, która rzadko sprawdza się na dłuższą metę. Te emocje i tak prędzej

w cykl natury i to święto daje nam na to przeżywanie miejsce – także w przestrzeni społecznej. Co więcej, utrzymuje nas ono w rzeczywistości, w której jest również przemijanie i śmierć. Bycie w prawdzie jest zaś częścią psychoterapii, która stanowi też pożegnanie z iluzjami na temat naszego życia. Jedną z nich jest właśnie to, że jesteśmy nieśmiertelni.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

To brzydkie słowo na w

Nie chciałem wierzyć własnym oczom, gdy w tytule jednego z artykułów w „Gazecie Wyborczej” zobaczyłem słowo „wyzysk”, a w innym wyrażenie „walka klas” (autorka ta sama: Adriana Rozwadowska, członkini redakcji „Gazety Wyborczej” o wyrażnie lewicowych sympatiach). Zaraz, zaraz, przecież kapitalizm, który budowaliśmy, miał być ustrojem sprawiedliwym i moralnie czystym, jedynym właściwym. A teraz „wyzysk”, „walka klas”? Przecież to wyrażenia ze słownika marksistów, a oni to wszak wcielone zło. Co się stało? To, że kapitalizm jest z konieczności związany z wyzyskiem, wiadomo od 200 lat. To, że istnieją klasy społeczne i mają często sprzeczne interesy, też. Dlaczego więc te tytuły mogą wywoływać szok? Ano dlatego, że przez ostatnie 30 lat wyobrażaliśmy sobie w Polsce „kapitalizmu model liryczny”, aby nawiązać do znanego tekstu wybitnego socjologa Jana Strzeleckiego „Socjalizmu model liryczny”. Kapitalizm bez wyzysku, niesprawiedliwości, wykluczenia ekonomicznego, nierówności i nędzy. Wmawiano nam, że to system, w którym wszystko zależy od jednostki, relacje pomiędzy pracodawcami i pracownikami są z istoty swojej fair, a wykluczenie i nędza to pochodne niezaradności, braku kompetencji cywilizacyjnych, zepsucia moralnego (osławiony homo sovieticus), nienadążania za zmianami, braków w inteligencji czy po prostu lenistwa.

W tekście Adrian Rozwadowskiej wyzysk pojawił się w aspekcie Bangladeszu i fatalnej sytuacji tamtejszych pracowników przemysłu odzieżowego. Nikt nie zaprzeczy, że mamy tam do czynienia z wyzyskiem (globalizacja ekonomiczna była zarazem globalizacją wyzysku). Teza tekstu z pewnością zatem nie wzbudzi w nas zbyt żywych reakcji, tym bardziej że losem tych pracowników mało kto się przejmuje (niestety!). Pewnie byłoby inaczej, gdybyśmy sobie uczciwie powiedzieli, że i w Polsce wyzysk jest czymś powszechnym. Wystarczy zapoznać się z książką Marka Szymaniaka „Urobieni. Reportaże o pracy” oraz innymi książkami i reportażami dotyczącymi sytuacji pracowników w Polsce w ostatnich 30 latach, a jest ich trochę. Sytuacja nie powinna dziwić, wszak nie ma kapitalizmu bez wyzysku, bo nie ma zysku bez wyzysku. A jednak wcale nie oznacza to, że system ten od razu traci legitymizację społeczną, gdy tylko prawda ta staje się powszechna. Przecież część mieszkańców krajów tzw. realnego socjalizmu witała kapitalizm, mając na ustach hasło: Chcemy być wyzyskiwani! Choć nasze wyobrażenia o nowym ustroju były nader naiwne, nie da się wykluczyć, że także ci, któ-

rzy mieli świadomość jego ciemnych stron, chcieli tak krzyczeć, wołąc wyzysk kapitalistyczny niż wyzysk pseudosocjalistyczny. Poddani władzy kapitalizmu, choć wyzyskiwani, dostają bowiem coś w zamian: poczucie wolności, zaspokojenie potrzeb materialnych, mniejszy czy większy dobrobyt, możliwość awansu społecznego, szanse na lepsze życie (co prawda, wyzyskiwani w pseudosocjalizmie też coś dostają w zamian, np. względne bezpieczeństwo socjalne, to jednak za mało).

W tym kontekście sprawą o wadze pierwszorzędnej jest dążenie do stworzenia systemu (dopóki nie wymyślimy lepszego), w którym pracownicy byłiby wyzyskiwani w jak najmniejszej skali i otrzymywali w zamian jak najwięcej (minimum wyzysku, maksimum korzyści dla wszystkich). Z dziejów kapitalizmu wynika jasno, że stan taki jest możliwy do osiągnięcia tylko za pomocą dwóch narzędzi: państwa oraz związków zawodowych. Państwo musi podda-

wać kapitalizm regulacjom korzystnym dla pracowników (warunki pracy, płaca minimalna, urlopy wypoczynkowe itd.), związki zawodowe zaś – walczyć o wyższe pła-

ce i miejsca pracy. Tam, gdzie państwo wywiązuje się ze swojej roli regulacyjnej, a związki zawodowe są silne, skala wyzysku jest stosunkowo mała, ludzie zaś są generalnie zadowoleni ze swojej sytuacji życiowej (jeszcze lepiej, gdy ważną formą własności w danej gospodarce jest własność spółdzielcza, gdzie przynajmniej teoretycznie możliwość wyzysku jest najbardziej ograniczona). Dziś to sytuacja, która ma miejsce przede wszystkim w krajach skandynawskich, Niemczech i Austrii. Generalnie jej zaistnieniu sprzyjają dwa modele kapitalizmu: nordycki i reński. Dużo gorzej wygląda sprawa tam, gdzie mamy do czynienia z modelami anglosaskim i azjatyckim. Wniosek, jaki można wyciągnąć z tej sytuacji, jest następujący: Polska powinna jak najszybciej wprowadzać w życie rozwiązania znane z tych dwóch najlepszych modeli kapitalizmu i odchodzić od dominującego u nas od początku lat 90. modelu anglosaskiego (na szczęście nie w pełni zrealizowanego). To wymagałoby jednak np. znacznego wzmocnienia Państwowej Inspekcji Pracy, dbania o to, aby nie blokowano powstawania związków zawodowych, wprowadzania reprezentacji pracowniczej do gremiów zarządzających firmami, zachęcania czy wręcz obligowania do podpisywania zbiorowych układów pracy, wyraźnego polepszenia jakości i dostępności usług publicznych (edukacji, służby zdrowia, transportu publicznego) i wielu innych zabiegów, na które próżno czekamy już 30 lat.

Przez ostatnie 30 lat wyobrażaliśmy sobie w Polsce „kapitalizmu model liryczny”.

Katarzyna Mierzejewska

Francja ma dość

Zabójstwo nauczyciela przez religijnego radykała wzmacnia mandat społeczny Macrona do ostrzejszej walki z islamskim terroryzmem

W niedzielę 18 października przez Francję przeszedł wiec w obronie wolności słowa i sekularyzmu, a rząd po raz kolejny w ostatnim czasie dyskutuje o bardziej zdecydowanej reakcji na islamski ekstremizm. Głośne protesty są odpowiedzią na zabójstwo nauczyciela, Samuela Paty'ego, oraz niedawny atak nożownika, który zranił dwie osoby przy siedzibie pisma „Charlie Hebdo”. Co znamienne, do obu tych tragedii doszło niedługo po mocnym wystąpieniu Macrona dotyczącym radykalizmu i ochrony francuskich świeckich wartości.

Egzekucja za karykaturę Mahometa

„Od lat bijemy na alarm – komentował protesty historyk i nauczyciel Iannis Roder we francuskim radiu. – Mam nadzieję, że jest to koniec zaklinania rzeczywistości”. To, co wydarzyło się w szkole w oddalonej ok. 30 km od Paryża miejscowości Conflans-Sainte-Honorine, zaszkodziło całej Francji. Była to egzekucja. 47-letniemu nauczycielowi historii

opublikowano zdjęcie odciętej głowy nauczyciela pochodzące z komórki Anzorova z podpisem: „Wykonałem egzekucję na jednym z piekielnych psów, który odważył się uśmiercić Mahometa”. Zaczęły też pojawiać się wpisy wyrażające poparcie dla zabójcy Samuela Paty'ego.

Służby zatrzymały w tej sprawie 11 osób, w tym krewnych napastnika, a także rodziców uczniów uczęszczających do szkoły, w której uczył Paty, ale śledztwo ma znacznie szerszy zasięg – objęło ponad 80 osób. Policja bada ich ewentualne związki z radykalnymi ugrupowaniami. Minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin zapowiedział kolejne działania przeciw islamskim ekstremistom.

We Francji narasta społeczny nacisk na rząd, aby przeciwstawić się religijnym fundamentalistom i bronić wolności słowa.

i geografii Samuelowi Paty'emu na pastnik odciął głowę. Mężczyzna zaczął dostawać groźby już na początku października, kiedy podczas lekcji o wolności słowa pokazał karykatury Mahometa. Chociaż Paty sugerował mułmańskim uczniom, aby opuścili salę, jeśli sądzą, że mogą zostać urażeni, to najwidoczniej nie wystarczyło. Po zajęciach zaczęły wpływać skargi rodziców na nauczyciela, a w internecie krążyły filmiki z lekcji. Jeden z ojców w mediach społecznościowych miał wezwać do mobilizacji przeciw nauczycielowi. Paty zgłosił to policji i swojemu pracodawcy. Jak się okazało – na próżno.

Zabójca, 18-letni Abdoullakh Anzorov, urodzony w Moskwie Czeczen, został zastrzelony na miejscu przez policjantów. Nie znał nauczyciela, nie mieszkał w okolicy. Po raz kolejny eskalacja nienawiści w mediach społecznościowych doprowadziła do tragedii. Na Twitterze

islamskich ekstremistów toczy się proces sądowy. Od tragedii minęło pięć lat, a w sprawie grafik nadal dominują skrajne opinie. „W zeszłym roku student powiedział mi, że zabicie kogoś, kto nie okazał szacunku prorokowi Mahometowi, jest całkowicie uzasadnione”, powiedziała po zabójstwie Samuela Paty'ego francuskiemu radiu nauczycielka historii Fathia Agad-Boudjhalat. Podkreśliła, że wiele dzieci powtarza po prostu to, co słyzy w swoich domach. Bezpośrednio po ataku terrorystycznym z 2015 r. nauczycielka filozofii cytowana przez BBC usłyszała od swoich uczniów, że dziennikarze „Charlie Hebdo” zasłużyli na to, co ich spotkało.

Historia zatoczyła ponure koło. Egzekucja na nauczyciela z Conflans-Sainte-Honorine wydarzyła się zaledwie kilka tygodni po ataku nożownika w Paryżu. Pod koniec września napastnik zranił dwie osoby przy dawnej siedzibie „Charlie Hebdo”. Mężczyzna i kobieta trafili do szpitala z poważnymi obrażeniami twarzy.

Winy republiki

Na nadzwyczajnym posiedzeniu gabinetu 18 października Emmanuel Macron zapowiedział podjęcie działań przeciwko „strukturalnym, stowarzyszeniom, osobom bliskim radykalnym grupom i wszystkim tym, którzy szerzą nienawiść i mogą zachęcać do ataków”. Macron miał powiedzieć ministrom: „Radykalni islamisci nie mogą spać spokojnie w naszym kraju”. Minister sprawiedliwości Eric Dupond-Moretti omawiał w tym czasie wprowadzenie nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa we francuskich szkołach. Z kolei Marlène Schiappa z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wezwała ekspertów ds. mediów społecznościowych na pilną dyskusję

Prezydent Emmanuel Macron nazwał atak przykładem islamskiego terroryzmu i powiedział, że mężczyzna zginął, gdyż chciał uczyć swoich podopiecznych wolności słowa. W środę, 21 października, cała Francja uczciła pamięć zamordowanego nauczyciela. Atak potępiło również wielu liderów mułmańskich. „Jestem zdruzgotany tym aktem przemocy, który, choć udawał nawiązanie do religii, nie ma z nią absolutnie nic wspólnego”, powiedział przedstawiciel meczetu w Bordeaux, Tareq Oubrou. Dodał, że francuska społeczność mułmańska została „dotknięta podwójnie, jako obywatele i jako mułmanie”.

Kwestia rysunków satyrycznych jest szczególnie drażliwa we Francji. To przecież publikacja karykatur proroka Mahometa przez magazyn „Charlie Hebdo” była powodem ataku terrorystycznego, do którego doszło 7 stycznia 2015 r. Obecnie w sprawie zabójstwa 12 osób przez



Miłość dla wszystkich, nienawiść dla nikogo – z takimi hasłami demonstrowali 20 października mieszkańcy Conflans-Sainte-Honorine.

o roli, jaką sieci społecznościowe odegrały w ostatnich atakach. Gabriel Attal, rzecznik rządu, powiedział: „Ci, którzy uczestniczyli w publicznym linczowaniu tego nauczyciela w mediach społecznościowych, są w pewien sposób odpowiedzialni za to, co się stało”. Francja zdecydowała też o zamknięciu na sześć miesięcy Wielkiego Meczetu w Pantin, największej muzułmańskiej świątyni we Francji. Rozporządzenie wprowadzono w ramach kampanii skierowanej przeciwko osobom podejrzanym o podżeganie do przemocy. Przed atakiem na Samuela Paty’ego na facebookowej stronie Wielkiego Meczetu został udostępniony filmik, który przyczynił się do eskalacji nienawiści pod adresem nauczyciela. Władze zapowiadają dalsze działania przeciw tym, którzy szerzą nienawiść i głoszą oparte na fundamentalizmie kazania. Dotyczy to także liderów religijnych.

Do brutalnego zabójstwa w Conflans-Sainte-Honorine doszło dwa tygodnie po głośnym przemówieniu Emmanuela Macrona, które obecnie wybrzmiewa w zupełnie innym kontekście niż na początku października. Macron wtedy zdecydowanie podkreślił wagę laickości dla tradycji i rozwoju Francji. Długo przygotowywane wystąpienie dotknęło kwestii,

z którą kolejne rządy praktycznie od czasów powojennych nie potrafią sobie poradzić. Mowa o braku integracji w społeczeństwie i wielowymiarowej przepaści między białymi Francuzami z europejskimi korzeniami a Francuzami o innym niż biały kolorze skóry, zwykle muzułmanami, często imigrantami i ich potomkami. Dochodzi do tego rosnący radykalizm, z którym władze również sobie nie radzą.

„Sekularyzm jest podstawową wartością zjednoczonej Francji – mówił Macron. – Naszym wyzwaniem jest walka z tymi, którzy w imię religii zbaczają z obranej przez nasz kraj ścieżki rozwoju, i jednocześnie chronienie tych, którzy wierzą w islam i są pełnoprawnymi obywatelami republiki”. Prezydent dodał, że na całym świecie obserwujemy poważny kryzys, który trawi islam. Radykalny islam nazwał zarówno ideologią, jak i projektem, który ma na celu indoktrynację dzieci, podważenie francuskich wartości – zwłaszcza równości płci – i stworzenie kontrspołeczeństwa. Owo kontrspołeczeństwo położyło zdaniem Macrona podwaliny pod rozwój terroryzmu inspirowanego religią muzułmańską. Prezydent przyznał, że Francja również ponosi odpowiedzialność za rozwój radykalnego islamu: „Sami zbudowaliśmy

własny separatyzm. Władze zbyt długo gromadziły imigranckie głównie społeczności w ubogich dzielnicach, z niewystarczającym dostępem do rynku pracy i transportu publicznego, co doprowadziło do »gettoizacji naszej republiki«”. Do tego dochodzi przemoc policji, w nieproporcjonalnie większy sposób dotycząca niebiałych Francuzów, zwłaszcza pochodzących z Maghrebu. Macron powtórzył też, że Francja „to kraj o kolonialnej przeszłości i trauma związana z tym okresem jest nadal żywa”. Lata zaniedbań i pozostawienie pewnych grup społecznych samym sobie wytyka francuski prawnik pochodzenia algierskiego Chems-Eddine Hafiz w artykule dla „Le Monde”. „Po dłuższym czasie bycia ignorowanymi niektóre populacje stają się autonomiczne, przestają czuć się związane z prawami republiki. Ustalają swoje reguły i zasady, których przestrzegają. Ciężko stawiać czoła tak skomplikowanemu, wielo-poziomowemu wyzwaniu, jeżeli przez dekady było ono i jest zamykane pod dywan”, pisze.

Echa wystąpienia Macrona

Choć bronienie świeckich wartości i otwarte przyznanie, że we Francji funkcjonują *de facto* dwa

► społeczeństwa, w tym jedno z głębokim poczuciem niesprawiedliwości, brzmiało jak wyważony pogląd, to zdecydowane komentarze pod adresem islamu sprowadziły na prezydenta falę krytyki, przede wszystkim ze strony muzułmańskich aktywistów, choć wielu z nich (jak zwykle) potępiło ostatnie ataki. „Wykorzystywanie islamu i mniejszościowych społeczności muzułmańskich w celu pozyskania nowych sympatyków oraz promowanie wojny kulturowej z mniejszościami w środku pandemii koronawirusa świadczy bardzo wymownie o tych, którzy promują takie podziały”, skomentował całą sytuację Miqdaad Versi, dyrektor ds. monitorowania mediów w Muslim Council of Britain. Na Macronie suchej nitki nie zostawił Yasser Louati, muzułmanin i aktywista francuski. „Niegdyś represje wobec muzułmanów były zagrożeniem, teraz są już obietnicą. W godzinnym przemówieniu Macron pogrzał sekularyzm, ośmielił skrajną prawicę i inne antymuzułmańskie środowiska i zagroził życiu muzułmańskich uczniów, wzywając do drastycznych ograniczeń w nauczaniu domowym pomimo globalnej pandemii”, napisał na Twitterze. Nagiv Azerigui, założyciel Związku Francuskich

i na ich pozycji społecznej. Należy do nich Hassen Chalghoumi, imam z Drancy pod Paryżem. „Ideologia chcąca odseparować muzułmanów od reszty społeczeństwa istnieje”, mówił w wywiadach dla francuskiej prasy. Chalghoumi potrzebuje ochrony, ponieważ religijni radykałowie wielokrotnie grozili mu śmiercią. Jego zdaniem republika musi działać, aby poradzić sobie z fundamentalistami, którzy próbują swoją narrację narzucić w szkołach i wpływać zwłaszcza na młodych ludzi. W podobnym tonie wypowiada się Hakim El Karoui, autor analiz o roli islamu we Francji. Uważa on, że przemówienie Macrona było skierowane przeciw radykałom, ale wspierało muzułmanów.

Wyczekiwana ustawa

Pretekstem do wygłoszenia przemówienia, oprócz oczywiście ataku nożownika w Paryżu, jest przede wszystkim projekt ustawy przeciwko separatystycznym groźbom, który ma zostać przedstawiony pod koniec tego roku. W obecnych okolicznościach zdecydowanie zyskuje on na znaczeniu. To rozszerzenie ustawy z 1905 r. o rozdziale Kościoła od państwa. Urzędnicy zapewniają,

świeckości państwa i pozostawienie religii i symboli religijnych poza sektorem publicznym oraz szkolnictwem. Od ustawy oczekuje się też, że ukróci proceder zagranicznego finansowania meczetów i prywatnych szkół religijnych, a także zablokuje ściąganie imamów z zagranicy, ponieważ często są oni powiązani z radykalnymi grupami, takimi jak Bracia Muzułmanie czy salafici. Imamowie mają być kształceni we Francji, tak by „nauczyli się języka i praw republiki”. Zwiększyć ma się nadzór nad szkołami językowymi, gdzie wykładany jest turecki lub arabski, stowarzyszeniami i osobami podejrzanymi o szerzenie radykalizmu i separatyzmu religijnego. Mają być wyciągane konsekwencje wobec tych, których zachowania wskazują na dyskryminację pćciową, np. wymagają oni od kobiet przed ślubem świadectwa dziewictwa. W planach jest też wprowadzenie obowiązku szkolnego od trzeciego roku życia i zakaz nauczania w domu (co w obliczu pandemii nie brzmi przekonująco), tak aby zapobiec powstawaniu nieformalnych szkółek, gdzie dzieciom przekazywane są radykalne poglądy.

Dodatkowo polityczka z partii Macrona Laetitia Avia pracuje nad ustawą o mowie nienawiści, a konserwatywny polityk Christian Jacob zapowiedział, że przedstawi propozycję regulacji treści mediów społecznościowych i anonimowości w internecie, co ma pomóc w walce z terroryzmem.

Poparcie dla skrótu w prawo

Niektórzy komentatorzy zarzucają Macronowi, że chwytą się najprostszego triku populistów i zaczyna straszyć islamem, zamiast jasno oddzielać radykalizm od religii lub skupić się chociażby na walce z rosnącymi w siłę skrajnie prawicowymi ruchami *alt-right*. Może to być też sposób na zatrzymanie spadku poparcia na półmetku prezydentury i zaskarbiecie sobie sympatii wyborców mocno konserwatywnych, którzy teraz znajdują reprezentację polityczną np. w osobie Marine Le Pen. Le Pen nigdy nie kryła się ze swoją antymuzułmańską retoryką, a w obliczu kolejnych morderstw rację mogą jej przyznawać także osoby spoza twardego elektoratu. W reakcji na komentarze Macrona o tym, że ekstremiści nigdy

Władze zbyt długo gromadziły imigranckie głównie społeczności w ubogich dzielnicach.

Muzułmańskich Demokratów (Union des Démocrates Musulmans Français, UDMF), uważa, że za proponowaną ustawą kryje się przyzwolenie na stygmatyzację.

Stu znanych francuskich muzułmanów wystosowało list otwarty, w którym wzywają rząd do zaprzestania stygmatyzacji wyznawców islamu, zwłaszcza kobiet i muzułmanów z klasy robotniczej. „Żądamy zaprzestania stygmatyzacji muzułmańskich kobiet, których ubiór stał się przedmiotem narodowej debaty, bez względu na to, czy noszą chustę, czy nie. Czas przestać krytykować tych, którzy nie pozostają obojętni wobec rasistowskich przemówień dominujących medialny przekaz”, napisali.

Jednak są też muzułmanie, którzy jasno wyrażają poparcie dla działań Macrona, zdając sobie sprawę, że szalejący radykalizm i powtarzające się ataki odbijają się na nich samych

że termin ten obejmuje także grupy rasistowskie i gloryfikujące np. tzw. białą rasę. Jednak wielu obserwatorów uważa, że projekt jest wyraźnie skoncentrowany na monitorowaniu islamskiego ekstremizmu. Z sondą przeprowadzonego przez instytut Odoxa-Dentsu wynika, że ponad trzy czwarte respondentów popiera proponowane ustawodawstwo. Jednak prawie sześciomilionowa społeczność muzułmańskich Francuzów (największa populacja muzułmanów w Europie) obawia się, że retoryka Macrona jeszcze bardziej zantagonizuje społeczeństwo i napędzi już i tak mocno rozwinięte nastroje antymuzułmańskie. Obecne działania rządu to lawirowanie między inkluzywnością a bezpieczeństwem i próba pogodzenia często sprzecznych oczekiwań.

Macron podkreśla, że przygotowana ustawa ma na celu utrzymanie

nie wygra, Marine Le Pen napisała na Twitterze: „Już tu są – także w naszych szkołach!”. Prezydent wyraźnie czuje, że musi ostrzej zareagować na problem islamskiego terroryzmu. Widać to w jego ostatnich decyzjach. Macron stopniowo odchodzi od liberalnej retoryki, jaką głosił, kiedy wprowadzał się do Pałacu Elizejskiego. We wrześniu przedstawił plan zaostrzenia polityki migracyjnej, tłumacząc, że przyszedł czas, aby ściślej stosować przepisy azylowe. O „skręcie w prawo” mogą też świadczyć zmiany w gabinecie Macrona.

Kluczowe stanowisko w resorcie spraw wewnętrznych przypadło G raldowi Darmaninowi, mocno konserwatywnemu politykowi (notabene oskarżonemu o gwałt), niegdyś protegowanemu byłego prezydenta Nicolasa Sarkozy’ego. Jako szef MSW Darmanin ma pod kontrolą m.in. policję. W publicznych wypowiedziach opisuje Francję jako przechodzącą fazę zdziczenia (*ensauvagement*), wprost używając retoryki skrajnej prawicy. Z drugiej strony w jednym

z ostatnich wywiad w podkreślił, że „nie ma sprzeczno ci mi dzy byciem muzułmaninem a byciem francuskim obywatelem”. W obliczu kolejnych brutalnych atak w g losy te zdaj  się jednak s abn c. W ostatnich tygodniach wida  siln  motywacj  Francuz w, aby odkurzy  i wzmocni  nieco zapomniany koncept laicko ci. Regionalny magazyn „Le Telegramme” napisa , że atak na nauczyciela

s  w niezwykle wa ny,  eby jeszcze bardziej nie zaogni  sytuacji. Cz sto publicznie pokazywa , jak szuka odpowiedniego j zyka,  eby m wi  o radykalizmie religijnym bez oskar en o ksenofobi . Przem wienie by o zaplanowane ju  od jakiego  czasu, ale kilkakrotnie je przek adano. W asnie z uwagi na wielk  presj  i pr b  zapanowania nad reakcjami, kt re mia y si  pojawi  po przemowie. Jego

Przem wienie Macrona by o skierowane przeciw radyka om, ale wspiera o muzu man w.

„jest gorzkim przypomnieniem tego, w jak du ym stopniu francuski model edukacji i oddzielenia Ko ci a od pa stwa s  zagrożone”.

Przem wienie Macrona i zapowiedane zmiany legislacyjne wychodz  naprzeciw coraz g o niejszym i silniejszym naciskom spo ecznym na r  d, aby w spos b zdecydowany przeciwstawi  si  fundamentalistom i broni  wolno ci s owa. Macron wiedzia ,  e stawka jest wysoka, a dob r

agend  zdecydowanie wzmocni y ostatnie tragiczne ataki. Z jednej strony, wyst pienie Macrona mo e by  katalizatorem dalszego roz amu spo ecznego, z drugiej – tylko zdecydowane wskazanie problemu i t mienie radykalizm w w zarodku, np. w szkole, mo e si  okaza  skuteczne i przywr ci  jaki  rodzaj bezpiecze stwa w targanej przemoc  Francji.

Katarzyna Mierzejewska



LE MONDE EDYCJA POLSKA
diplomatique

Geopolityczna batalia o technologię 5G
Jewgienij Morozow

Oskar en z El-Hafin
Go cie H alini

Strach i nienawi c Ameryki
Thomas Fr nk

Polityka ekologiczna dla klasy robotniczej
Matt Huber

W ho dzie Davidowi Graeberowi
Angelika Kossy

W bieżącym numerze tak e:

- Nicholas Boston
▶ **Pomazanie Ko ciuszki a wymazywanie Afropolak w**
- Przemys aw Witkowski
▶ **Antyromska przemoc we W oszech**
- Tomasz Wi licz
▶ **Od faktora do upiora: Zelman Wolfowicz**
- Jacek Dro da
▶ **Thomas Sankara – zdradzony bohater Afryki**

Do nabycia w salonach prasowych empiku.
Roczna prenumerata (6 numer w): 92 z 
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Ksi zka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-618 Warszawa, telefon: 22 524 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Co się stało z partią ludu?

Amerykańscy demokraci stracili białą klasę robotniczą. Żeby odsunąć Trumpa od władzy, muszą ją odzyskać

Jakub Dymek

To już powoli staje się tradycją. Zbliżają się wybory i duże gazety – wielkomięskie dzienniki z Waszyngtonu, Nowego Jorku czy Bostonu – wysyłają swoich reporterów do serca Ameryki. Pytania, z którymi jadą oni do interioru, by poznać krajan, są niezmiennie: „Co ci ludzie, zwykli ludzie, mają w głowie?”. Z jakiego powodu – zastanawiają się z zaskakującą regularnością redaktorzy gazet – robotnik, gospodyni domowa czy rencista z amerykańskiej prowincji chcą poprzeć republikanów, partię milionerów, choć sami ledwie wiążą koniec z końcem? Matt Taibbi, złośliwy reporter i komentator polityczny, ujął to w nawet zwięźlejszy sposób: „Dlaczego nas nienawidzą?”. Bo rzeczywiście o to chodzi – o rosnącą niechęć zwykłych ludzi do elit, mediów i partii politycznej, które wszystkie deklarują, że są po ich stronie. I tak co cztery lata.

Ta debata ma wszelkie cechy rytuału. Powtarza się w regularnych cyklach, wymaga deklamowania tych samych formuł i zaklęć, ma swoich kapłanów i święte księgi. Jednak problem, którego dotyczy, nie jest mitem. Amerykańskie media tak uparcie – czasami wręcz komicznie brnąc tymi samymi koleinami – wracają do tematu, bo i on uparcie nie chce zniknąć.

Partia Demokratyczna, która zajmuje lewą stronę amerykańskiej sceny politycznej, budzi coraz większą niechęć ludu. Ci sami, o których demokraci obiecują walczyć, często najmocniej odrzucają program, język i styl tej partii. Klasa robotnicza i niezamożni biali – jak to było w 2016 r. – nierzadko woleli poprzeć Trumpa, niż przedłużyć rządy demokratów, ich partii, w Waszyngtonie. To zjawisko ma już pół wieku historii – i choć napisano o nim tuziny analiz i książek, nikt jeszcze nie był tak mądry, by znaleźć receptę. A tegoroczne wybory są zdaniem wielu wręcz powtórką z 1970 r., gdy to wszystko się zaczęło.

Co z tą prowincją?

W tym roku znak, że należy rytualnie się pochylić nad problemem klasy robotniczej, dał „New York Times”. Wyścig nowojorskiej gazety pojechał miesiąc przed wyborami do miasteczka w niezwykle ważnym dla wyniku stanie Pensylwania, żeby zdać relację z „bitwy o białą klasę robotniczą”. Warto przybliżyć ten reportaż, bo znać jeden taki tekst, to jak znać je wszystkie.

Reporter przyjeżdża na postprzemysłową pustynię gdzieś w Pensylwanii (w innym wariantcie: do Ohio albo Michigan), do miejsc, gdzie po latach świetności fabryk i zakładów produkcyjnych zostały tylko wspomnienia i ruiny. Na miejscu spotyka ludzi o słowiańsko lub irlandzko brzmiących nazwiskach, potomków ciężko pracujących imigrantów, którzy przez całe pokolenia – od kiedy dziad lub pradziad dobił do brzegów Ameryki – pracowali w kopalni, hucie, montowni samochodów. W pewnym momencie jednak w życiu tych ludzi pojawia się tragedia: inwalidztwo, bezrobocie, choroba jednego z członków rodziny, uzależnienie od narkotyków lub opiatowych środków przeciwbólowych. I gdy ta tragedia przychodzi, okazuje się też, że na miejscu już nie sposób zarobić na

życie, choćby każdy członek rodziny chciał pójść do pracy na dwie zmiany. Nie ma już huty, kopalni, fabryki – można pracować w markecie albo w całodobowej restauracji. Ale ile osób w kilku- czy kilkunastotysięcznym miasteczku może się zatrudnić w marketach bądź knajpach?

Czy są tu rasiści?

Ci sami ludzie włączają potem telewizor i słyszą, że politycy Partii Demokratycznej i elity medialne mówią dużo o problemach mniejszości, prawach terrorystów osadzonych w Guantanamo i łamaniu praw człowieka w Chinach. Ale nie mówią o nich. Gdy pojawia się temat gospodarki, gadające głowy w telewizorze opowiadają o wolnym handlu i wsparciu dla innowacji, ale nie sposób się dowiedzieć, czy będzie praca dla zwykłych ludzi. I dlatego wciąż zamykają zakłady na prowincji, przecież ludzie chcą pracować!

Co gorsza, z radia i telewizji ci zwykli Amerykanie słyszą, że są rasistami, seksistami, homofobami. Jedyne kanały, gdzie nie czują się poniżani czy pouczeni, to prawicowy Fox News i przemówienia konserwatywnych kaznodziejów. Od nich wiele nauczył się też Trump, który w oczach białych wyborców z klasy robotniczej jawi się jako swój. Bo choć optywa w luksusy i żeni się z modelkami, to nigdy nie wmawia im, prostym facetom, że coś jest z nimi nie tak. Ludziom wydaje się, że prezydent i jego partia akceptuje ich takimi, jakimi są – niedoskonałymi.

Reporterzy „New York Timesa” dobrze pokazali – choć pewnie nie taki był ich zamiar – skąd może brać się problem. Na miejscu poznają niejakego Dave’a Mitchka, który choć głosował na Baracka Obamę dwa razy, dziś popiera Trumpa. „Nie jesteś rasistą?”, pytają go. „Nie, nie jestem, nienawidzę nadużywania tego słowa, ale mam już w dupie to, że wszyscy chcą mnie tak wyzywać”, na wszelkie





Wiec poparcia dla prezydenta Donalda Trumpa w stanie Pensylwania, 22 września 2020 r.

sposoby zaprzecza Mitchko. Był robotnikiem w fabryce nośników CD i DVD. Stracił zdrowie i pracę, ale po jej utracie nie stać go było nawet na ubezpieczenie zdrowotne dla uboższych, popularnie zwane Obamacare – od nazwiska prezydenta, którego bohater reportażu najpierw poparł, a na końcu nim się rozczarował. „Ale na pewno nie jesteś rasistą ani Trump nie jest rasistą?”, drążą dziennikarze. Ciągną tak dobrych kilka minut niezrażeni tym, że ich rozmówca był przecież wyborcą i sympatykiem pierwszego czarnoskórego prezydenta USA. I wyjeżdżają nadal nieprzekonani.

Tymczasem Mitchko, wściekły, od wakacji zdążył wraz z rodziną rozdać 26 tys. transparentów i ogrodowych szyldów nawołujących do głosowania na Trumpa.

Ucieczka na prawo

Historia pana Mitchka ze stanu Pensylwania jest czymś więcej niż anegdotą. Przykład rencisty z klasy robotniczej, który porzucił tradycje głosowania na demokratów, by poprzeć milionera w Białym Domu, pokazuje problem w miniaturze. Ucieczka

białych wyborców z klasy robotniczej i przemysłowej do republikanów – partii deregulacji i niskich podatków dla milionerów – rzeczywiście zaczęła się w latach 70. Są nawet tacy, co twierdzą, że potrafia wskazać konkretny dzień i decyzje demokratów, które „na zawsze” oderwały ich od robotników. W skrócie jednak, jakkolwiek by tę historię opowiadać, zaczyna się ona od lęków białych robotników o ich miejsce w społeczeństwie i o skutecznej kampanii prawicy, dążącej do podziału pracującego elektoratu po linii rasy. Richard Nixon straszył pół wieku temu, że protestująca na ulicach lewica, pacyfiści i młode feministki to dzieci z dobrych domów, które chcą podpalić amerykańskie (czytaj: białe) przedmieścia. I że los zwykłego człowieka wcale ich nie obchodzi. Ta kampania okazała się zabójczo skuteczna. Później dwukrotnie jeszcze demokraci Bill Clinton i Barack Obama wygrali, bo udało im się w czasach nadziei na lepsze jutro (w 1992 i 2008 r.) zdobyć wystarczająco dużo poparcia na prowincji. Ale trend istnieje – Hillary Clinton zdobyła mniej głosów białych robotników niż jakikolwiek demokratyczny kandydat po II wojnie światowej.

Takich Mitchków jest po prostu więcej. Z biegiem lat ludzie głosujący czasem całymi rodzinami i od pokoleń na demokratów postanowili zarzucić ten zwyczaj. Najczęściej tłumacząc tę decyzję krótkim: *They don't care about us* – oni się nami nie przejmują. I dlatego historia Mitchka pokazuje problem – jest białym facetem z postprzemysłowej prowincji i dotknął go kryzys. Bieda w USA wcale nie ma białego koloru – wbrew prawicowej propagandzie o biednych irlandzkich robotnikach i kolorowych „królowych na zasiłku”. Jednak o ile afro- i latynoamerykańscy wyborcy utożsamiają poprawę swojego losu z programami społecznymi proponowanymi przez demokratów, o tyle biali robotnicy mają demokratom za złe decyzje, które wyrzuciły ich poza rynek pracy. Co ciekawe, jedni i drudzy mają rację.

Polityka społeczna demokratów i duże programy inwestycji publicznych w duchu New Deal czy „wielkiego społeczeństwa” z lat 30. i 60. pomogłyby dziś klasie robotniczej, w szczególności najbiedniejszym czarnoskórym i Latynosom. Białym oczywiście też. Z drugiej strony ci biali uważają, że całe dekady rządów

► demokratów – wspierania polityki wolnego handlu, przenoszenia miejsc pracy do Chin, budowy „gospodarki opartej na wiedzy” i zgody na likwidowanie przemysłu w imię ekologii i innowacyjności – doprowadziły ich do sytuacji, w której muszą wyciągać rękę po pomoc. Na prowincji biali bardziej widzą swoją nędzę, bo nie ma tam gett czy dużej imigracji, za to często panuje gospodarcza monokultura, której nie ma w miastach obu wybrzeży. Słowem, jak upadnie papiernia albo fabryka śrubek, to podupada całe miasto, bo na jej miejscu nie powstanie już kolejny zakład.

Pensylwania właśnie dlatego jest w nadchodzących wyborach kluczowym stanem. To tam – ze względu na elektorski system wyborów i wyrównane szanse obu kandydatów – może się rozstrzygnąć wynik. I właśnie w takich miejscach, gdzie lata podobnej polityki doprowadziły do katastrofy społecznej, biali wyborcy mogą przedłużyć (lub nie) rządy Trumpa. Ale twarde gospodarcze fakty i bolesna prawda o upadku całych regionów wyrażają się najczęściej w języku wściekłości na elity.

Z nas tylko się śmieją

Mówienie o rasie i kulturze staje się swego rodzaju skrótem do wyrażenia całej masy obaw i frustracji, które niekoniecznie mają podłoże

rasowe i kulturowe. Skomplikowane i długotrwałe procesy ekonomiczne i społeczne w wyborczej grze o sumie zerowej rzeczywiście zostają jednak zredukowane do prostych i odwołujących się do emocji haseł. Na pewno nie było tak, że wszyscy robotnicy, którzy zdezerterowali na stronę republikańską, to jawni i ukryci rasisci. Ale nie można również powiedzieć, że próby szczucia białych i niebiałych wyborców przeciw sobie pozostały bez efektu.

Biali robotnicy mają demokratom za złe decyzje, które wyrzuciły ich z rynku pracy.

Dlaczego wobec tego mówimy o grze o sumie zerowej i co to w tym kontekście oznacza? Bo biali wyborcy bez wyższego wykształcenia – grupa, która dała Trumpowi pierwsze zwycięstwo i może dać drugie – uważają nierzadko, że postęp dokonuje się ich kosztem. Że aby zapewnić szacunek, uznanie i równość wszystkim dotychczas dyskryminowanym grupom: gejom i lesbijkom, muzułmanom i imigrantom, kobietom i dziewczynom, trzeba będzie kogoś pominąć. Można krytykować bezduszny społeczny darwinizm leżący u podstaw tego myślenia, ale faktem jest, że amerykańskie media i elity przedstawiają politykę jako wieczną grę o prestiż, uznanie i uwagę. W tym sensie

demokratyczne elity, chcąc dobrze, same dołożyły się do problemu, który dziś potępią jako falę rasizmu. Dave Mitchko z Pensylwanii, który rozmawia o tym z reporterami „New York Timesa”, tłumaczy to następująco: im bardziej ludzie naznaczają go i wytykają jako „rasistę”, tym mniej ma ochotę słuchać lewicy w ogóle.

„Elegia dla bidoków”, autobiografia chłopaka z górniczego regionu Appalachów, który wyrwał się z tego błędnego koła nędzy i wściekłości,

była czytelnicznym hitem w 2016 r. Na wyciągnięcie z niej lekcji nie było już wtedy czasu. Babcia autora i bohatera książki, J.D. Vance’a, mówi w niej, jak to „nasi” – biali wieśniacy – stali się ostatnią grupą, którą otwarcie można pogardzać i wyśmiewać w mediach. Wielu komentatorów uznało to za najlepszy opis emocji, które pomogły Trumpowi wygrać wybory.

Jednak pytanie, co było pierwsze – kwestie kultury, rasy, geografii czy gospodarka – jest już od dawna pozabawione sensu. Jedno wpływa na drugie – wykluczenie ekonomiczne i utrata szans na rynku pracy wzmacnia resentymenty rasowe. Lecz antyetylaryzm i wściekłość na politykę tożsamości wpędzają też białych wyborców w popieranie antypracowniczych postulatów prawicy, która obiecuje obciążyć zasiłki „nierobom” i „imigrantom”. Lewica z kolei przez ostatnie ponad 20 lat patrzyła na badania demograficzne i zacierała ręce – bardziej „kolorowa” Ameryka, myśleli demokraci, oznacza, że na trwałe zepchną republikanów do narożnika. Nic podobnego się nie stało – po prostu więcej białych zdążyło uciec na prawą stronę, by znów wyrównać tę walkę.

Dziś rozstrzyga się ona w miejscach takich jak Pensylwania i jej postprzemysłowe miasteczka. I chodzi o ludzi takich jak Dave Mitchko. To zdaniem obserwatorów najważniejsza kwestia w tych wyborach. Czy biali robotnicy jeszcze do demokratów wrócą, czy równo 50 lat po tym, jak Richard Nixon pierwszy raz wygrał dzięki nim, historia się powtórzy.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com



Wyślij SMS o treści KASZTANEK 7412
koszt SMS 4,92 zł z VAT

7910
koszt SMS 11,07 zł z VAT

91950
koszt SMS 23,37 zł z VAT i kup tapetę

Ten niewielki, rudy koń ma tylko kilka lat. Miał być spełnieniem marzeń. I być idealny pod każdym względem. Miał mieć piękną rudą sierść — i ma, miał mieć białą strzałkę na głowie — jest! Miał mieć białe skarpetki na zadnich nogach — są! Miał chodzić pod siodłem i miał skakać. Ma i te zalety. Miał mieć dobry dom z powodu tych zalet, ale zamiast domu ma rzeźnicki kantar na głowie i wyrok śmierci.

Kasztanek to koń kupiony z ogłoszenia. Wybierano go długo, bo przecież zakup zwierzęcia to wielka odpowiedzialność i trzeba do tego odpowiednio podejść. Kupujący konia na żywo nie oglądali, ale w dobie Internetu nikogo to już nie dziwi. Widzieli wiele zdjęć, kilka filmów. Pasował do opisu, przelew poszedł i Kasztanek przejechał wiele kilometrów tylko po to, by okazać się rozczarowaniem.

Kupujący zapomnieli spytać ile Kasztanek ma wzrostu i do głowy mu nie przyszło, że jest większym kucem. Gdy z przyczepki wysiadł niski, drobny koń, nie chcieli go wziąć, ale sprzedający też nie chciał konia zabrać ani oddać pieniędzy. Stanęło na tym, że niechcianego Kasztanka wziął handlarz. Byleby tylko on, rudy Kasztanek zniknął z oczu nowym właścicielom.

Dziś z wyrokiem śmierci czeka na rzeź. Ma zostać zabity, choć nie zrobił nic złego. Możemy ocalić Kasztanka. Może on dołączyć do stada ocalonych koni. Może mieć szansę na dobry dom, gdzie będą się o niego troszczyć. Więc prosimy z całego serca, pomóżcie go ocalić. Kasztanek ma tylko nas.

By go spłacić i przewieźć potrzeba 7650 zł. Potrzebne są też środki na opiekę weterynaryjną, kowalską, na dobre pasze.

Prosimy, jeśli chcesz i możesz, wesprzyj go grosikiem. Dziś dla Kasztanka każda wpłata to szansa na życie. Na zebranie całej kwoty mamy czas do 29 października.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem KASZTANEK na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkdm>

Kasztanek grzecznie stoi, jak każe mu handlarz i uparcie wpatruje się w obiektyw aparatu. Może wie, że jesteśmy dla niego ostatnią szansą na ratunek, a może po prostu szuka kontaktu z człowiekiem i liczy na kawałek marchewki. Być może ostatni w swoim życiu...

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Początek katastrofy

Podczas wiecu w stanie Georgia Donald Trump mówił o perspektywie zwycięstwa swojego rywala w nadchodzących wyborach. Prezydent odgrażał się, że będzie musiał opuścić kraj, jeśli przegra z Joem Bidenem. Obejrzałem serial dokumentalny o Trumpie. To psychopata i człowiek pozbawiony sumienia. Ten świetny kandydat na prezydenta Rosji jakimś cudem został prezydentem USA. Ironia historii, że Trump ma być wedle PiS jedynym pewnym sojusznikiem Polski. W jakim trzeba być umysłowym pomieszaniu, by wierzyć, że można na niego liczyć w biedzie. Prezes uważa, że zagraża nam Unia Europejska, a Stany zakonserwowane przez Donalda Trumpa są wybawieniem. Niedawno mówił: „Nawet w warunkach komunizmu pewne sfery ludzkiej wolności, możliwość wyboru były do obronienia. (...) A dziś instytucje Unii Europejskiej (...) żądają od nas, byśmy zweryfikowali całą naszą kulturę, odrzucili wszystko, co dla nas arcyważne”.

Jak rozumiem, jesteśmy w tej strasznej Unii ciałem obcym, weszliśmy tam lisim podstępem, dla kasy. Za chwilę weźmiemy swoje i w krzaki. W tym temacie wypowiada się wiceministra kultury Magdalena Gawin (i pomyśleć, że byliśmy dawno temu w jednej redakcji liberalnej „Res Publici”). Strasznie jest obserwować, jak ideologiczna maszyna do mielenia mięsa robi z ludzi mielone kotlety). Ministra zapowiada kolejną „reformę humanistyki” na uniwersytetach. Uważa, że konieczne są zmiany wprowadzane pod hasłem „uniarodowienia”. Polska humanistyka ma być uprawiana „nie po to, żeby zachwycić Paryż czy Londyn”. Won, liberalna Europo, tu jest Polska! Nauka ma być narodowa i patriotyczna. Wiceministra porównała obecność gender studies na uniwersytetach do teorii eugenicznych i rasistowskich, które były tam wykładane przed stuleciem.

No tak, PiS uważa humanistykę za dziedzinę kluczową politycznie. To już było. Stalinieści też wierzyli, że uczeni i artyści mają być narzędziami do „pierekowki dusz”. Przemiana duchowa, stworzenie nowego Polaka to również wizja prezesa. W czasach stalinowskich był terror, zmuszano artystów lub wabiono, dając im np. pieniądze, mieszkania, by tworzyli i pisali wedle wzoru. Sterroryzowani i oszołomieni majaczyli jak Piekarski na mękach i produkowali koszmarki zamiast sztuki. Teraz PiS także chce mieć swoich naukowców i artystów, na nich wymienić tych starych, za mało narodowych, za liberalnych. Tylko bieda, jak to zrobić.

Nie dacie rady, mówię wam, przegracie. Wynikną z tego tylko gnioły. Niezwykła jest solidarność i jedno-myślność środowisk twórczych w sprzeciwie wobec PiS. Inna sprawa, że wszędzie, gdzie PiS wprowadza „dobrą zmianę”, staje się wielki bałagan. Tak jest choćby w edukacji. Znajoma nauczycielka z Cieszyna pisze mi: „Jakość kształcenia i tak spada z roku na rok przez nieustające eksperymenty na polskiej oświacie. Reforma Zalewskiej zrujnowała wszystko, co można by uznać za sukces gimnazjów. Do tego nowe podstawy programowe tak przeładowane i archaiczne, że aż absurdalne”.

Pisałem kiedyś okropne rzeczy o Giertychu. I jak dzisiaj pamiętam Macierewicza, gdy się puszył, przedstawiając pana Romana, nowy, niezwykle cenny nabytek prawicy. Wierzę, że zmiana, jaka się dokonała w Giertychu, jest autentyczna. Wiem, że ludzie rzadko tak radykalnie się zmieniają, ale to się zdarza. Jego wizyta w Jedwabnem, wszystko, co od lat pisze, mówi, jego przyjaźnie z ostatnich lat – to są dowody w tej sprawie. Niesłychana jest forma zatrzymania Giertycha, niechlujstwo wobec prawa i procedur i media reżimowe już czekające tam, gdzie trzeba, by sfilmować, co trzeba. Wszystko zostało skoordynowane. Prezes dał cynk, a Ziobro wykonał zadanie w swoim stylu i wygląda na to, że spartaczył. Teraz będą kłamać, kombinować, ale ten obrzydliwy spektakl przykryje zaraza.

Zaraza znowu się natężyła. Ta pisowska i covidowa. Znowu wszyscy zamaskowani. A ja się wirusa nie boję. Tajemnicza sprawa. Boję się wielu rzeczy: żony, banku, wypełniania kwestionariuszy urzędowych, że mi się zepsuje samochód, a jego się nie boję. Wielu znajomych w moim wieku umiera ze strachu. A czasami naprawdę. I coraz więcej zachorowań w moim kręgu towarzyskim. Ten mój brak obaw jest więc irracjonalny. A ja jestem taki racjonalny, więc sam siebie nie rozumiem.

Znajoma z małego miasteczka właśnie mi pisze: „Duszę się, gorączka, straciłam węch. Co mi jest?”. Odpowiadam: „Mam dla ciebie złą wiadomość, wezwij karetkę covidową”. Po kilku godzinach pisze: „Zabrała mnie karetka, czekałam w niej cztery godziny pod szpitalem, nie było miejsca, odwieźli do domu”. Tak chyba wygląda początek katastrofy.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl



Dzieci w szkole początkowo miały zachowywać odstęp 2 m, potem 1 m.

Wierzą autorytetom

Podstawą sukcesu krajów, którym udało się ograniczyć inwazję koronawirusa, jest zaufanie do rządu. I testowanie

Beata Igielska

19 października 2020 r. w Danii jest 452 zakażonych, sześć osób zmarło, szkoły i inne instytucje są otwarte, w szpitalach przebywa 129 zakażonych, na intensywnej terapii – 18, pod respiratorami – 11. W ciągu doby wykonano prawie 30 tys. testów, z czego ponad 9 tys. osób przetestowano po raz pierwszy. Według naczelnego lekarza Danii, prof. Mortena Sodemanna, świat wciąż nie ma wiedzy, kiedy i gdzie koronawirus mocno uderzy, jednak ma już narzędzia, żeby tę przypadkowość ograniczyć.

Potrzebne jest przede wszystkim zaufanie do rządu. Kiedy 11 marca premier Mette Frederiksen zamknęła dużą część kraju, Duńczycy dostosowali się do zaleceń: pracowali w domu, odwoływali wesela. Zamknięte zostały instytucje kulturalne, szkoły i placówki oświatowe. Nie było

szaleństwa z dezynfekcją rąk – wystarczyło je porządnie myć. Dopiero od połowy sierpnia, gdy większość firm zaczęła normalnie pracować, wszedł obowiązek noszenia maseczek w komunikacji publicznej i w szpitalach.

– Najpierw ceny masek były wysokie – ok. 10-12 koron za sztukę, czyli ok. 5-6 zł. Wtedy rząd ogłosił, że sprowadził do kraju dużo maseczek, jest zapas, i poprosił sprzedawców o obniżenie cen. Posłuchali, jedna maseczka kosztuje teraz ok. 2,5 korony, czyli nie więcej niż 1,5 zł. Po ogłoszeniu obowiązku noszenia maseczek rząd wydał również komunikat, że jedynym skutecznym zabezpieczeniem są maseczki chirurgiczne typu II. Większość ludzi znów zaufała rządowi i używa zalecanych modeli – mówi Mira Jørgensen, która od 13 lat mieszka i pracuje w Danii, mama dziecka w wieku szkolnym.

Gdy piszę ten tekst, szkoły i inne instytucje w Danii pracują normalnie. Po Wielkanocy zdecydowano, że ruszą podstawówki, najpierw klasy I-V. Dzieci spotykały się na parkingu, ustawiały na krzyżykach narysowanych na chodniku co 2 m, następnie szły, zachowując odstęp, długim rzędem do swoich klas. Przed wejściem do klasy musiały umyć ręce, śpiewając piosenkę „Stary niedźwiedź mocno śpi”, która trwa 20 sekund.

Po miesiącu, gdy już było widać pozytywne efekty startu najmłodszych, wróciły klasy VI-IX. Wskaźnik zarażania znacznie spadł, więc nakazany odstęp zmniejszono do 1 m. Rodzice od początku pandemii nie mieli wstępu do szkoły i do tej pory nie mają. Na parkingach są strefy *kiss&ride*, dziecko dostaje całusa i samo idzie do szkoły.

– Po powrocie do szkół klasy zostały podzielone na czteroosobowe grupy. Tylko w tych grupach dzieci pracowały na lekcjach, bawiły się na przerwie i mogły się spotykać w domu. Skład grup zmieniano co trzy tygodnie. Tak wyglądały pierwsze dwa miesiące. Potem stwierdzono, że dzieci nie mają wpływu na pandemię, i mogły już bawić się, z kim chciały – relacjonuje Mira Jørgensen.

Każda klasa ma wydzieloną część szkoły, placu zabaw itp. W razie

zarażenia nie wysyła się więc na kwarantannę całej szkoły, tylko określone klasy lub roczniki. Dzieci przebywają dużo na świeżym powietrzu, ale tak było zawsze. W pierwszej fazie otwarcia szkół nie było WF. Teraz zajęcia odbywają się praktycznie tak samo jak przed pandemią.

W czerwcu został oficjalnie przedstawiony raport pokazujący, że start szkół nie miał żadnego wpływu na pandemię, współczynnik zakażenia

zajęcia online, jedynie studenci, którzy musieli dokończyć swoje prace, spotykali się na żywo z prowadzącymi, laboratoria działały w ograniczonym zakresie. Od 1 września częściowo ruszyły szkoły wyższe. Ramy wyznaczyły same uczelnie.

Duńscy wirusolodzy uważają, że lepiej łagodzić ograniczenia, niż zaostrzać. Jeśli stopniowo się je zaostrza, wirus już się rozprzestrzenia. Rząd zadziałał więc zdecydowanie, nie tracąc czasu na obmyślanie

Duńscy wirusolodzy uważają, że lepiej łagodzić ograniczenia, niż zaostrzać. Jeśli się je zaostrza, wirus już się rozprzestrzenia.

wręcz spadał, dopóki ludzie nie zaczęli wyjeżdżać na wakacje. W czasie wakacji podskoczył do 1,4, a teraz jest na poziomie 1. W wakacje chorowali lekko głównie młodzi ludzie – ofiary tajnych dyskotek, niby na świeżym powietrzu, niby spontanicznych, ale doskonale zorganizowanych.

W szkolnictwie wyższym do końca roku akademickiego były tylko

strategii. Teraz, zdaniem ekspertów, najważniejsze jest, aby nadal przestrzegano ograniczeń. Ludzi nie można ciągle bombardować wskaźnikami zakażeń, bo z czasem uodparniają się na taką wiedzę. Tu dobrą robotę wykonują państwowe media – nie straszą, lecz edukują.

Nie bez znaczenia jest fakt, że duński system opieki zdrowotnej dobrze

funkcjonuje i jest łatwo dostępny, co umożliwia także szybkie rozprzestrzenienie sprzętu ochronnego.

Kolejna sprawa to testowanie na szeroką skalę. Tylko tak można śledzić miejsca rozprzestrzeniania się wirusa. Duńscy eksperci uważają, że testów powinno być jeszcze więcej w sezonie grypowym. Bo jeśli zakażeni potraktują objawy COVID-19 jak przeziębienie, spowoduje to błyskawiczne szerzenie się wirusa. Ponadto testowanie jest ważne z punktu widzenia zdrowia psychicznego, najgorsza jest niepewność. Zwracają też uwagę, że nie można zapominać o leczeniu innych niż COVID-19 chorób. Wciąż są przecież ludzie chorzy na raka, na serce i ci, którzy potrzebują nowych bioder. Zaniedbanie tego spowoduje wyższą śmiertelność w przyszłości. Jeśli tak by się stało, na niewiele zda się dobra strategia walki z koronawirusem.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



6.11 piątek / 19:30
7.11 sobota / 18:00

**Orkiestra
Filharmonii Narodowej**

Christoph König
dyrygent

Nidecki
Uwertura do opery *Duch ponurych wysp*
albo *Zwierciadło przyszłości*

R. Strauss
Metamorfozy na 23 instrumenty smyczkowe

Beethoven
VIII Symfonia F-dur op. 93

2020 / 2021

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

**Filharmonia
Narodowa**

Organizator

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

PGE
Polska Grupa Energetyczna



Polskie sądy niewiarygodne

Coraz więcej państw wstrzymuje ekstradycję przestępców do naszego kraju

Mateusz Mazzini

Długie blond włosy, wyraźny makijaż, równa opalenizna, szeroki uśmiech, zielone oczy – Magdalena Kralka przypomina raczej internetową influencerkę niż szefową zorganizowanej grupy przestępczej, ściganą międzynarodowym listem gończym. Pochodząca z Krakowa 32-latką, dziś częściej funkcjonująca w mediach jako Magdalena K., ma tymczasem na koncie więcej „osiągnięć” w świecie kryminalnym niż niejeden doświadczony gangster. Po śmierci poprzedniego lidera grupy, Adriana Z., „Zielonego”, który zginął w czasie interwencji policji w 2017 r., oraz aresztowaniu jego brata i jednocześnie męża kobiety, przejęła zarządzanie gangiem złożonym głównie z pseudokibiców Cracovii. Ich podstawowym źródłem dochodu był przemyt narkotyków i broni, przede wszystkim z Holandii i Hiszpanii. Małopolska policja szacuje, że ludzie Kralki sprowadzili do Polski substancje odurzające o wartości co najmniej 4,5 mln euro. Specjalizowali się w suszu marihuanowym i kokainie, ale szybko znajdowali też nabywców na broń półautomatyczną.

Za Kralką wydano w lutym 2019 r. tzw. czerwoną notę Interpolu, najwyższy możliwy alert poszukiwawczy, i europejski nakaz aresztowania. Polska policja nie zdążyła gangsterki złapać, bo kobieta uciekła z kraju i w marcu tego roku znalazła się na Słowacji. I natychmiast rozpoczęła procedurę ubiegania się tam o azyl. Twierdziła, że pościg za nią ma charakter polityczny, a polski wymiar sprawiedliwości po upolityczniających reformach Zbigniewa Ziobry nie jest już niezależny. We wniosku powoływała się na łamanie przez Polskę zasad praworządności obowiązujących w Unii Europejskiej,

a Sąd Okręgowy w Bańskiej Bystrzycy wykonał europejski nakaz aresztowania. 32-latką została wydana polskim organom ścigania na początku października. Grozi jej do 15 lat pozbawienia wolności.

Sprawa Kralki jest jednak raczej wyjątkiem niż regułą. Kobieta udało się przejąć polskim władzom bez większych komplikacji, również dzięki nieugiętej postawie słowackich sądów. Znacznie częściej zdarza się, że polscy przestępcy na odsiadkę do kraju długo nie wracają. I to wcale nie dlatego, że trudno ich złapać czy nagle wykształcili elokwencję pozwalającą im omamić zagranicznych

Wątpliwości zagranicznych sędziów dotyczą stanu polskiego wymiaru sprawiedliwości.

ręczne sterowanie śledztwami prokuratorskimi i zmiany personalne w Sądzie Najwyższym. Wszystkie te zdarzenia miały zdaniem adwokatów Kralki dowodzić, że jeśli poszukiwana wróci do kraju, nie ma szans na sprawiedliwy proces.

Dość kuriozalna historia „Miss Kiboli”, jak ochrzciła ją prasa sportowa, miała mimo to przewidywalne zakończenie. Słowacki Sąd Najwyższy odrzucił jej wniosek o azyl polityczny,

sędziów. Wręcz przeciwnie, ci ostatni mogą być nawet przekonani o winie naszych rodaków, ale do Polski odsyłać ich od razu nie chcą. Z tych samych powodów, o których we wniosku azylowym pisała Kralka. Polski wymiar sprawiedliwości w opinii coraz większej liczby krajów nie jest niezawisły, nie można więc zakładać, że jego urzędnicy są bezstronni, a rozstrzygnięcia zgodne z jakimkolwiek normami prawnymi.



Wątpliwości w sprawie ekstradycji rozpatruje Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Z tego powodu w 2018 r. wstrzymano ekstradycję do Polski 41-letniego wówczas Artura C. Jego kryminalna kartoteka była tuzio podobna do tej, której dorobiła się „Miss Kiboli”. Wieloletnia działalność w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się przemytem i handlem narkotykami. Regularne awanse w przestępczej hierarchii, aż do jej szczytu. Wreszcie wpadka, europejski nakaz aresztowania i ucieczka przez całą Europę. Artur C. odnalazł się w Irlandii, skąd na mocy wspomnianego dokumentu miał trafić do Polski. Tak się jednak nie stało, bo orzekająca w jego sprawie sędzia Aileen Donnelly z irlandzkiego Sądu Najwyższego stwierdziła, że ojczyzna przestępcy nie gwarantuje mu sprawiedliwości. Powołując się na upolitycznienie sądów przez rząd Zjednoczonej Prawicy, Donnelly wstrzymała ekstradycję. W uzasadnieniu decyzji napisała, że „Polska zdaje się nie szanować ani nie przestrzegać wspólnych zasad i wartości obowiązujących w Europie”. Ponieważ sama nie miała narzędzi, by określić, czy Artur C. ma szansę na uczciwy proces, przekazała sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Rzecznik tej instytucji odbił jednak piłeczkę z powrotem do Dublina. Evgeni Tanchev stwierdził, że irlandzki sąd ma prawo zablokować ekstradycję definitywnie, ale najpierw musi jednoznacznie orzec, że na sprawiedliwy proces w kraju oskarżony nie ma szans. Sędzia Donnelly informacji zasięgnęła najpierw u źródła, kilkakrotnie wysyłając zapytania do Sądu Okręgowego

w Warszawie. Wreszcie uznała, że zero-jedynkowej deklaracji podjąć nie jest w stanie, i Artura C. do Polski mimo wszystko odesłała, ku ogromnej radości polityków PiS. Przeciwno zablokowaniu ekstradycji głośno wypowiadał się m.in. wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoła, którego zdaniem sąd w Dublinie wstrzymywał wykonanie wyroku na jednym z liderów europejskiej mafii narkotykowej, a zarzuty związane z rzekomym łamaniem praworządności nie tylko były bezpodstawne, ale przede wszystkim szkodliwy wymierneniu sprawiedliwości w tej sprawie.

Prawnicza przepychanka między Warszawą, Dublinem i Luksemburgiem trwała w przypadku Artura C. dobrych kilka miesięcy. Jak się później okazało, była też zwiastunem znacznie większych napięć pomiędzy polskim a irlandzkim wymiarem sprawiedliwości. Z powodu bliźniaczych argumentów i na podstawie tej samej procedury Irlandia wstrzymała ekstradycję 21 innych Polaków. Papiery poszły w ruch – konsultacje z TSUE ani pytania zadawane polskim sądom wciąż nie wyjaśniały wątpliwości śledczych i sędziów z Zielonej Wyspy. W dodatku lista krajów, które przestały ufać instytucjom kierowanym przez Zbigniewa Ziobrę, zaczęła bardzo szybko się wydłużać.

W pytaniach zagranicznych sądów chodzi nie o Artura C. i jemu podobnych, ale o Zbigniewa Ziobrę i skutki jego reform.

W październiku 2018 r., kilka miesięcy po pierwszej decyzji sędzi Donnelly, ekstradycję do Polski wstrzymał sąd w Madrycie. Hiszpanie posłużyli się tym samym uzasadnieniem – łamaniem przez Warszawę traktatów europejskich i obsadzaniem sądów nominatami politycznymi. Podobne stanowisko przyjęły sądy holenderskie, które, również opierając się na sprawie Artura C., wstrzymały ekstradycję trojga podejrzanych w październiku 2018 r. i kolejnych 11 w styczniu 2019 r. Wątpliwości Holendrów co do polskiej praworządności nie ograniczały się jednak do decyzji pojedynczych sędziów. Przeciwnie, przyjęły wręcz charakter systemowy. Stanowisko w tym konflikcie zajął nawet tamtejszy minister ds. ochrony prawnej Sander Dekker, który już wtedy apelował publicznie do Unii Europejskiej,

by kwestię wypłaty środków unijnych uzależnić od przestrzegania przez dany kraj reguł praworządności. On i inni holenderscy politycy przypominali zasady, na których opiera się mechanizm ekstradycji w krajach europejskich – jego filarem jest wzajemne zaufanie sądów w poszczególnych państwach. Tak jak w przypadku sędzi Donnelly przedstawiciele innych instytucji sądowniczych nie mają narzędzi do osobistego zweryfikowania, jak obiektywne są sądy tam, gdzie oskarżony ma odbyć karę. Dlatego posiłkują się radami TSUE, a przede wszystkim opiniami pochodzącymi bezpośrednio z krajów, którymi się interesują. I muszą wierzyć, że opinie te pisane są z najwyższą starannością oraz zachowaniem bezstronności. Innej drogi nie ma.

W momencie gdy to zaufanie znika, ekstradycja przestaje mieć sens. Jej zupełne zablokowanie umożliwia krajom członkowskim wyrok TSUE z lipca 2018 r., mówiący o wspomnianej praworządności. Należy też podkreślić, że wątpliwości zagranicznych sędziów dotyczą nie tylko konkretnego aktu oskarżenia, ale stanu polskiego wymiaru sprawiedliwości w ogóle. Innymi słowy, wstrzymując odesłanie do kraju szefa gangu narkotykowego czy osoby podejrzanej o morderstwo, sąd w Madrycie,

Amsterdamie bądź Dublinie nie zakłada, że upolityczniony będzie sam proces w tej jednej sprawie. Ma wątpliwości co do norm i zasad, które w przypadku każdego uczciwego postępowania muszą zostać zachowane, takich jak domniemanie niewinności, dostęp do ochrony prawnej i zastosowanie proporcjonalnych do sprawy środków zapobiegawczych, ale także odpowiednich kwalifikacji sędziego i motywów, dla których właśnie on prowadzi daną sprawę. W pytaniach od zagranicznych sądów chodzi nie o Artura C. i jemu podobnych, ale o Zbigniewa Ziobrę i skutki jego reform. Jeśli więc to polski minister sprawiedliwości jest w praktyce i stroną, i przedmiotem sporu, kompromis między nim a Europą może się okazać niemożliwy.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Beata Dżon-Ozimek

Na powyborczej mapie Wiednia dominuje kolor czerwony, co oznacza zwycięstwo socjaldemokratów z SPÖ i utrzymanie stanowiska burmistrza. Wiedeń jest nieco bardziej czerwony niż po wyborach sprzed pięciu lat. Ostatnie dziesięć lat miastem i landem rządziła koalicja czerwono-zielona, co z pewnością posłużyło wizerunkowi i dobremu praktykom, w tym dostępności komunikacji miejskiej. Najnowsze wybory pokazują, że kolor zielony może zostać zamieniony na różowy, to barwa liberalnej partii Neos, założonej w 2012 r.

Socjaldemokraci uzyskali 41,6% głosów i nie mają większości jedynie w dwóch dzielnicach Wiednia: w śródmieściu i nobliwej 13. dzielnicy, Hietzing. Ludowcy, turkusowi (dawniej czarni) z ÖVP, zdobyli poparcie 20,4% głosujących, Zieloni – 14,8%, liberalni, różowi Neos – 7,5%, wolnościowcy, niebiescy z FPÖ – ledwie 7,1% przy gigantycznej stracie głosów. Były wicekanclerz Heinz-Christian Strache i jego Team HC Strache zbierali tylko 3,3%, co i tak wystarczy, aby wejść do rad kilku dzielnic (Strache kandydował w każdej). „Jego czas wreszcie się skończył”, ma nadzieję politolożka Kathrin Stainer-Hämmerle. Z wicekanclerza na radnego dzielnicy? Jednak nie, Strache nie ma zamiaru odejść z polityki i chce wydawać gazetę.

Wyborcy z lokali komunalnych

Wybory do rady miasta przyniosły socjaldemokratom powrót na szczyt w rejonach, gdzie jest dużo budynków komunalnych, zdobyli tam ponad połowę głosów. Około pół miliona wiedeńczyków mieszka na 1,8 tys. miejskich osiedli, a stanowią oni elektorat głównie socjaldemokratów i nacjonalistycznej, populistycznej, antyimigranckiej FPÖ. To zastanawiające, bo ci wyborcy często mają korzenie imigranckie. W poszczególnych dzielnicach, np. w Kaisermühlen, Schmelz, Krieau lub w St. Marx, co najmniej połowa ludności mieszka w budynkach komunalnych, niektóre kompleksy mieszkalne tworzą własne okręgi wyborcze, ale większość budynków gminnych znajduje się w dzielnicach

Premia za wirusa

Wiedeńczycy docenili w wyborach dobre zarządzanie w kryzysie pandemicznym



mieszanych, z mieszkaniami prywatnymi lub spółdzielczymi.

SPÖ zdobyła niewielką większość bezwzględną w tej ważnej grupie wyborców – 51%. W największej dzielnicy, Favoriten, gdzie jedną trzecią mieszkańców stanowią imigranci, w komunalnym kompleksie Karl-Wrba-Hof dostała ponad 60% głosów, w kultowym Karl-Marx-Hof z niemal 1,4 tys. mieszkań i Muzeum Czerwonego Wiednia ponad połowę, nieco mniej w ceglany Rabenhof. Niebiescy z FPÖ zdobyli w tym środowisku ledwie 12%, mniej nawet niż konserwatyści z ÖVP. Team HC Strache byłego szefa FPÖ i wicekanclerza do 2019 r. (rząd upadł wskutek słynnej afery z nagraniami z lbizy) tylko 7%.

W porównaniu do wyborów sprzed pięciu lat poparcie dla socjaldemokratów, Zielonych i turkusowych wzrosło o parę procent. Natomiast populiści z FPÖ stracili niemal jedną czwartą głosów. Zanosilo się na to od ubiegłego roku, od owej afery i odejścia lidera, który stworzył konkurencję z niemal identycznym

Michael Ludwig z sukcesem prezentował się jako burmistrz daleki od politycznych awantur.

programem, ale takiego upadku niebiescy chyba się nie spodziewali.

Za i przeciw

W wiedeńskich wyborach spadła frekwencja, zawsze wysoka – z 74,7% w 2015 r. do 65%. Ekspert przypisują to epidemii i właśnie FPÖ. Uważa się, że wyborcy tej partii po jej rozpadzie, odejściu Strachego i wewnętrznych konfliktach są zdemotywowani, a na inne partie nie chcą głosować. No, chyba że na Bierpartei, partię piwną, którą założył lekarz i raper Marco Pogo *alias* Dominik Wlazny. Najmniejsza partia austriacka, wzorowana m.in. na polskiej Partii Przyjaciół Piwa, startowała z budżetem wyborczym równym postawionym wyborcom piwom. Zdobyła jeden mandat, Pogo będzie radnym w Simmeringu, 11. dzielnicy.

Jakie były motywy wyborców? Najważniejsze dla elektoratu ÖVP, FPÖ i Teamu HC Strache okazały się imigracja i integracja. O sukcesie socjaldemokracji i jej lidera w tych wyborach, burmistrza Michaela Ludwiga, zdecydowała opinia, że on i partia w ostatnich miesiącach wykonali dobrą robotę. Chodzi o zarządzanie miastem w czasie pandemii, o klarowność, spójność decyzji, jasność przekazu, reagowanie na głosy mieszkańców. Ludwig nie popełnił błędów umizgiwania się do wyborców populistycznej FPÖ czy dawania im sygnałów; wówczas straciłby inne głosy, uważa analityk polityczny Thomas Hofer. O „perfekcyjnym pozycjonowaniu się jako burmistrz daleki od politycznych awantur” mówi Kathrin Stainer-Hämmerle. Chwalona jest strategia wyborcza Ludwiga – „mniej znaczy więcej”, taki człowiek zapewniający spokój na niespokojne czasy. Ale niegłosujący na SPÖ zarzucają tej partii, że zamknęła oczy na kwestię migracji.

Prawie jedna trzecia wyborców ÖVP była z kolei przekonana do programu wyborczego swojej partii (centroprawicowa polityka przyzwoitości), a jej szef przecież, Sebastian Kurz, jest kanclerzem po raz drugi, i to w trudnych czasach. Część wyborców zagłosowała na partię, bo się sprawdziła, inni, bo reprezentuje „mniejsze zło”. Co ciekawe, to jej liderzy – krajowy, Sebastian Kurz, i wiedeński, Gernot Blümel, minister finansów – byli dla wielu niegłosujących powodem, by nie wybierać ÖVP.

U Zielonych polityka proekologiczna jest głównym motywem dla prawie połowy elektoratu. Z drugiej strony negatywnie działa czołowa kandydatka Birgit Hebein – za mało starań włożyła w walkę o głosy, nie pomógł jej nieudany projekt wyprowadzenia samochodów z centrum Wiednia, swoimi pomysłami miała wystraszyć tradycyjnych wyborców Zielonych, a nie przyciągnęła innych środowisk.

W Neos program przekonywał wyborców, ale ponad jedna trzecia niewybierających nie była zadowolona z planów koalicyjnych partii – nie chcą koalicji z ÖVP ani z SPÖ. Natomiast słabo dotąd znany wiedeński lider Neos, Christoph Wiederkehr, okazał się wyborczą niespodzianką.

„Na początku ludzie się z niego śmiali, a wyrósł na dojrzałego partnera koalicyjnego”, uważa Kathrin Stainer-Hämmerle. Teraz ten młody polityk może wejść do rządu Wiednia.

Wiedeń – lustro Austrii?

Lider SPÖ w Wiedniu, Michael Ludwig, ma wolny wybór koalicjanta w rządzeniu miastem i landem. Na 100 miejsc w parlamencie czerwoni mają 46 foteli. Możliwa jest koalicja z każdym: ÖVP, Zielonymi, Neos, nawet z FPÖ, choć tę od początku Ludwig wyklucza. Bez względu na to, jaką podejmie decyzję, będzie

Socjaldemokraci nie mają większości jedynie w dwóch dzielnicach Wiednia: w śródmieściu i Hietzing.

ona miała również konsekwencje dla rządu federalnego ÖVP-Zieloni. Jeśli Ludwig zdecyduje się kontynuować czerwono-zieloną koalicję, rząd federalny może być spokojny, bo Zieloni pokazali, że są bardziej lojalni wobec niego niż lokalnie wobec SPÖ, tak było np. podczas konfliktu o otwarcie ogrodów dla mieszkańców w Wiedniu na początku pandemii. Czerwono-różowa koalicja SPÖ-Neos byłaby nowym otwarciem na poziomie kraju związkowego, podobnie jak zrobił to poprzednik Ludwiga, burmistrz Michael Häupl, z Zielonymi. Na pewno SPÖ ideologicznie bliżej do Zielonych niż do neoliberalnych Neos, ale starzy towarzysze przekonują, że w różowo-czerwonej koalicji byłoby mniej konfliktów, partner byłby wiarygodniejszy i taniej sprzedałby skórę, bo głównym tematem Neos jest edukacja, która i tak w dużej części leży w gestii rządu federalnego. Ten resort SPÖ odda bez problemu. Mniej chętnie np. budownictwo; doświadczenie z podejmowanymi w Wiedniu inwestycjami pokazuje, że w tej kwestii z Zielonymi trudno im się dogadać. Najbardziej prawdopodobny wydaje się więc scenariusz, w którym Wiedniem i landem po dekadzie koalicji czerwono-zielonej rządzić będą socjaldemokraci i liberałowie, czyli przedstawiciele partii o robotniczym rodowodzie i partii neoliberalnej, wywodzącej się z kręgu menedżerów i przedsiębiorców.

Choć wydaje się to trudne do pogodzenia, na poziomie rządu federalnego nie mniej trudne było przecież pogodzenie konserwatyzmu ÖVP z otwartością na mniejszości, imigrantów, troską o prawa człowieka i przyrody Zielonych. A jednak ta koalicja rządzi krajem.

Największym przegranym wiedeńskich wyborów są populiści z FPÖ, którzy jeszcze nie rozliczyli się z ubiegłorocznych afer, a pokazali wszem wobec pustkę programową i brak paliwa – nie ma napływu imigrantów, jak pięć lat temu, nie ma wroga u wrót. Jest pandemia, lęk o pracę i zdrowie. Michael Ludwig dostał zaś premię za starania, by przywrócić wiedeńczykom poczucie bezpieczeństwa.

Tydzień po wyborach miały miejsce pierwsze trzygodzinne rozmowy sondażowe z Neos, na które lider, Christoph Wiederkehr, przyszedł z pączkami w różowym lukrze. Spotkanie zostało ocenione jako obiecujące, konstruktywne. 45-minutową rozmowę Ludwiga z Birgit Hebein dzień później podsumowano zaś: „Czuć moc czerwono-zieloną”. Zieloni przyszli z wegańskimi przekąskami oraz piwem. Kolejne rozmowy – z ludowcami – być może, jak dawniej, odbędą się przy winie. Burmistrz obiecuje, że Wiedeń będzie miał już w listopadzie swój nowy rząd. ■

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA
Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementowicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

➔ www.trybuna.info

Marian Szamatowicz

Niepłodność nie jest pojęciem ani zjawiskiem nowym. Już według Biblii Sara urodziła Izaaka w wieku 96 lat, a stało się to przy pomocy aniołów. Kłopoty z rozrodem miał też Izaak i jemu pomocy udzielali aniołowie. Szacuje się, że na świecie 40 mln par ma problemy z posiadaniem potomstwa, podobne szacunki wskazują, że w Polsce bezskutecznie stara się o dziecko ponad milion par.

Niestety, decyzje w sprawie leczenia niepłodności podejmują ci, którym dopisało szczęście i bez żadnego problemu doczekali się potomstwa. Gorzej, decyzja leży w rękach ludzi, którzy zamiast zdobyciami współczesnej nauki wolą się posługiwać doktryną. Przyczyn niepłodności jest wiele. Najczęstsze to zaburzenia w produkcji i ruchomości plemników u mężczyzn, problemy z przygotowaniem komórki jajowej zdolnej do rozrodu u kobiet, niedrożność jajowodów w następstwie procesów zapalnych lub zabiegów chirurgicznych w obrębie miednicy małej, endometrioza o różnym stopniu zaawansowania. Może też być niepłodność o niewyjaśnionej etiologii. Realną szansę na posiadanie potomstwa w wypadku najczęstszych przyczyn niepłodności dają wyłącznie współczesne metody wspomaganej prokreacji (Assisted Reproductive Technology – ART). Dzięki udoskonalanej metodzie in vitro szansę na ciążę i własne potomstwo ma ok. 60% niepłodnych par.

Rekomendowana przez obecne czynniki rządowe naprotechnologia, bazująca na katolickiej doktrynie, jest w stanie pomóc nielicznym parom

Rząd wpompowuje duże środki w naprotechnologię, której efekty są żenujące.

z niepłodnością niewyjaśnionego pochodzenia, a także w niektórych przypadkach problemów z przygotowaniem komórki jajowej zdolnej do rozrodu. Przemilcza się przy tym, ile pieniędzy takie pary wydadzą wcześniej na tzw. diagnostykę przyczyn niepłodności.

Żadna, nawet najpiękniej wypowiadana bzdura nie zatrze faktu, że według scenariusza Eurostatu Polskę

Balon hipokryzji musi pęknąć

Naprotechnologia nigdy nie zastąpi in vitro



In vitro zostało uznane przez Komitet Noblowski za największe osiągnięcie medycyny klinicznej XX w.

grozi demograficzna zapaść. Za 10 lat liczba ludności w Polsce zmniejszy się o 900 tys., za 30 lat, przy utrzymaniu się obecnej tendencji, będzie nas 34,1 mln, natomiast na koniec obecnego wieku populacja naszego kraju ma wynosić zaledwie 27,7 mln. Olbrzymie znaczenie ma tu współczynnik dzietności, który w 1980 r.

wynosił 2,27 (w uproszczeniu liczba dzieci przypadająca na jedną kobietę w wieku rozrodczym). Obecnie ten wskaźnik wynosi ok. 1,30. Oznacza to starzejące się społeczeństwo, ze wszystkimi tego następstwami.

Diagnostyka i leczenie niepłodnych par nie rozwiązują problemów demograficznych, ale w wielu krajach są postrzegane jako istotny element ich złagodzenia. Szumnie

reklamowany rządowy program 500+ jest rzetelnie opisywany jako koniec fantazji o prodemograficznym efekcie. Nie rodzi się więcej dzieci!

Istotne znaczenie ma uznanie faktu, że niepłodne pary pragną mieć dzieci i trzeba im w tym pomóc. Bariera finansowa często nie pozwala im korzystać ze zdobyczy współczesnej medycyny rozrodu. W latach 2013-2016 funkcjonował rządowy program leczenia niepłodności, w którym za kwotę ok. 250 mln zł urodziło się ponad 22 tys. dzieci. Podobny program został przygotowany na następne trzy lata – podpisał go ówczesny minister zdrowia prof. Marian Zembala. Zmieniła się jednak władza i nowy minister zdrowia dr Konstanty Radziwiłł stwierdził, że leczenie niepłodnych par metodami ART nie ma poparcia społecznego, mimo że według badań CBOS z 2015 r. leczenie za pomocą in vitro popierało prawie 80%

badanej populacji, a wynik w dużym stopniu zależał od częstotliwości udziału w praktykach religijnych. W zamian został wdrożony Program Kompleksowej Ochrony Zdrowia Prokreacyjnego na lata 2016-2020, z przeznaczeniem na ten cel prawie 100 mln zł. Program dobiega końca, ale Ministerstwo Zdrowia nie chce ujawniać jego mizernych rezultatów.

W Polsce nie może doczekać się potomstwa ponad milion par.

Sformułowany został tak pokrętnie, że w zasadzie daje możliwości postępowania diagnostycznego, natomiast w momencie postawienia diagnozy niepłodności wyklucza skuteczne leczenie współczesnymi metodami ART.

Wprawdzie w programie tym nie pojawia się słowo naprotechnologia, ale de facto jest to pompowanie społecznych środków w dziedzinę, która nie jest żadną nauką, lecz ideologią akceptowaną i popieraną przez Kościół rzymskokatolicki.

Czym jest bowiem naprotechnologia? W XX w. Kościół rzymskokatolicki zaakceptował możliwości ograniczenia zachodzenia w ciążę poprzez abstynencję seksualną w okresie koncepcyjnym. Powstał zatem problem precyzyjnego określenia tego okresu. W tym celu w prowadzonym przez jezuitów Creighton University został opracowany model Creighton (CrMS), który jest niczym innym jak wystandaryzowaną metodą oceny okresu owulacji Billingsów, pozwalającą kobiecie zrozumieć jej cykl płciowy i potem odpowiednio wykorzystywać do celów antykoncepcji lub planowania rozrodu. Ten właśnie model CrMS stał się podstawą nowej gałęzi pseudomedycyny – naprotechnologii (skrót od Natural Procreative Technology, inaczej Wsparcie Naturalnej Płodności). Uzasadnienie naukowe dla tej pseudonauki stanowi spis ok. 60 opracowań, w tym część w formie rękopisów, oraz podstawowy podręcznik Thomasa Hilgersa, głównego promotora metody – „Hilgers Dictionary of Creighton Model Fertility Care System”. Podaje się tam bzdurne, nigdzie niepotwierdzone informacje, że naprotechnologia jest skuteczniejsza od in vitro prawie trzy razy – 2,67 przy

endometriozie, a 2,36 w leczeniu PCOS, 1,41 raza przy niedrożności jajowodów. Naprotechnologia dopuszcza te same metody diagnostyczne co nowoczesna medycyna rozrodu, pojawiają się problemy przy badaniu nasienia. Preferuje się instruktaż modelu CrMS, co wymaga ośmiu spotkań z instruktorem, przy czym każde to koszt 100-150 zł, a za spotkanie wprowadzające trzeba zapłacić ok. 300 zł. Z chwilą postawienia diagnozy przyczyn niepłodności (zawsze z różnymi zastrzeżeniami) naprotechnologia, która nie uznaje ART, pozbawia szansy na ciążę pary z większością najczęściej spotykanych przyczyn niepłodności. Szacuje się, że jest to 50-60% par.

Ministerstwo Zdrowia nie ujawnia wyników Programu Kompleksowej Ochrony Zdrowia Prokreacyjnego, bo to nic innego jak wpompowanie

Ministerstwo Zdrowia nie ujawnia wyników Programu Kompleksowej Ochrony Zdrowia Prokreacyjnego.

niemających środków w tzw. naukę, czyli naprotechnologię, której efekty są gorsze niż żenujące. W tym miejscu pozwolę sobie przypomnieć, że in vitro zostało uznane przez Komitet Noblowski „za największe osiągnięcie medycyny klinicznej XX w.”, a jej twórca, prof. Robert Edwards, otrzymał po wielu latach nagrodę.

Jestem niepoprawnym optymistą i zakładam, że balon hipokryzji, zakłamania, promowania ideologii zamiast nauki musi wreszcie pęknąć.

Decydenci (i nie tylko) w ochronie zdrowia prokreacyjnego niech odpowiedzą na następujące pytania:

1. Co to jest rodzina? Czy należy pomagać finansowo parom, które pragną mieć dzieci, a jedyną szansę daje in vitro?

2. Dlaczego sąsiedzi (Czechy, Węgry, Słowacja), z którymi razem wchodziliśmy do Unii, mogą i finansują leczenie za pomocą in vitro, a my nie możemy?

3. Dlaczego pompuje się środki w pseudonaukę, jaką jest naprotechnologia?

4. Kiedy wreszcie czynniki oficjalne, na dzień dzisiejszy rządowe, stwierdzą, że naprotechnologia nigdy nie zastąpi in vitro, i zaczną ponownie promować nowoczesne leczenie, przywracając programy pomocy finansowej parom, które pragną mieć dzieci?

5. Kiedy powszechny stanie się przykład samorządów, które finansowo wspierają leczenie niepłodności?

Powtórzę, jestem optymistą. Balon ideologii, propagandy i zakłamania musi wreszcie z wielkim hukiem pęknąć! Oby stało się to jak najszybciej.

Prof. dr hab. Marian Szamatowicz jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, prekursorem metody in vitro w Polsce, laureatem Busoli, nagrody PRZEGŁĄDU

O populizmie, fałszywej demokracji, wymianie elit i nieudanym samobójstwie politycznym

W dobie hołasu dla kuglarstwa rozpleniających się jak chwasty na wiosnę warto sięgać po publikacje poważne. I ważne. Bo z opiniami wybitnych uczonych i ekspertów.

Takim wydawnictwem, które chętnie rekomendujemy, są „Studia Socjologiczno-Polityczne”, półrocznik Wydziału Socjologii UW. Redaktorem naczelnym jest prof. Jacek Raciborski, a przewodniczącym Rady Redakcyjnej prof. Jerzy J. Wiatr (socpol.redakcja@is.uw.edu.pl).



//

Czego brakuje lewicy w Polsce?

Trzeba przyjąć do wiadomości realne potrzeby ludzi,
a nie pracować z myślą o wysnionym elektoracie

Zbyszek Zaborowski

Robert Walenciak pyta w PRZEGŁADZIE (nr 42), czego brakuje lewicy. Polska lewica w swojej praktyce politycznej zdradziła klasę robotniczą, uznając, że już jej nie ma, w zamian wstawiając pojęcie prekariatu albo inne modne hasło – progresywność.

Klasy robotniczej faktycznie w tradycyjnym ujęciu jest coraz mniej, ale ludzie pracy najemnej nadal stanowią przytłaczającą część aktywnego społeczeństwa. Realne potrzeby ludzi, którzy na co dzień martwią się, jak związać koniec z końcem, jak utrzymać lub zdobyć przyzwoicie płatną robotę, jak spłacić kredyt, jak zapewnić bezpieczeństwo socjalne i zdrowotne rodzinie – są inne niż garstki inteligencji z wielkich miast, która nadaje dzisiaj ton na lewicy. Trzeba przyjąć do wiadomości te potrzeby, a nie pracować z myślą o wysnionym elektoracie ukształtowanym według własnych progresywnych wyobrażeń. Nie wszyscy będą weganami czy cyklistami.

Nie chodzi tylko o program polskiej lewicy, ale również o przekaz, który trafia do potencjalnego elektoratu. A jest on skoncentrowany na kwestiach społeczno-kulturowych, a w szczególności na ochronie środowiska, feminizmie i LGBT, problemach ważnych, ale politycznie nośnych przede wszystkim na warszawskich salonach i w części środowisk inteligentnych innych wielkich miast, z pewnością nie są to główne bolączki zwykłych ludzi.

Dobrym przykładem, jak uproszczona narracja dominuje dzisiaj na lewicy, są zmiany w sektorze energetycznym. Lewica, zamiast przedstawić własny projekt sprawiedliwej transformacji energetycznej, skoncentrowała się na żądaniu jak najszybszej likwidacji kopalń, a więc miejsc pracy klasy robotniczej. Nie bierze pod uwagę kosztów społecznych i politycznych, ani ogromnych kosztów wybudowania nowych źródeł mocy w energetyce, które nie powstaną z dnia na dzień.

W krótkim czasie można tylko zwiększyć import węgla, a więc wspierać gospodarkę innych krajów. Najpilniejszą sprawą w tym obszarze jest realna eliminacja niskiej emisji (palenisk węglowych, ale też starych diesli), bo to ona naprawdę truje ludzi.



Podobnie jest z walką o wolności i prawa obywatelskie. Koncentracja na prawach środowiska LGBT, czynienie z nich symbolu wszelkich praw człowieka i obywatela, powoduje, że giną z pola widzenia inicjatywy na rzecz praw ekonomicznych, socjalnych, zdrowotnych czy edukacyjnych, nie widać zaangażowania na rzecz praw rodziny, w tym samotnych rodziców.

Dodatkowe wyzwania stwarza pandemia. Lewica powinna być partią pielęgniarek, ekonomicznych ofiar COVID-19, samotnego rodzica, kasjerki pracującej po godzinach, rodziny szukającej mieszkania, właściciela kafejki, który właśnie swój interes zamyka, emeryta, któremu nie starcza na wykupienie leków czy zakup pampersów.

Partia lewicowa musi oczywiście nie tylko proponować sprawiedliwy podział dochodu narodowego, rozmaitych świadczeń socjalnych, ale także wzmacniać ludzkie aspiracje i ambicje, wydajna praca musi się opłacać!

Lewica powinna pracować na obraz twórczej siły politycznej, którą inni muszą traktować poważnie, która sama akceptuje politykę jako sztukę możliwego. To oznacza również konieczność wystawiania w wyborach, zwłaszcza prezydenckich, ludzi poważnych i powszechnie szanowanych.

Dualizm społeczno-kulturowy i socjalny na lewicy jest faktem, który trzeba przyjąć do wiadomości, ale też wyciągnąć wnioski i zrównoważyć przekaz. Dopuścić do głosu realnych, charyzmatycznych i wiarygodnych liderów prezentujących wrażliwość skierowaną do różnych środowisk.

Polska lewica odnosiła największe sukcesy wtedy, gdy obok Aleksandra Kwaśniewskiego czy Leszka Millera byli Włodzimierz Cimoszewicz, Izabella Sierakowska, Anna Bańkowska czy Krystyna Łybacka. Porozumienie na lewicy jest potrzebne, ale autentyczne i zapraszające wszystkie środowiska, a nie wykluczające. Potrzebni są marzycielscy idealisci i pragmatycy polityki. Potrzebni są młodzi entuzjaści, ale też doświadczeni życiem i polityką ludzie w średnim i starszym wieku.

W programie przy odrobinie dobrej woli można pogodzić realia gospodarcze z bezpieczeństwem socjalnym i zdrowotnym. Można połączyć ochronę środowiska z ochroną miejsc pracy i budową przyszłościowych gałęzi gospodarki. Można nawet pogodzić humanitarną troskę o dobrostan zwierząt z respektowaniem interesów polskiej wsi. A zwolenników aktywnej polityki historycznej z sympatykami lewicy zafascynowanymi walką o prawa kobiet, ochroną klimatu czy cyfryzacją.

Trzeba tylko zerwać z wodzowskim systemem budowania partii, poważnie potraktować zasady demokracji, przyciągać ludzi zdolnych i aktywnych, a nie odpychać, obrażając różne środowiska. Trzeba zerwać z metodami uprawiania polityki, które dominują na polskiej scenie politycznej, demokracji i praworządności bronić nie tylko przed rządem, ale również we własnych organizacjach.

Wolność, równość i braterstwo czy – jak kto woli – siostrzeństwo mogą odzyskać dawny blask w nowej formie dzięki polskiej lewicy.

Zbyszek Zaborowski był posłem na Sejm V kadencji ze Śląska, jest wieloletnim działaczem SdRP i SLD

Praca zdalna na nowo?

Praca zdalna ma być wynikiem porozumienia stron,
a jedynie wyjątkowo ma się odbywać na polecenie pracodawcy

Paweł Śmigieński



Epidemia koronawirusa, z którą zmagamy się w Polsce od marca br., wywołała wiele zmian na rynku pracy. Ustawodawca już w pierwszej ustawie antykryzysowej wprowadził regulacje zmieniające prawo pracy, w tym umożliwiające wykonywanie pracy zdalnej. Ta forma pracy w okresie izolacji społecznej nabrała szczególnego znaczenia, a biorąc pod uwagę rosnące statystyki zakażeń COVID-19, należy się spodziewać, że będzie coraz powszechniejsza.

Z uwagi na coraz większą popularność pracy zdalnej, a także tymczasowość obecnych rozwiązań prawnych, istnieje potrzeba jej systemowego i trwałego uregulowania. Cieszy zatem fakt, że Ministerstwo Rodziny, Pracy

Propozycja 100 zł miesięcznego ekwiwalentu dla pracownika nie znalazła się w uchwalonej ustawie antykryzysowej.

i Polityki Społecznej przedstawiło roboczy projekt ustawy, zawierający propozycje umieszczenia pracy zdalnej w Kodeksie pracy.

Ministerstwo w pierwszej kolejności zamierza uchylić przepisy kodeksu dotyczące telepracy. W mojej ocenie jest to racjonalne działanie, gdyż w propozycji zapisów pracy zdalnej znalazło się wiele dotychczasowych regulacji normujących telepracę. Powielanie tych samych lub podobnych zasad w dwóch formach wykonywania pracy, znajdujących się w jednym akcie prawnym, mogłoby doprowadzić do chaosu prawnego.

Projekt za ogólną zasadę przyjmuje pracę zdalną ustaloną w wyniku porozumienia stron, a jedynie w wyjątkowych sytuacjach dopuszcza możliwość jej wykonywania na polecenie pracodawcy. W projekcie wskazane są dwa takie przypadki: został wprowadzony stan nadzwyczajny lub stan epidemii albo jest to niezbędne ze względu na obowiązek pracodawcy zapewnienia pracownikowi bezpiecznych i higienicznych warunków pracy.

W powyższej propozycji niezwykle kontrowersyjny, a tym samym wymagający dokonania pogłębionej analizy, jest przepis, który pozwala pracodawcy na swobodne i jednostronne wprowadzenie pracy zdalnej, co może być szeroko wykorzystywane w praktyce. Należy przy tym zauważyć, że zapis nie odwołuje się w żadnej mierze do przyczyn złamania przez pracodawcę obowiązku zapewnienia pracownikowi bezpiecznych i higienicznych warunków w zakładzie pracy. W efekcie zwinione lub wręcz umyślne działanie pracodawcy będzie w świetle komentowanego przepisu

uzasadniało wprowadzenie pracy zdalnej. Na tego typu elastyczne uprawnienie pracodawcy nie może być zgody strony związkowej.

Pozytywnie należy ocenić to, że zasady wykonywania pracy zdalnej w danym zakładzie pracy będą określone w porozumieniu zawierającym między pracodawcą i organizacjami związkowymi. W przypadku braku możliwości uzgodnienia porozumienia ze wszystkimi zakładowymi organizacjami związkowymi pod uwagę w negocjacjach z pracodawcą będą brane wyłącznie reprezentatywne związki zawodowe.

Oprócz wielu kwestii związanych z warunkami i zasadami wykonywania pracy zdalnej w porozumieniu mają się znaleźć ogólne zasady ustalania ekwiwalentu pieniężnego w przypadku wykorzystywania przez pracownika wykonującego pracę zdalną materiałów i narzędzi stanowiących jego własność. Przypomnę w tym miejscu, że na etapie prac legislacyjnych nad specustawami pojawiła się propozycja 100-złotowego miesięcznego

ekwiwalentu pieniężnego dla pracownika, która jednak ostatecznie nie znalazła się w uchwalonej ustawie. Projektodawca zauważył zatem lukę w przepisach,

lecz dodatkowo – dla uniknięcia wszelkich wątpliwości – w projekcie należy wskazać ponoszone przez pracownika koszty mediów, w szczególności dostępu do internetu czy energii elektrycznej.

Nie ulega wątpliwości, że wiele kwestii przedstawionych w projekcie wymaga precyzyjnego wyjaśnienia, np. sposób oceny warunków lokalowych i technicznych pracownika czy zapewnienie bezpiecznych i higienicznych warunków pracy przez pracodawcę. Należy również pochylić się nad propozycją ministerstwa co do możliwości całkowitego wykonywania pracy przez pracownika poza zakładem pracy. Dochodzą do nas sygnały, że poza korzyściami z wykonywania pracy zdalnej pojawiają się również poważne problemy, takie jak:

W nowej ustawie należy uwzględnić ponoszone przez pracownika koszty mediów, w tym dostępu do internetu czy energii elektrycznej.

- brak rozdziału między życiem prywatnym a pracą,
 - alienacja (wykluczenie) pracownika z zakładu pracy,
 - brak kontaktu z innymi zatrudnionymi,
- co w rezultacie może ograniczyć lub utrudnić rozwój zawodowy i osobisty pracownika.

Projekt jest już szczegółowo analizowany przez Radę Dialogu Społecznego. Mam nadzieję, że zostanie osiągnięte porozumienie partnerów społecznych, w wyniku którego przepisy Kodeksu pracy dotyczące pracy zdalnej będą jasne, zrozumiałe i akceptowane przez strony stosunku pracy.

Paweł Śmigieński jest dyrektorem Wydziału Prawno-Interwencyjnego OPZZ

Jakub Woroncow

Obrona konspiracyjnej drukarni „Wolność” przy ulicy Lipskiej 26 w Warszawie 4 lutego 1944 r. przez dwóch jej pracowników walczących ze szturmującymi Niemcami przeszła do legendy, ale niewiele osób wie, kim byli ci drukarze.

Jeden z nich to Tadeusz Tysza, urodzony w 1916 r., prawdopodobnie w Białymstoku. Jego ojcem był Tadeusz Jarosław Tysza, wojskowy i uczestnik wojny 1920 r. Tadeusz Tysza był z zawodu pielęgniarzem w szpitalu psychiatrycznym w Choroszczy. W 1939 r. powołany został do 10. Pułku Ułanów Litewskich. Podczas kampanii wrześniowej ojciec trafił do niewoli radzieckiej i został zamordowany w Katyniu. Syn natomiast przeszedł do konspiracji. Jak pisze Władysław Bartoszewski, który znał go osobiście, „Tysza współpracował początkowo głównie z organizacją (ludowców – przyp. aut.) »Racławice«, potem także z wydawnictwami pism syndykalistycznych, socjalistycznych, katolickich oraz Delegaturą Rządu”. W prowadzonej przez Tyszkę drukarni „Wolność” wydrukowano m.in. broszurę Marii Kann „Na oczach świata” opisującą zagładę warszawskiego getta, a także wydawane przez Szare Szeregi „Pismo Lotnicze”. U Jerzego Śląskiego czytamy, że „była to drukarnia prywatna, pracująca na zlecenie rządu i kilku grup konspiracyjnych”. Działała dwa lata i miała znaczny dorobek konspiracyjny. Trudno dokładnie stwierdzić, jak wyglądała ścieżka

W drukarni Tadeusza Tyszy wydrukowano m.in. broszurę Marii Kann „Na oczach świata” opisującą zagładę warszawskiego getta.

konspiracji Tadeusza Tyszy, zwłaszcza że działał w szeregach jednego z najbardziej tajemniczych ugrupowań II wojny światowej.

Przed okupacją ruch syndykalistyczny opierał się na strukturach Związku Związków Zawodowych (ZZZ), Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury (RIOK) i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Udzielali się w nim także członkowie niewielkiej Anarchistycznej Federacji Polski (AFP), będącej w kontakcie z anarcho-syndykalistycznym Międzynarodowym Stowarzyszeniem Pracowników.



Już na jesieni 1939 r. syndykaliści rozpoczęli działalność konspiracyjną. W środowisku doszło jednak do rozdziewięku. Większość skupiła się wokół Związku Syndykalistów Polskich (ZSP) pod przewodnictwem Stefana Szwedowskiego. Mniejszość, z Jerzym Szurigiem (adwokatem i byłym sekretarzem ZZZ) oraz Zygmuntem

Dymkiem (dziennikarzem związanym z ruchem) na czele – wokół Polskiej Organizacji Syndykalistycznej (POS). Grupę wspierał Jędrzej Moraczewski, były premier z ramienia PPS, a w latach 30. jedna z czołowych postaci ZZZ. Korzystając ze swoich kontaktów, postarał się o subwencję od Delegatury Rządu dla prasy organizacyjnej. Grupa współpracowała ze Stronnictwem Demokratycznym, a jego prominentny działacz Erazm Kulesza wszedł do jej władz.

Po aresztowaniu Szuriga i Dymka na czele Komitetu Centralnego POS

Dwaj obrońcy drukarni „Wolność”

Do dziś nie jest jasne, jak Niemcy trafili na trop konspiracyjnych drukarzy

stanął Kulesza. W organizacji urosły wpływy anarchistów. Do władz weszli: anarchista i związkowiec ze Lwowa Wiesław Protschke, sekretarz generalny Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Tytoniowego i Spirytusowego przy ZZZ Jerzy Leszczyński i Zofia Hajkiewicz-Brodzikowska – anarchista i absolwentka dziennikarstwa działająca przy RIOK. Gdy do władz POS dołączyli nowi ludzie, Kulesza zrzekł się funkcji przewodniczącego i został szefem SD, a POS zmieniła nazwę na Syndykalistyczna Organizacja „Wolność”. Do SOW należał też Tomasz Alfons Pilarski, niemiecki anarchista, który był łącznikiem Antoniego Chruściela „Montera” i uczestnikiem akcji „N”, polegającej na dezinformacji armii niemieckiej.

Tysza trafił do grupy prawdopodobnie w tym okresie. Działał w Głównym Referacie Wojskowym. Odwiedzał Kielce, gdzie tworzone oddziały partyzanckie we współpracy z braćmi Janystami, legendami świętokrzyskiej konspiracji. W maju 1943 r. oddziały wojskowe SOW zostały podporządkowane AK.

Pracownikiem drukarni, którą prowadził Tysza, miał zostać Paweł Lew Marek, zbiegły z getta anarchista żydowskiego pochodzenia. We wspomnieniach pisze na temat Tyszy: „Od jego decyzji zależało, abym się tam przeniósł”. Do tego jednak nie doszło. W styczniu 1944 r. Zofia Hajkiewicz-Brodzikowska została aresztowana podczas przenoszenia broni. Była jedną z najlepiej poinformowanych osób w organizacji, odpowiadała za transport broni, kolportaż prasy i pomoc Żydom. Znała też Tyszkę i bywała w drukarni na Lipskiej. Zmarła śmiercią samobójczą na Pawiaku, prawdopodobnie obawiając się załamania na torturach.

Do dziś nie jest jasne, jak Niemcy trafili na trop drukarni przy Lipskiej. Nie wiadomo, czy był to efekt aresztowania Hajkowicz-Brodzikowskiej ani w jaki sposób ona sama została złapana. W każdym razie likwidacja drukarni nie była odosobnioną akcją wymierzoną w ruch oporu w tym czasie. Początek 1944 r. był okresem trudnym dla okupantów. W styczniu Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę polską. 27. Wotyńska Dywizja Piechoty rozpoczęła akcję „Burza”. Ruch oporu na terenie Generalnej Guberni przeprowadzał kolejne ataki. 1 lutego z rąk AK zginął dowódca SS i policji dystryktu warszawskiego Franz Kutschera.

Rano 5 lutego niemiecka policja okrążyła dom na Lipskiej. Celem było mieszkanie Tyszki – na szczęście jego żona z roczną córką przebywały poza domem. Drukarnia znajdowała się w piwnicy. Pracował w niej poza Tyszką Wacław Kieszkowski, używający też imienia Stanisław oraz pseudonimu „Wask”. Kieszkowski był tego ranka w mieszkaniu Tyszki. Zostali zaskoczeni, jednak stawili opór. Jak relacjonuje Bartoszewski: „Strzelali z okna, rzucali z balkonu granaty. Policja ściągnęła posiłki i rozpoczęło się regularne obłożenie domu”. W pewnym momencie Kieszkowski został trafiony, a Tyszka podobno zostawił ostatni nabój dla siebie. „Na mieście rosta zasłużona legenda o bohaterskim oporze drukarzy na Saskiej Kępie, ubarwiona jednak coraz to nowymi i odległymi od prawdy szczegółami”, pisał Bartoszewski. Paweł Lew Marek wspomina, że plotkowano o śmierci na miejscu żony drukarza i dziecka.



W 2011 r. na domu przy Lipskiej 26 zawisła tablica upamiętniająca obronę drukarni.

Tę nieprawdziwą informację powielił „Biuletyn Informacyjny”.

Podczas starcia z drukarzami Niemcy zatrzymali również przejeżdżającą dorożkę. Pasażerowie: Tomasz Gładowski, Bolesław Ostoja i Edward Kulesza, zostali na miejscu rozstrzelani. Dorożkarza oszczędzono. Nie wiemy, czy byli przypadkowymi ofiarami. Edward Kulesza był członkiem Związku Syndykalistów Polskich, ślusarzem w Państwowej Wytwórni Wódek przy Żąbkowskiej, a przed wojną także członkiem Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Tytoniowego i Spirytusowego przy ZZZ. W konspiracji zajmował się kolportażem prasy podziemnej. Dwa tygodnie później Niemcy uderzyli w inną drukarnię konspiracyjną, na Twardej 18, gdzie także zginęło kilka osób.

Ciała drukarzy z Lipskiej zostały zabrane do prosektorium na Oczki, a Władysław Bartoszewski zaangażował się w akcję odzyskania ich

i pochowania. Wtargnął na teren szpitala w celu ich identyfikacji. Skorzystano wtedy z usług zakładu pogrzebowego Eugeniusza Starczewskiego, którego wspólnik volksdeutsch załatwiał różne sprawy za łapówki. Ponieważ plan kradzieży ciał z prosektorium się nie udał, Starczewski zorganizował nielegalną ekshumację na cmentarzu bródnowskim, po czym pochował Tyszkę jako „Jana Mazurkiewicza”.

W marcu SOW i ZSP weszły w skład Centralnego Komitetu Ludowego i w ścisłej współpracy dotrwały do końca wojny. Nie udało im się jednak odbudować swojego środowiska w Polsce Ludowej. W 1946 r. Zbigniew Stolarek wydał tom wierszy „Po trzykroć ziemia”, gdzie znalazł się m.in. napisany w obozie jenieckim w Sandbostel wiersz „Czcionki” dedykowany Tyszce. W 2011 r. na domu przy Lipskiej 26 zawisła tablica upamiętniająca obronę drukarni.

Manipulowanie pamięcią, mity, kłamstwa i kłamstewka!

Dlaczego fałszowany jest obraz Polski w latach 1944-1989?

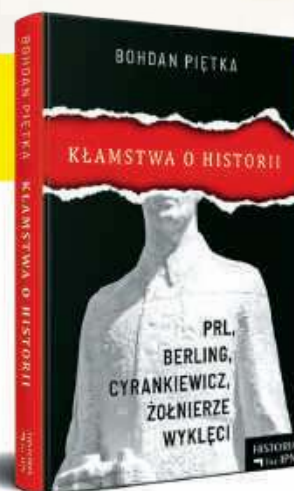
Bohdan Piętka demaskuje fałsze i uproszczenia pravicowych historyków i agitatorów



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

45 zł

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Powrót Stacha z Warty

Prace skazanego na artystyczny niebyt Stanisława Szukalskiego i jego uczniów w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu

Leszek Konarski

Pierwszy raz wystawa znakomitego polskiego rzeźbiarza Stanisława Szukalskiego, używającego pseudonimu Stach z Warty, obyta się bez skandalu podczas otwarcia. 7 października br. w salach Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu na wernisażu największej powojennej krajowej prezentacji dzieł tego artysty i jego uczniów nikt nie został obrażony, nie trząskał drzwiami, nie protestował. Stało się tak nie tylko z powodu koronawirusowego ograniczenia liczby osób mogących wziąć udział w imprezie, ale też dlatego, że skandalu nie miał kto wywołać. Szukalski zmarł 23 maja 1987 r. w Los Angeles, a jego prochy rozrzucano na Wyspie Wielkanocnej, w pobliżu słynnych kamiennych posągów.

Zarówno w Polsce, jak i w USA krytycy próbowali uśmiercić Szukalskiego milczeniem.

Dyrektor Muzeum Górnośląskiego Iwona Mohl we wstępie do pięknie wydanej po polsku i angielsku katalogu wystawy napisała: „Najniepokorniejszy z niepokornych awangardy, wieczny skandalista, wróg krytyków oraz wszelkich artystycznych instytucji i uczelni, poza stworzoną przez siebie »Twórcownią«”. Bardzo niewiele zachowało się rzeźb tego artysty, w większości zostały zniszczone w 1939 r. przez hitlerowców lub rozkradzione, ale muzeum bytomskie ma ich kilka. Kuratorze wystawy Agnieszce Bartków udało się z muzeów w Warszawie, Toruniu i Katowicach ściągnąć jeszcze kilka

innych rzeźb i rysunków oraz zgromadzić niemal 100 prac wykonanych przez uczniów Szukalskiego, skupionych w założonym przez niego Szczepie Rogatego Serca.

Śląsk podał mu rękę

Urodzony w 1893 r. Stanisław Szukalski był synem kowala z Warty koło Sieradza. Całe jego życie to wędrówka między Polską i Ameryką w poszukiwaniu miejsca, w którym ktoś doceni jego sztukę. W 1907 r. wraz z matką i siostrą wyjeżdża do Chicago, gdzie od kilku lat przebywa jego ojciec. Kształcił się w tamtejszym Art Institute, potem ojciec wysłał go na studia do krakowskiej akademii sztuk pięknych. Po powrocie Stanisław odnosi wielkie sukcesy w Stanach Zjednoczonych. Jednak w 1928 r. przyjeżdża do Krakowa z zamiarem osiedlenia się na stałe, rok później grupuje wokół siebie młodych artystów i tworzy Szczep Rogatego Serca.

Choć wszystkie wystawy tej grupy cieszą się niezwykłym powodzeniem publiczności, Szukalski uznaje, że w kraju jest nierozumiany i niszczone przez krytyków, nikt nie chce zrealizować jego projektu pomnika Józefa Piłsudskiego. Znowu wyjeżdża do Nowego Jorku, aby w 1938 r. powrócić do Polski na zaproszenie ministra skarbu Ignacego Matuszewskiego oraz władz województwa śląskiego, a szczególnie wojewody Michała Grażyńskiego i Tadeusza Dobrowolskiego, dyrektora Muzeum Śląskiego.

Mieszkając w Katowicach, Szukalski zrealizował kilka swoich projektów, m.in. jego orzeł ozdobił



Stanisław Szukalski w płaszczu własnego projektu i czapce z karakulów chodził po Krakowie z psem Bacą.

elewację urzędu wojewódzkiego, wykonał też projekty pomnika Bolesława Chrobrego oraz „Wiecznicy” – monumentu upamiętniającego walkę Ślązaków o powrót do macierzy.

Wkraczający do Katowic hitlerowcy uznali prace Szukalskiego za sztukę zdegenerowaną i zniszczyli prawie cały jego dorobek twórczy. Tylko kilka rzeźb, tych odlanych w brązie, „Oratora”, „Ezopa”, „Zamarty lot”, „Bolesława Śmiałego”, udało się pracownikom urzędu zakopać i dzięki temu są dzisiaj w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. A Szukalski i jego żona, dzięki posiadanym paszportom amerykańskim, wyjechali we wrześniu 1939 r. do USA. Po wojnie tylko raz, w 1957 r., Szukalski przyjechał na krótko do Polski.

Tłumy wielbicieli

Każda wystawa Szukalskiego ściągała niespotykane tłumy i równocześnie powodowała napaści krytyków sztuki i środowisk artystycznych. Prawdziwym szokiem dla artystycznego przedwojennego Krakowa była

wystawa prac Szukalskiego otwarta 12 maja 1929 r. w salach Pałacu Sztuki. W trakcie jej otwarcia Szukalski wygłosił mowę, w której zaatakował całe środowisko artystyczne Krakowa i Polski, krakowską ASP nazwał wylegarnią miernot, ostoją bezwartościowej sztuki francuskiej, co w efekcie doprowadziło do upadku sztuki polskiej. Stwierdził, że akademię należy zamknąć, budynek sprzedać, a profesorów rozpędzić na cztery wiatry.

Na wystawę ciągnęły tłumy, przychodzili ludzie, którzy nigdy wcześniej nie interesowali się sztuką. Studenci pierwszego roku krakowskiej ASP, m.in. Czesław Kiełbiński, Jerzy Makarewicz i mój ojciec, Marian Konarski, pod jedną z rzeźb złożyli kwiaty z napisem na szarfi: „Uczniowie Akademii Sztuk Pięknych”, a do Stanisława Szukalskiego napisali, że bardzo pragną, aby został ich mistrzem. Za ten gest solidarności z niepokornym artystą zostali wyrzuceni z akademii i po dołączeniu innych stworzyli pod przywództwem Szukalskiego Szczep Rogatego Serca, bo jak mówił ich mistrz, jego herb psychiczny to rogate serce, artysta bowiem powinien miłować i walczyć. Organem prasowym grupy stało się pismo „Krak”, z mottem: „Miłować i walczyć” oraz podtytułem: „Narzędzie walki o wyzwolenie i przerodzenie się polskiej kultury”.

Szczep Rogatego Serca był niepowtarzalną grupą artystyczną kierowaną przez charyzmatycznego przywódcę, który choć cały czas twierdził, że nie chce nikomu niczego narzucać, miał ogromny wpływ na uczniów. A ponieważ wśród szczepowców było sporo bardzo utalentowanych i odważnych artystów, którzy chcieli szukać swojej drogi rozwoju, często dochodziło do konfliktów z ich mistrzem.

Razem mieli tworzyć sztukę narodową, przedstawiającą polskich bohaterów, ale wolną od wpływów Kościoła i pokazującą

ducha najwybitniejszych naszych wojowników, poczynając od czasów słowiańskich. Chcieli całkowitego zlikwidowania akademii sztuk pięknych, które uczą tylko malowania i rysowania, a poznanie samego warsztatu nie czyni jeszcze z człowieka artysty. Dlatego mieli zakładać w całej Polsce „twórcownie”, gdzie młodzi ludzie, oprócz nauki rysunku, tworząc z pamięci, a nie z obserwacji

Szukalski: Swoj kraj można miłować również przez ukazywanie wad.

przedmiotów, mogliby wyrażać swoje tęsknoty i marzenia. Akademia nie uczy jednak, jak wyrażać oburzenie na podłość, na niesprawiedliwość, na wyzysk, na nieszlachetność, nie uczy miłości do ojczyzny, nie uwiadamiają boskości bohaterów. Stach z Warty bardzo chciał przekazywać swoje doświadczenia młodym. Mówił bowiem: „Ja uparłem się być młodzią”. W 2006 r. zmarł Franciszek Frączek, ostatni członek tej grupy.

Pierwsza powojenna retrospektywna wystawa prac Stanisława Szukalskiego z lat 1930-1939 oraz członków Szczepu Rogatego Serca została otwarta 23 kwietnia 1978 r.

w krakowskim Pałacu Sztuki. Znowu wielkie tłumy na jej otwarciu i kolejny skandal. Szukalski przesłał z Ameryki przemówienie, w którym poddał totalnej krytyce polskie elity artystyczne, a szczególnie modernistów małpujących wszystkie zachodnie kierunki, zachwycających się bazgrołami Picassa czy Kantora, malujących widelcem zamiast pędzla, co, jak stwierdził, „byłoby jakiś szympanś potrafił”. Doszło do przepychanek, bo prof. Karol Estreicher i inni członkowie kierownictwa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, gospodarzy

Pałacu Sztuki, nie chcieli dopuścić do odtworzenia z taśmy mowy Szukalskiego i skończyło się na wyłączeniu prądu w całym budynku. Zwolennicy Szukalskiego wyszli na zewnątrz i na schodach wysłuchali tego przemówienia z niewielkiego magnetofonu.

Tegoroczna wystawa jest drugą i największą po wojnie prezentacją dorobku Szukalskiego i jego uczniów, uzupełnioną sesją naukową, zorganizowaną następnego dnia po wernisażu, z udziałem historyków sztuki z Polski i USA.

Chciał wrócić

Stanisław Szukalski mieszkał w Burbank na przedmieściach Los Angeles i zanim w 1960 r. od władz Los Angeles dostał rentę wynoszącą zaledwie 250 dol. miesięcznie, żył w biedzie, korzystał z opieki społecznej. W ostatnich latach życia wspomagał go materialnie amerykański kolekcjoner Glenn Bray, któremu Szukalski powierzył opiekę nad swoją spuścizną. Jego też rzeźbiarz poprosił o rozrzucenie swoich prochów na Wyspie Wielkanocnej. Natomiast wiadomości z Polski zapewniał artyście mój ojciec, który pełnił aż do chwili swojej śmierci w 1998 r. funkcję szczepowego Rogatego Serca i cały czas mówił, że jest dla Szukalskiego pielęgniarzem, niepozwalającym mu zapomnieć o rodzinnym kraju. Przedwojenne listy do ojca znalazły się w książce



Rzeźba „Bolesław Śmiały” z lat 1926-1929 w zbiorach Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

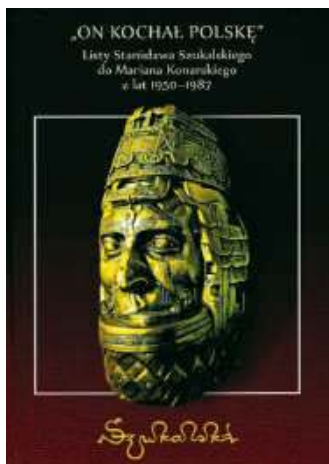
► prof. Lechosław Lameńskiego „Stanisław Szukalski. Teksty o sztuce” (Katolicki Uniwersytet Lubelski, 2013), natomiast powojenne ukazały się kilka miesięcy temu w opracowaniu prof. Tadeusza Zycha „On kochał Polskę” (Muzeum Historyczne Miasta Tarnobrzega, 2020).

Szukalski do końca marzył o powrocie do Polski. Chciał jednak, aby w kraju doceniono jego sztukę. Brak zainteresowania swoją twórczością tłumaczył tym, że jedną z wad narodowych Polaków jest wrodzona niechęć do jednostek wybitnych. Liczył, że może „przyjdzie chwila, że z innego, niespodziewanego kraju będzie Polska o moim myśleniu słyszała i będzie bardzo żałowała tego smutnego faktu, że mnie wynarodowiła swą haniebnością” (z listu do mojego ojca, 30 marca 1970 r.). Nie doczekał tego, wołał więc, aby jego prochy zostały rozrzucone na Wyspie Wielkanocnej.

Jego herb psychiczny to rogate serce, artysta bowiem powinien miłować i walczyć.

A w Polsce, choć wszyscy zgadzali się, że jest genialnym rzeźbiarzem, był przez całe lata człowiekiem wyklętym nie za swoją sztukę, lecz za krytykowanie zaciemnienia duchowego Polaków. Bez żadnej dyplomacji atakował uznanych przez krytykę polskich artystów uprawiających różne „izmy”, udające sztukę. Do mnie pisał w marcu 1978 r.: „Krytycy zawodowi nienawidzili mnie, gdyż miałem dla nich niepohamowaną wzdąć, jako pretensjonalnych prowincjuszy, którzy jedynie w obco rodnej dekadencji, tak zwanym modernizmie, chcieli widzieć wartość, a Matejkę, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Stryjeńską, Szukalskiego poniżali poniżej swych kuprów bezpiórnych. Nigdy w życiu nie spotkałem tak patetycznie głupich poronieńców jak onegdaj niektórych z moich rodaków krytyków. Wszakże to oni spopularyzowali Picassa i innych praktykantów tzw. »sztuki demokratycznej«, to jest kretynskiego gryzmołenia”.

Szukalski widział wielką moc w polskiej sztuce, która jednak przez wieki, pod wpływem ideowego



„On kochał Polskę”, listy Stanisława Szukalskiego do Mariana Konarskiego.

o kulturowego importu chrześcijaństwa, została stłamszona i nie mogła się prawidłowo rozwijać. Stąd, jego zdaniem, nasze lata niewoli, bo polscy „katolicy”, modląc się i czekając na zbawienie, zatracili chęć walki i samodzielnego myślenia. Krytykował szkodliwy wpływ chrześcijaństwa na naszą sztukę, a równocześnie Jana Pawła II uważał za jedną z największych osobowości tego świata.

Zafascynowany był słowiańszczyzną, ale nie tą sielankowo ludową, pełną rusałek. W czasach prastowiańskich szukał wątków bohater-skich oraz militarnych i uważał, że każda mitologia powinna służyć przyszłości, podkreśleniu tożsamości narodowej. Uwielbiał Kraka, legendarnego władcę Polaków i założyciela Krakowa. Tworzył nową mitologię z Polską w tle, chciał odrodzenia ducha słowiańszczyzny.

Szukalski był wrogiem krytyków oraz wszelkich artystycznych instytucji i uczelni.

Zarzucono Szukalskiemu antysemityzm, ale on nie krytykował Żydów za ich pochodzenie, lecz miał za złe krytykom i artystom pochodzenia żydowskiego to, że zamiast sięgać do polskich korzeni, propagują wszystko, co modne jest w Paryżu, Londynie lub Nowym Jorku. A naśladowanie światowych kierunków do niczego dobrego w sztuce nie prowadzi.

Szukalski wiedział, że jest niepopularny w Polsce za antyklerykalizm, antykomunizm, rzekomy antysemityzm, za słowiańskość. W 1978 r. napisał do mnie: „Mimo gróźb wyklęcia za mówienie prawdy starałem się zawsze znajdować powody upokorzenia naszego społeczeństwa i leczyć twórczymi metodami. Miłować można również przez ukazywanie wad, gdyż w niczym nie powinno to obrażać naszego poczucia narodowego”.

Nie potrafił milczeć

Entuzjastów sztuki Szukalskiego i jego uczniów przybywa zarówno w Polsce, jak i w USA. Sprawił to pełnometrážowy film dokumentalny o tym uśmierconym milczeniem artyście, „Walka: Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego” („Struggle: The Life and Lost Art of Szukalski”), wyświetlany od grudnia ub.r. na platformie Netflix w 160 krajach, wyreżyserowany przez polskiego dokumentalistę Irka Dobrowolskiego, a sfinansowany przez aktora Leonarda DiCaprio. Młody Leonardo, który mieszkał z rodzicami niedaleko domu Szukalskiego pod Los Angeles, często bywał w pracowni artysty i uważał go niemal za swojego dziadka. Gdy został znanym aktorem, postanowił przypomnieć człowieka, który w jego życiu był kimś bardzo ważnym.

Obecna na konferencji w Bytomiu Julita Siegel z Muzeum Polskiego w Chicago powiedziała: „Wyświetlany na Netfliksie film sprawił, że do naszego muzeum przychodzą nie tylko mieszkający w stanach Polacy, ale i Amerykanie. Każdy chce zobaczyć prace Szukalskiego, a my mamy tylko dwie rzeźby. Chcielibyśmy nawiązać współpracę z Muzeum Górnośląskim, bo w 2024 r. planujemy w Chicago otwarcie dużej wystawy prac Szukalskiego i jego uczniów”.

Wszyscy uczestnicy konferencji w Bytomiu podkreślali, że Stach z Warty wyprzedzał swój czas i gdyby go nie zniewolono za poglądy, byłby dzisiaj jednym z czołowych przedstawicieli polskiej awangardy. Ale on milczeć nie potrafił.

Leszek Konarski

Muzeum Górnośląskie, Bytom, pl. Sobieskiego 2, do 31 stycznia 2021 r.

SERIAL

NA POWAŻNIE



KRÓLESTWO KOBIEĆ

reż. Maciej Bochniak, prod. Polska, już w TVN

Krystyna Janda, Karolina Gruszka, Aleksandra Adamska i Gabriela Muskała w obsadzie gwarantują aktorski popis. I rzeczywiście – każda bohaterka „Królestwa kobiet” to niezły charakter! Knują, pluą i wkurzają, ale i wzruszają, rozzulają i uwodzą. Nareszcie w stacji komercyjnej pojawił się serial, który o kobietach opowiada inaczej niż jako o matkach, żonach czy kochankach. Postacie napędzają fabułę, walczą o swoje, popełniają błędy. Nie służą mężczyznom, radzą sobie doskonale bez nich. Nie da się ich podzielić na dobre i złe, rozsądne i nierozważne – każda to zbiór różnych cech, co zbliża bohaterki do prawdziwego życia, choć forma serialu jest daleka od realizmu, bo to czarna kome-

dia, do tego kryminalna. Na jesienne wieczory będzie jak znalazł. Jest na tyle angażująca, że potrafi oderwać od nieprzyjemnych myśli, a i bawi skutecznie. I nie ma co więcej się po niej spodziewać.

Artur Zaborski

ROOM 104

reż. bracia Duplass, prod. USA, HBO i HBO GO

Trudno uwierzyć, że ten serial utrzymał się na antenie aż przez cztery sezony, bo jego koncept jest bardziej niż banalny. Każdy epizod to osobna historia rozgrywająca się w hotelowym pokoju. Tymczasem przyjął się świetnie przede wszystkim ze względu na zręczne przeplatanie gatunków. „Room 104” oferuje jednak coś więcej niż zabawę formą. Twórcy, którzy połowę życia sami spędzili w hotelach, podróżując na festiwale i spotkania, zauważyli, że kiedy zamykamy się w wynajętym miejscu, zaczynamy się zachowywać inaczej niż u siebie. Czujemy napięcie, jakby ktoś nas obserwował, mamy irracjonalne pomysły. I kiedy namysł nad tym wkracza na ekran, robi się najciekawiej, bo serial balansuje między pogłębiającą psychologicznie obserwacją a hucpą.

Artur Zaborski



MIŁOŚĆ W OKOWACH

Przedstawienie opery „Werther”, mimo że do Polski przeniesione z innego teatru, nie straciło wiele ze swojej wartości. Daje przykład solidnej roboty reżyserskiej, muzycznej i scenograficznej. Na ogromnej scenie Teatru Wielkiego ustawiono dużo mniejsze „pudełko”, bo taki był pierwotny projekt dekoracji, więc publiczność koncentruje uwagę na tym, co się dzieje w środku. A tutaj jest nieszczęśliwa miłość uduchowionego poety do zaręczonej z innym, a następnie temu innemu poślubionej Charlotty. Miłość nie może się rozwinąć w okowach obyczajów, choć poeta nie jest obojętny kobiecie. Tragedia pochłania wszystko. Poeta się zabija, a małżeństwo Charlotty staje się koszmarem. Opera sączy smutek od samego początku, ale piękna muzyka i uczucia wyrażane śpiewem łagodzą depresyjny nastrój.

Bronisław Tumitowicz

Jules Massenet, „Werther”, dyrygent Patrick Fournillier, inscenizacja Willy Decker, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 8 października 2020

MIĘDZY OKŁADKAMI

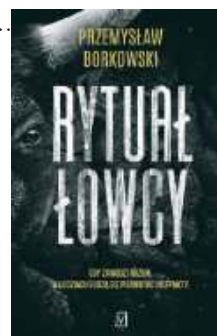
Przemysław Borkowski

Rytuał łowcy

Czwarta Strona, Poznań 2020

To pierwsze morderstwo, tak między nami, nie tylko sprawcy daje satysfakcję... Jeśli ludziom w beznadziejnej wściekłości wyrywa się: „Zabiję!”, wiadomo, że tego nie robią, bo działa wewnętrzny hamulec, on jednak ten hamulec świadomie wyłączył. Od rozpamiętywania upokorzeń i klęsk, od rojeń o zemście przeszedł do czy-

nu. Współczuć jego ofierze? Sama zamierzała być napastnikiem! Tyle że rozładowywanie gniewu szybko przestaje mordercy wystarczać, zbrodnie zyskują znaczenie magiczne, zostają obudowane rytuałami – i zwracają na siebie uwagę śledczych. Sprawę kieruje początkująca prokurator, za pomocnika mając policjanta u kresu kariery. Sympatyczna to para, w relacji bar-



dziej ojciec-córka niż służbowej, choć autor troszkę próbuje tu wyłudzić życzliwość czytelnika. Od polityki stroni, prokuratura u niego zajmuje się tym, czym powinna. Borkowski skupia się na narastaniu szaleństwa w ludzkim umyśle, nie w instytucjach państwa. A pogratulować trzeba mu umiejętności zaskakiwania.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

DEGUSTATOR

Wojciech Pszoniak
1942 – 2020



Wiesław Kot

Wojciech Pszoniak nie grywał ról. On odkrywał swoje postacie. Czasem wbrew scenariuszowi, na przekór reżyserowi, w kontrze do samego siebie. Czasem w języku, którego zupełnie nie znał. I wtedy właśnie bywał najbardziej prawdziwy.

Będę aktorem

W dowodzie osobistym jako miejsce urodzin wpisano mu ZSRR, bo rodzina ma rodowód lwowski. W 1946 r. podróż do Polski w wagonie towarowym opalonym „kozą” zajęła im 40 dni. Zatrzymali się w Gliwicach, zamieszkali w tej samej kamienicy co inni lwowiacy, państwo Zagajewscy z synem Adamem, późniejszym poetą. Ojciec odmówił wstąpienia do partii, więc wyleciał z posady dyrektora wytwórni sadzy technicznej. Matka, wielbicielka opery włoskiej, została magazynierką na budowie. Mały Wojtek tak dalece nie odnajdywał się w tej burej śląskiej beznadziei, że aż dwa razy próbował ze sobą skończyć. Wylądował jako kadet w orkiestrze wojskowej. Specjalność: werbel. Po służbie czyszczenie kibli gołymi rękami. Nie sprawdził się, wyrzucili. Z teatrzykiem harcerskim objeżdżał prowincjonalne przeglądy, ale wystawiane tam scenki dell’arte nauczyły go

na całe życie: aktor nie jest po to, by „odegrać rolę”. Aktor powinien „wejść w postać”, najgłębiej jak się da, zostać nią na czas przedstawienia, a może i dłużej. Odtwarzaną postać należy długo obwąchiwać. A tekst – degustować. To się przydało, gdy mieszkający wtedy w Gliwicach Tadeusz Różewicz – guru nowoczesnej dramaturgii – pozwolił Wojtkowi i kolegom wystawić w studenckim teatrzyku sztukę „Świadkowie albo nasza mała stabilizacja”.

Nie grywał ról. On odkrywał swoje postacie. Czasem wbrew scenariuszowi, na przekór reżyserowi, w kontrze do samego siebie.

Ale prawdziwy teatr Wojtek odstawiał, gdy zarabiał na życie jako psi fryzjer, o czym nie miał pojęcia. Wokół strzyżenia pudła należało zbudować cały spektakl, żeby ukryć brak warsztatu fryzjerskiego. Albo samochód. Wojtkowi żołądek przysychał z głodu do kręgosłupa, ale wszystkim dookoła opowiadał, że ma samochód – od niechcenia porządkował kluczykami bądź przyturlał starą oponę, bo rzekomo za rogiem złapał gumę.

Na egzaminie do warszawskiej PWST poszło jednak gorzej. „Brak warunków zewnętrznych, wady wymowy, brak wrażliwości”. Oblali go, a on się odwrócił w stronę Kreczmara,

Świdierskiego i Perzanowskiej: „Niech wam się, k... nie zdaje, że nie będę aktorem!”. I trzasnął drzwiami. Aktorem został w Krakowie, w dodatku na własnych zasadach. „Owszem, rzemiosło jest przydatne – tłumaczył po latach w rozmowie rzece z Michałem Komarem – ale co z tego, że masz doskonałą dykcję, gdy idzie o to, by postać była czymś więcej niż instrumentem do przekazania tekstu”. I takiego – gotowego! – brali go do swoich historycznych inscenizacji Zygmunt

Hübner, Konrad Swinarski, wreszcie Andrzej Wajda.

Hucpiarz, pachciarz, fabrykant

W roku 1974 reżyser rzuca propozycję: Wojtek zagra Moryca Welta, jednego z trójki przyjaciół budujących na podmiejskim ugorze fabrykę, w ekranizacji „Ziemi obiecanej”. Tyle że ten Reymontowski Żyd był narysowany grubą antysemitką krechą. Czysty szablon – dla aktora bezużyteczny, dla filmu szkodliwy.

Aktor Pszoniak zaczął obwąchiwać tę postać po swojemu: „A sam Moryc Welt? Musiał go ktoś przedtem parę razy przelecieć batem po

grzbiecie, brutalnie odepchnąć jako parszywego Żyda, bo nosi w sobie i ból, i nieufność, a jednocześnie marzy, by było inaczej, chce przekroczyć granicę, chce być postrzegany jako człowiek, ludzkie istnienie, a nie jako typowy egzemplarz grupy etnicznej czy rasy". W „oscarowej” kreacji Pszoniaka – jak zgodnie uznała krytyka – ten Moryc mieni się wszystkimi odcieniami. Oto zamożny łódzki fabrykant, ale jednocześnie w prostej linii potomek wiejskich „pachciarzy”, zostaje zaproszony do stołu

Wajda doskonale poznał się na Pszoniaku i postanowił wyzyskać jego aktorstwo do dna.

wystawionego przed dworkiem szlacheckim. I chciałby tam zasiąść z godnością właściwą jego pozycji i pieniądзом. Ale – pokolenia jego żydowskich przodków – panicznie boi się dworskich chartów, przed którymi może nawet sam nieraz zmykał w popłochu. Więc zbliża się do „jaśnie dziedzica” ni to krokiem menueta (bo tak według niego chadzą wielcy państwo), ni to truchtem wiecznie przeganianego Żydką. W tej jednej scenie jest już cały Moryc! A potem Moryc, który bez mrugnienia okiem śledzi kursy giełdowe i słucha kilku raportów handlowych naraz. I nie umyka mu najdrobniejszy szczegół. I jeszcze Moryc cały w ukłonach, w przeprasających uśmiechach, gdy ośmiela się zwrócić o pożyczkę do potężnego łódzkiego fabrykanta rekina Grünspana. I ten sam Moryc, który temu samemu Grünspanowi dwa dni później rzuca bezczelnie i bez mrugnienia, że mu pieniędzy nie odda. A potem nieprzymowny z napięcia nerwowego i zdumienia, że się na coś takiego zdobył, zbiega ze schodów, zgina się wpół, jakby chciał uspokoić żołądek, który skacze do gardła. Ale sekundę później dociera do niego, że dał radę, że się udało. I z tej radości śmieje się wprost do obiektywu i wesoło macha ręką w stronę kamerzysty.

Takie gesty w montażu rutynowo się wycina, ale Wajda ten gest zostawił. Bo w tej mikroskencie był cały Moryc i cały Pszoniak jednocześnie. I już nie wiadomo było, który jest który...

Wajda doskonale poznał się na Pszoniaku i postanowił wyzyskać jego aktorstwo do dna. W roku 1974

pada propozycja: rola Robespierre’a w „Sprawie Dantona” Stanisławy Przybyszewskiej. Ale tym razem wydaje się, że Wajda się pomylił. Danton – tak, proszę bardzo! „Od dzieciństwa jestem nadaktywny. Biegam, gestykuluję, skaczę, rozglądam się, nasłuchuję, często bezwiednie” – ktoś taki to idealny materiał na wiecowego przywódcę. Ale Pszoniak – żywe srebro – jako kostyczny Robespierre? Nie, to się udać nie może. Chyba żeby to srebro stężało, żeby zastygło, skamieniało.

I Pszoniak zaczął krok po kroku się powściągać, kontrolować, hamować. Zaczął patrzeć na siebie okiem zewnętrznym. Nawet po któreś butelce wódki wychylonej nocą w warszawskich Kamieniołomach w wesołym towarzystwie zachowywał się jak robot. Koledzy dopytywali, czy aby nie chory. A on tymczasem stawiał się Robespierre’em. „Nagle zobaczyłem, że moja ręka nie jest już moją ręką, że to nie jest ręka tego Pszoniaka, którym jestem, że to już jest ręka – początek kogoś innego. Powiedziałem Wajdzie:

Aktor powinien „wejść w postać”, najgłębiej jak się da, zostać nią na czas przedstawienia, a może i dłużej.

– Mogę zacząć próbować”. To wszystko przydało się, gdy Wajda przenoślił na ekran Dantona w Paryżu w roku 1983. Robespierre w wykonaniu Pszoniaka okazał się idealny: ojciec rewolucji, który jako pierwszy zrozumiał, że jego rewolucja przegrała. Ale przecież nie może tej wiedzy zdradzić najdrobniejszym gestem.

French is strange

Tymczasem jest rok 1975, koledzy Olbrychski i Pszoniak dostają propozycję grania w teatrze francuskim. To już prędzej UFO można by się spodziewać... Pszoniak, który po francusku ani be, ani me, odkłada zaproszenie do szuflady. Francuskiego wprowadzić się nie uczy, ale po roku odpowiada na propozycję. Rozmowa z impresariem wygląda tak, że Pszoniak ma na stole porozkładane karteczki z zapisanymi odpowiedziami

na przewidywane pytania. Koleżanka tłumaczka słucha tego, co mówi Francuz, patyczkiem wskazuje odpowiednią karteczkę, Pszoniak duka odpowiedź (cały mokry od potu), a po odłożeniu słuchawki dowiaduje się od tłumaczki, co przed chwilą powiedzieli mu przez telefon: że dostał rolę w paryskim teatrze. W dodatku gra z samym Gérardem Depardiem. Praktycznie bez znajomości języka.

„Moja taktyka – wspominał pan Wojtek – skromnie, trochę z boku, czujnie, oczywiście wszystko rozumiem, ktoś opowiada dowcip, wybuchają śmiechem, ja przyłączam się pół sekundy potem i wszystko idzie dobrze”. Aktor jednak uparcie szlifuje francuski, tylko nie bardzo wiadomo, po co. Po półrocznych występach francuski reżyser żali się jego żonie, że Wojtek teraz po francusku mówi znacznie gorzej niż na początku. Oto siła aktorskiej sugestii! Ale Pszoniak po francusku mówi na tyle dobrze, aby przyjmować kolejne propozycje teatralne i filmowe. „Zadomowiłem się we Francji – deklarował. – Zadomowiłem się w teatrze, w którym nie ma etatowych aktorów urzędników odrabiających normę, są za to artyści, którzy dbają o swój kunszt. A w związku z tym mniej tam napięć, zawiści”.

Francja opanowana, przyszła kolej na Anglię, zwłaszcza że zaproszenie do prestiżowego londyńskiego Almeida Theatre wystosował wybitny reżyser Karel Reisz. Lecz i tym razem, jak w przypadku pierwszego zaproszenia z Francji, Pszoniak odmawia. Powód ten sam, bariera językowa. Aktor po angielsku mówi znacznie lepiej niż kiedyś po francusku, ale to stanowczo za mało. I wtedy słyszy od reżysera Reisha niemal słowo w słowo to samo, co on wyznawał od lat: „Ktoś oświadcza, że gra Ryszarda III, i zaczyna donośnie, wyraźnie recytować tekst szekspirowski. Uda je Ryszarda, tak jak wczoraj udawał Zdzisława, przedwczoraj zaś majstra Kolanko. To jest podróbka. Sztuka aktorska zaczyna się ponad tekstem”.

W przypadku Wojciecha Pszoniaka ta sztuka zaczynała się tuż ponad tekstem, a potem szybowiała bardzo wysoko. ■

PAMIĘTAMY

Listopad. Czas zadumy i myśli o tych, których znaliśmy, którzy z nami pracowali, wspierali nas radą, byli dla nas autorytetami, zapisali się w historii PRZEGŁĄDU, a teraz możemy ich tylko wspominać. Ten rok był dla nas szczególnie bolesny.

Pożegnaliśmy naszych nieocenionych felietonistów, wielkie postacie polskiej kultury i mediów, błyskotliwych erudytów. 7 marca odszedł **prof. Ludwik Stomma** – antropolog kultury, historyk, autor książek, który nadzwyczaj skutecznie zaprzeczał tzw. prawdom oczywistym, z zapałem niszczył stereotypy i zastane przekonania. Na łamach naszego tygodnika przez ponad sześć lat w cyklu „Sherry Brandy” ukazało się przeszło 150 Jego felietonów. Pisał o Polsce i Polakach, wiele razy krytycznie, ale zawsze z troską, bo zależało Mu na tym, jak o naszym kraju mówią w Europie. Człowiek barwny i urzekająco ciepły, z ogromną wiedzą, miał dystans, jaki daje spojrzenie znad Sekwany.

Pół roku później, 7 września, żegnaliśmy **Edwarda Mikołajczyka** – wielką postać mediów, współtwórcę legendarnego Studia 2 na antenie TVP, wychowawcę wielu pokoleń dziennikarzy, który wiedzą o telewizji, piłce nożnej i Bałkanach dzielił się z naszymi czytelnikami w cyklu felietonów „Szołkejs”. Oczarowywał kulturą, subtelnym żartem, życzliwością.

20 sierpnia odszedł **prof. Andrzej Walicki**, wielki uczony, filozof i historyk idei, postać światowego formatu o imponującym dorobku naukowym, laureat Nagrody Balzana, uznawanej za humanistycznego Nobla. To dla nas wielki zaszczyt, że na łamach PRZEGŁĄDU ukazywały się Jego niezwykle ważne publikacje, że mogliśmy wydać Jego ostatnią książkę „O Rosji inaczej”, a wkrótce ukaże się I tom Jego testamentu politycznego „PRL i skok do neoliberalizmu”. Był dla nas ogromnym autorytetem i intelektualną busolą. Jego śmierć jest wielką stratą nie tylko dla polskiej nauki.

18 marca zmarł **Eugeniusz Kabatc**, pisarz, tłumacz, społecznik, autor cenionych i wielokrotnie nagradzanych powieści i opowiadań. Na łamach PRZEGŁĄDU czytelnikowi z Zachodu i Polakowi katolikowi przypominał o istnieniu Europy słowiańskiej i prawosławnej oraz pięknego wielokulturowego wschodniego pogranicza.

20 kwietnia odeszła **Krystyna Łybacka**. Ważna postać polskiej i europejskiej lewicy. Wieloletnia posłanka na Sejm RP i do Parlamentu Europejskiego, minister edukacji i sportu. Naturalna i autentyczna liderka, szanowana i doceniana przez wyborców za zastugi dla państwa, a zwłaszcza edukacji. W PRZEGŁĄDZIE regularnie ukazywały się sprawozdania z tego, co robiła jako posłanka do Parlamentu Europejskiego, gdzie szczególnie bliskie były jej sprawy edukacji i seniorów. Ludzi takiego formatu jest niewiele, choć tak bardzo są potrzebni.

5 czerwca pożegnaliśmy **Leopolda Dzikowskiego**, wybitnego fotoreportera, laureata najważniejszych nagród dziennikarskich, w tym World Press Photo i Interpress Foto. Wielu z nas znało Go jeszcze ze „Sztandaru Młodych”, potem bliski Mu był nasz tygodnik. Miał niepowtarzalny styl i wielką klasę.

W lipcu tego roku zmarł **Leszek Lachowiecki** – współtwórca „Forum Klubowego” i Klubu Dyskusyjnego Starówka, prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Warszawa w Europie, autor antologii poetyckich, podręczników, plakatów i okładek książkowych. Na łamach PRZEGŁĄDU pisał o lewicy i ukochanej Warszawie.

Z bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci 7 września **Jana Leszczyńskiego**, Pana Janeczka, jak o Nim mówiliśmy, długoletniego pracownika „Sztandaru Młodych” i PRZEGŁĄDU. Formalnie był kierowcą, faktycznie Przyjacielem. Zawsze pomocny i życzliwy, wspierał nas w trudnych sytuacjach, a Jego mądrość życiowa pomagała widzieć problemy w realnym świetle.

A 28 września zmarł **Jacek Marciniak**, wydawca, twórca wydawnictwa Studio Emka, które z sukcesem publikowało światową klasykę książek ekonomicznych i motywacyjnych. Aktywnie angażował się w sprawy społeczne. Był życzliwym mentorem lewicy. Książki wydawane przez Emkę pojawiały się na naszych łamach.

Wspominając tych, których okrągłe rocznice śmierci przypadają w tym roku, nie sposób nie wymienić zmarłego 20 lat temu **Andrzeja Szczypiorskiego** – pisarza, który rozumiał, że Polacy i Niemcy skazani są na współpracę. Nikt lepiej od Niego nie potrafił opisać ludzi zaplątanych w historię, zmagających się ze swoją przeszłością, uczynkami wielkimi i haniebnymi, swoją pamięcią. Często gościł na łamach „Przeglądu Tygodniowego”.

To już 10 lat, jak przestały ukazywać się w PRZEGŁĄDZIE, a wcześniej w „Przeglądzie Tygodniowym”, felietony **Krzysztofa Teodora Toeplitza**, uważnego obserwatora, znakomitego publicysty i felietonisty, krytyka filmowego, scenarzysty. KTT był filarem naszego tygodnika. W felietonach z cyklu „Kuchnia Polska” i „Odloty” wojował z głupotą, starymi i nowymi mitami, z łgarstwami i umysłowym lenistwem. Niestety, nadal są one aktualne. Również 10 lat temu zmarł **Roman Hurkowski** – wybitny znawca piłki nożnej, który na naszych łamach przybliżał tematykę futbolu. Pięć lat temu pożegnaliśmy **Wojciecha Giełżyńskiego** – wybitnego reportażystę, autora tysięcy artykułów prasowych i kilkudziesięciu książek o Trzecim Świecie. W PRZEGŁĄDZIE drukował reportaże i teksty publicystyczne. W 2010 r. zmarł też **Zbigniew Krzywicki** – dziennikarz, dla którego Podlasie było matką ojczyzną, jeden z czołowych działaczy ruchów antydyskryminacyjnych.

Oni odeszli, ale zostaną w naszej pamięci.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Tańczący diabeł

Nie zbudują już żadnej fabryki; umarł Moryc Welt. Umarł wielki aktor Wojciech Pszoniak, głos mi więźnie w gardle, bo na jego rolach się wychowałem, dzięki nim rozkochałem się w kinie jako przyszły filmoznawca. Umarł jeszcze jeden wybitny polski inteligent, nie umarł, a wymarł zatem, bo jak wieść niesie, nasza inteligencja wymiera (choć, kto wie, może i reszta do niej dołączy; nie jest powiedziane, że COVID-19 wpisał ludzkość na listę – nie jest powiedziane wyłącznie ze strachu).

Stwierdzić, że wszedł do kina z rozmachem, byłoby eufemizmem; Pszoniak wtargnął do polskiej kinematografii w jej najlepszym artystycznie okresie jako aktor gotowy, wszechstronny, ba, jako potencjalny złodziej filmów, który nawet z drugiego planu zagarnia dla siebie pełną pulę pamięci widza. W ciągu jednego 1972 r. kreacje w „Diable”, „Weselu” oraz „Piłacie i innych”, a zaraz potem Moryc Welt, rola życia w „Ziemi obiecanej”.

Andrzej Żuławski był nim zachwycony, cenił go za dynamikę, wspominał, że „Wojtuś grał bardzo pięknie i bardzo szybko”, w zawrotnym tempie rozhułanej kamery Andrzeja Jaroszewicza. Żuławski szybko dojrzał jako reżyser, zrozumiał, że do postaci potwora potrzebuje nie maski bestii, lecz aktora o aparycji niepozornej, niewinnej wręcz, który wyzyska siłę kontrapunktu. Zaiste demoniczną moc ma scena, w której postać tajemniczego mężczyzny, grana przez Pszoniaka – czyste zło w ludzkim cieple, mówi do zgnębanego bohatera: „Świat nie jest ohydny, jest piękny, ja ci tego nie mogę opowiedzieć, ja ci to muszę zatańczyć”. I zaczyna się jedna z tych typowo Żuławskich erupcji ruchowej nadekspresji, kiedy aktor wymachuje połą czarnego płaszcza, wyrzuca ręce we wszystkie strony i diabelskimi wytchnieniami obtańcowuje imaginowane „kwiaty, ogrody, owoce, kobiety...”. Dla mnie, rówieśnika tego owianego czarną legendą półkownika, premiera po 16 latach była jak uderzenie Witkacowskiej Czystej Formy, pierwsze „szamańskie ukąszenie” kina Żuławskiego, a ten konwulsyjny taniec o pięknie świata, owa wściekle afirmatywna płaśawica Pszoniaka, jest jednym z najbardziej magicznych momentów w historii polskiego kina.

Miał szczęście do Wajdy – albo Wajda miał szczęście do niego – wszystkie filmy z Pszoniakiem są w ścisłej czołówce dokonań naszego najśłynniejszego reżysera. Niespodziane przełamanie czwartej ściany w „Ziemi obiecanej”, radosne spojrzenie Moryca Welta w kamerę Pszoniak zaimprovizował, a Wajda zostawił, bo był

w niesamowitym gazie twórczym, miał wtedy genialną intuicję i swobodę. Grał Pszoniak często przeciw swoim warunkom: diabła, Żyda, rewolucjonistę Robespierre’a. Co ciekawe, rzadko korzystano z jego *vis comica*, obsadzając go nade wszystko w rolach dramatycznych; nawet karykaturalny homofob Zuppe w „Excentrykach” Janusza Majewskiego (ostatnia z wielkich ról Pszoniaka) jest postacią tragiczną.

Miał w sobie tę energię, że chce się dla niego oglądać nawet filmy nieudane lub dziwaczne – jak „Przeprowadzka” Gruzy czy „Rekolekcje” Leszczyńskiego. Zwłaszcza w tym drugim, autobiograficznym dziele, na tle niemogącego powściągnąć teatralnej maniery Ryszarda Cieślaka imponował wyciszonym i bolesnym portretem artysty w kryzysie. Jako dziecko byłem dumny, kiedy jakiś mój

Umarł jeszcze jeden wybitny polski inteligent, wymarł zatem, bo jak wieść niesie, nasza inteligencja wymiera.

imiennik okazywał się człowiekiem sławnym, rodzice przekonywali mnie, że imię Wojciech jest niepospolite, noszą je postacie szlachetne, bo Zabłocki, bo Kilar, bo Pszoniak, dopiero Dzień Bez Teleranka podkopał moją wiarę w tę teorię.

Ojciec, religijny fundamentalista, twierdził, że nadano mi imię na cześć katolickiego patrona Polski, ale cóż znaczy „nadano”, wierzę, że to matka kinomanka miała decydujący głos w sprawie. Skądinąd, po latach, począwszy od 90., dzieci zaczęły mi się rodzić w każdej dekadzie i zawsze mi się zdawało, że wybieram gustowne, acz niepopularne imię dla dziecka. A potem okazywało się, że tak samo myślały w tym samym czasie rekordowe ilości Polaków – coś musi być w tej zbiorowej halucynacji, jakiś *zeitgeist* podprogowy. Prowadzę Antosia na pierwsze treningi w piłkarskim przedszkolu i widzę w jego niewielkiej grupie jeszcze dwóch krasnali z napisem „Antoś” na koszulce. Niech biega, póki może, bo wszystko wokół cuchnie na kilometr nowym lockdownem; jeszcze udaje się nam przed pięciolatkiem stwarzać pozory normalnego dzieciństwa, sami się pocieszamy tym jego życiem na rozbiegu, tak to nas pociesza w czasie wymierania.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Pamięć zaklęta w plastik

Czy znów cmentarze utoną w sztucznych tworzywach?

Ewa Smolińska-Borecka

Mały cmentarz parafialny na wschodnich rubieżach. Dwa tygodnie przed Świętem Zmarłych tylko na niektórych grobach palą się znicze, a większość pomników ozdobiona jest wypłowiałymi sztucznymi kwiatami. Ale co roku na Wszystkich Świętych cmentarz niemal tonie w kolorowych wiązkach i rozświetla się tysiącami zniczy. Gdyby po tym świątecznym wyglądzie cmentarza oceniać, jak zamożna jest parafia, każdy by powiedział, że bardzo. Hanna się uśmiecha: – Bez przesady, taka bogata to nie jestem. Ale we Wszystkich Świętych na grobach musi być dostatnio.

A rodziny jest dużo. Ta najbliższa to pięć grobów. Na każdym trzeba położyć kilka wiązanek, chociaż po jednej dla zmarłego, zapalić kilkanaście zniczy. Żeby ludzie widzieli, że pamiętam. Ja lubię wiązanki sztuczne, bo one długo poleżą. A znicze kupuję z wymiennymi wkładami, żeby za każdym razem nie wyrzucać. Wołę znicze z plastiku, bo jak na piechotę idę, to lżej mi nieść, a mam już swoje lata.

Dbanie o planetę? Hanna znów się uśmiecha. – Ile zaśmieca planetę te moje plastikowe znicze i wiązanki? Tyle co nic – mówi. Dlatego w tym roku też zapali znicze z plastiku i położy na grobach sztuczne kwiaty. Miliony ludzi zapewne zrobią tak jak ona.

Bródnowski dyktuje trendy

Cmentarz Bródnowski w Warszawie. Jakby miasto w mieście, bo znalazło tam spokój 1,2 mln zmarłych. Największa pod względem liczby pochowanych nekropolia w Polsce i jedna z największych w Europie. Na Wszystkich Świętych przybywają tu nieprzebrane tłumy ludzi. Wcześniej i później z cmentarza wywozi się

tony śmieci, w tym znaczne ilości plastiku. Ale dyrektor cmentarza ks. Jerzy Gołębiowski nie chce rozmawiać na temat góry plastiku.

Przed głównym wejściem prawie 30 pawilonów ze zniczami i kwiatami. Dla branży cmentarnej to miejsce jest niczym Mediolan dla mody. Tu widać, jakie są najnowsze trendy i co się kładzie na grobach. W zwyczajny dzień klientów nie jest zbyt wielu. Młoda kobieta ogląda wiązanki ze sztucznych kwiatów. Każdą, która jej się spodoba, fotografuje komórką i zdjęcie przesyła mamie. Potrzebny namysł, bo średniej wielkości wiązanka kosztuje 75 zł, a duże są i po 130 zł. W końcu wybierają. – Zawsze kupujemy na Wszystkich Świętych



Najgorsze jest plastikowe igliwie. Bardzo trudne do recyklingu połączenie plastiku i stalowego drutu w większości krajów Unii jest zabronione.

wiazańki z żywych kwiatów, ale w tym roku nie wiadomo, co będzie, może pozamykają cmentarze, jak było na Wielkanoc – tłumaczy, dlaczego wybrała plastik. – Jutro z mamą pojedę na grób taty, posprzątam i położymy tę wiązankę. Tata leży na cmentarzu Wawrzyszewskim, ale przyjechałam aż tutaj, bo tu jest chyba największy wybór wiązanek i moim zdaniem są najładniejsze w Warszawie. A jak cmentarze będą otwarte, to 1 listopada pojedziemy do taty z chryzantemami w doniczce.

Przy innym pawilonie kobieta z małą dziewczynką wybiera sztuczne fioletowe storczyki. Mówi, że to dla babci, która leży na cmentarzu Bródnowskim. Jak ludzie będą mijać grób, to zobaczą, że zadbany, ukwiecony.

W większości pawilonów przed główną bramą więcej wiązanek ze sztucznych kwiatów niż z żywych. Handel frontem do klienta, a wielu klientów właśnie takich poszukuje. Dla sprzedającego też są wygodniejsze, bo nie trzeba się martwić o straty z powodu wędnięcia kwiatów czy dodatków. Obok wiązanek żywych i sztucznych są jeszcze hybrydowe, z plastikową kompozycją kwiatową na naturalnym igliwiu.

Magdalena Balci, właścicielka kwiaciarni Arkadia, która ma w ofercie wiązanki żywe, sztuczne i hybrydowe, mówi, że ona nie jest zwolenniczką plastiku. – Na grobach najbliższych kładę tylko wiązanki z żywych kwiatów – wyjawia. A znicze? W ofercie kwiaciarni są głównie szklane. Zaledwie kilka z plastiku.

Przed pawilonem Piotra Pyżłaka, właściciela kwiaciarni kwiaty-napogrzeb.pl, głównie wiązanki i wieńce z żywych kwiatów. Ten

pawilon to wyjątek. – Po prostu postanowiłem ryzykować bardziej niż inni – mówi Pyżlak, który już wie, że dziś kilkanaście wiązanek wyłącza w chłodni i będzie czekać na jutrzejszego klienta. Który będzie albo nie. – Teraz klient, który przychodzi do nas, jest bardziej świadomy. Nie kieruje się wyłącznie ceną, ale myśli też o ekologii. Naprawdę! Oczywiście my także robimy wiązanki ze sztucznych kwiatów i sztucznego igliwia. Ale jeśli klient chciałby wiązankę jak najbardziej



trwałą, a jednocześnie przyjazną dla środowiska, to wyjaśniam, że powinien unikać plastikowego igliwia. To połączenie plastiku i stalowego drutu jest bardzo trudne do recyklingu. W większości krajów Unii Europejskiej ten materiał jest zabroniony. Dlatego w mojej kwiaciarni zamiast plastikowego igliwia stosuję prasowaną słomę.

W kwiaciarni Pyżłaka jest duży wybór zniczy, ale zaledwie sześć wzorów z plastiku. Pozostałe są wykonane ze szkła, ewentualnie z niewielkimi plastikowymi dodatkami. Gdy pytam kwiaciarza, co będzie hitem tegorocznych Wszystkich Świętych, odpowiada minorowo: – Hitem to będzie, jeśli uda mi się przeżyć i utrzymać zespół.

W jednym z pawilonów mieści się firmowy sklep producenta zniczy Lamp-Art. Co chwilę pojawia się nowy klient. Przed chwilą od lady odeszła para, która przyjechała tu aż z Mińska Mazowieckiego.

– Kupili dwa szklane lampiony po 45 zł każdy – wyjaśnia sprzedawczyni Agata. – Bardzo często ludzie przyjeżdżają do nas z odległych dzielnic albo spod Warszawy, bo nasze znicze nie są dostępne pod każdym cmentarzem. Właśnie duże znicze szklane i lampiony są najmodniejsze. Lampiony mają wygrawerowane dedykacje: „Dla rodziców”, „Dla mamy”, „Dla babci”...

Można również zamówić własną dedykację. Ale szef powiedział, że do Wszystkich Świętych zamówień już nie przyjmuje. Zniczy plastikowych mamy zaledwie kilka.

Gdyby oferta zniczy w stoiskach, które pojawiają się przed 1 listopada, była taka jak w pawilonach całorocznych, być może nie byłoby wielkiego problemu plastikowych śmieci. Ale pod cmentarzami powstaje od kilku do kilkuset stoisk okolicznościowych, które oferują taki cmentarny towar, jaki jest najbardziej chodliwy. Czyli konkurencyjny pod względem ceny. Na pewno więc na tych stoiskach pojawią się plastikowe znicze i wiązanki ze sztucznych kwiatów na sztucznym igliwiu.

Także sieci handlowe nie stronią od plastikowych zniczy i kwiatów. W jednej z nich można za 10 zł kupić stroik z 15 sztucznych kwiatów, plastikowego igliwia i liści upięty na plastikowej podstawie. W innej sieci, mającej ok. 3 tys. sklepów, za tyle samo można nabyć bukiet z czterech dużych sztucznych kwiatów. A poza tym znicze w cenie od 8,99 zł do 19,99 zł. Niektóre z plastikowymi elementami.

Ekolodzy

Stowarzyszenia, fundacje ekologiczne czy partie nie podejmują specjalnych inicjatyw związanych

z dniem Wszystkich Świętych. Ale potępiają plastik na cmentarzach. – Chęć upamiętnienia osób, które odeszły, nie musi oznaczać produkowania śmieci – przypomina Maciej Józefowicz, członek Zarządu Krajowego Partii Zieloni. – Staramy się uświadomić ludziom, że zamiast nieprzebranej liczby zniczy można położyć na grobie żywe kwiaty. I że jeden znicz jest lepszy od kilkunastu, nie musimy akurat w ten sposób pokazywać, jak bardzo kochaliśmy zmarłego. Wystarczy zapalić jeden, ale ze szczerymi intencjami. Poza tym znicze gliniane lub szklane są lepsze od plastikowych. Jeśli pani pojedzie na cmentarz, zobaczy pani, że jest to problem. Jest chęć pokazania, że znicze na grobie naszych najbliższych są największe i najbardziej okazałe. Co roku na cmentarze wybierają się miliony Polaków. Zapalają znicze, a one wydzielają dym. Ze zniczami jest podobnie jak z inną konsumpcją – zużywamy ich zbyt wiele.

Fundacja Ekologiczna Arka ma siedzibę w Bielsku-Białej. Nie podejmuje żadnych akcji edukacyjnych zachęcających, by upamiętniać zmarłych w zgodzie z ekologią, ale swoim działaniem uczy ludzi, że warto na co dzień pamiętać o ochronie planety. – Zachęcamy do tego, żeby unikać produkowania śmieci – mówi Anna Sobańska z Arki. – Ja sama nie kupuję plastikowych wiązanek ani zniczy. Często sama robię stroiki na groby, wykorzystuję znalezione w lesie szyszki, patyki, gałązki sosnowe. Kupuję szklane znicze, z wymiennymi wkładami. Dzięki temu szklany pojemnik może służyć przez długi czas. Jestem załamana tak dużą ilością śmieci na cmentarzach. W naszej kulturze jest kult zmarłych, który manifestuje się m.in. zapaleniem znicza. Ale nie liczba zniczy świadczy o tym, jak bardzo kochaliśmy zmarłego. Ważne, żeby żal i pamięć były w głowie. Wydaje mi się, że kiedyś rozważniej dekorowaliśmy groby. Potem poczuliśmy, że jesteśmy zaможniejsi, i zaczęliśmy to okazywać na cmentarzach. Przestaliśmy też ratować rzeczy, które jeszcze mogłyby nam służyć. Ale ostatnio narodziła się akcja, która pozwala dać nowe życie zniczom. Na niektórych cmentarzach ustawia się półki na wypalone znicze, które zamierzaliśmy wyrzucić, a przecież może je wziąć ktoś

► inny. To takie zniczodzielnie, na wzór jadłodzielni.

Nie tylko w centrum

W Warszawie są trzy cmentarze komunalne: Północny, Wojskowy i Południowy. Administruje nimi Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Warszawie. Kierownik działu technicznego Marek Buczek przyznaje, że ilość śmieci pojawiająca się na cmentarzach przed dniem Wszystkich Świętych i po nim jest ogromna. – Jednak nie mamy problemu z wywozem odpadów komunalnych – przekonuje. – Są wywożone z taką częstotliwością, jaka jest potrzebna. W stosunku do osób, które odwiedzają groby swoich bliskich, nie kierowaliśmy, nie kierujemy i nie zamierzamy kierować żadnych sugestii, żeby nie przynosiły plastikowych kwiatów i zniczy. Uważam, że byłoby to niestosowne i niepotrzebne.

Właściwie problem plastikowych śmieci na cmentarzach dotyczy wszystkich nekropolii w kraju, małych i dużych, parafialnych i komunalnych. Na cmentarzu parafialnym w Wyszowie jest ok. 7 tys. grobów, w których leży ponad 17 tys. zmarłych. – Zawsze jest problem ze śmieciami, bo jest ich dużo – potwierdza Marcin Lisek, administrator cmentarza. – Znicze i wiązanki to wieczny problem cmentarzy. Ale w okresie

poprzedzającym Wszystkich Świętych i tuż po ta ilość jest trzy-cztery razy większa niż w innych okresach. Moje zdanie jest takie – powinno być skromniej, wtedy byłoby mniej śmieci. Czasem ludzie przesadzają, a kwiaty i znicze ledwo się mieszczą na grobie. Ja uważam, że kilka świateł na grobie wystarczy. To miejsce wiecznego spoczynku, a nie pokaz.

Problem plastiku pojawia się też od lat na cmentarzu komunalnym w Koninie, na którym jest ok. 15 tys. grobów. – Na Wszystkich Świętych są jakby dwa rzuty śmieci – wyjaśnia Andrzej Pachulski, kierownik administracji. – Pierwszy rzut, kiedy ludzie przychodzą na cmentarz i zbierają

trudno będzie przekonać ludzi, żeby symbolicznie dekorowali groby i przynosili na cmentarz mniej plastiku. Pewnym rozwiązaniem jest pole urnowe, gdzie miejsca na wiązanki i znicze jest znacznie mniej. Ja 16 lat temu uruchomiłem takie miejsce na naszym cmentarzu. Początkowo rocznie spopieliano zaledwie dwóch-trzech zmarłych, a teraz do końca września 120.

Po co ten alarm?

Nikt nie wie, ile śmieci produkuje się na polskich cmentarzach w związku ze Świętem Zmarłych. Faktem jest, że to najważniejszy okres dla branży

Na niektórych cmentarzach ustawia się półki, na które można odstawić wypalony znicz, by wziął go ktoś inny. To takie zniczodzielnie.

stare wiązanki. Drugi – kilka dni po 1 listopada, kiedy porządkują groby po święcie. U nas w dniu Wszystkich Świętych ludzie raczej przynoszą żywe wiązanki albo doniczki z chryzantemami, ale w ciągu roku dominują sztuczne. Odwiedzający stawiają znicze i plastikowe, i szklane. Są takie groby, gdzie w święto stoi nawet 30 zniczy. Pojawiły się też znicze z lampkami LED. Technologia pcha się na cmentarze. Wydaje mi się, że

zniczy, sztucznych kwiatów i chryzantem. W tym roku te branże są zaniepokojone. Już zamknięcie cmentarzy w okresie Wielkanocy spowodowało kłopoty. Jeśliby cmentarze zamknięto na Wszystkich Świętych, oznaczałoby to upadek branży zniczy. Takie obawy ma m.in. Joanna Karpeta, wiceprezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Producentów Świec i Zniczy. Uważa ona, że alarm z powodu zniczy z plastiku nie jest uzasadniony.

– Od wielu lat polscy producenci nie produkują plastikowych zniczy, już od dawna znicze są szklane, produkowane przez huty szkła – twierdzi. – Szkło do zniczy jest pozyskiwane ze stłuczki pochodzącej z recyklingu. Znicze są wielokrotnego użytku, klienci pozostawiają je na grobach i wymieniają jedynie wkłady. Wprawdzie niektóre znicze szklane mają kapturki i dekoracje plastikowe, ale są one wytwarzane ze śmieci, tak więc z korzyścią dla wszystkich, bo to plastik z odzysku. Ponadto od lat parafina w zniczach jest dużo lepszej jakości, niż to było wcześniej, i nie jest szkodliwa dla środowiska. Myślę, że większym problemem są tony plastikowych butelek produkowanych dla wszystkich koncernów napojowych. Znicze są sprzedawane masowo tylko raz w roku, przed 1 listopada, a napoje, wody i soki w plastikowych butelkach PET przez cały rok.

Ewa Smolińska-Borecka



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Polski wstyd

Wieczory stały się dłuższe i w kuchniach ludzie wcześniej zapalają światła. Przy sztucznym świetle spędzają co najmniej kilka godzin: jedzą, oglądają telewizję, klócą się i sprzątaj. I coraz częściej nie zasłaniają okien.

Pamiętam swój szok, kiedy kilkanaście lat temu pojechałam odwiedzić mojego szwedzkiego tłumacza, Davida Szybka. Kuchenne okno jego mieszkania w Lund wychodziło na wspólny balkon. Okno zaczynało się pół metra od podłogi i nie miało nawet głupiej zazdrostki. Było po prostu beczelnie nagie. David nie miał serca do doniczkowych kwiatów ani żadnych durnostojek – parapet był pusty, przez kuchenne okno widziałam kolejnych ludzi, którzy wchodzili ze wspólnego balkonu do swoich mieszkań.

Sama od razu poczułam polski wstyd. Skontrolowałam koszulę, czy nie ma na niej tłustych plam ani słodkich nacieków po jogurcie. Zawstydiłam się swoich skarpet i spodni, które trzymały się tyłka na ostatniej prostej sparciałej gumy, którą tak lubimy w dresach. Co chwilę nerwowo zerkalam na Szwedów za oknem – nigdy nie wymieniłam z nikim spojrzenia. Nikogo nie interesowaliśmy, nikt nie chciał wiedzieć, co mamy na talerzu, czy boleśnie się krzywimy, kiedy ziemniaki są za gorące. Jak wygląda upadek fryzury po nocy na materacu i czy jesteśmy śmieszni, kiedy mamy zaspane oczy.

Spędzamy teraz więcej czasu w domach. Niektórzy przeszli na zdalną albo hybrydową pracę. Inni przebywają na kwarantannie, w izolacji, albo unikają chodzenia po mieście, albo chorują. W bloku naprzeciwko widzę ich codziennie. Oni widzą mnie. Niektórzy pozdrawiają mnie na ulicy. Inni odwracają oczy, jakby wstydziło się naszych wzajemnych obserwacji. A mnie przypomina się „Lokator” Polańskiego, „Okno na podwórzu” Hitchcocka, „Krótki film o miłości” Krzysztofa Kieślowskiego, a nawet kultowy „Peeping Tom” („Podglądacz”). W końcu kino jest podglądaniem – w pewnym stopniu. Uda się podglądanie, prawda?

Na podglądaniu zawsze robiło się pieniądze: od starego dobrego peep-show, w którym patrzący pozostawał

niewidzialny/anonimowy, po „Big Brothera”, telewizyjny show z końca lat 90., który na początku następnej dekady zelektryzował publiczność całego naszego kraju. Jego bohaterowie stali się celebrytami, a zwierzenia w specjalnym pokoju i akcje w sypialniach obserwowały miliony Polaków. Wkrótce do programu, do którego licencje kupiły kraje na całym świecie, dołączyły programy siostry, czyli wszelkiego rodzaju „domy”, „raje” czy „wyspy”, w których widzowie nie czekają już na seksualny finał, który wydarzy się być może w końcowym odcinku, kiedy bohaterowie przyzwyczajają się do kamer – na seks często można liczyć już na początku.

Francuski *flaneur*, który włóczy się po ulicach, żeby snuć rozważania o współczesnym mieście, też jest podglądaczem. Bohater „Pasaży” Waltera Benjamina bez przerwy podgląda, zapuszcza żurawia między stoiska z tkaninami, na tyły sklepików, gdzie panie przykładają jedwabie do twarzy, zerkają w lusterka, poprawiają szminkę. Jeden z najsłynniejszych tekstów współczesnej kultury jest zatem zbiorem zapisków podglądacza.

Ludzie przy sztucznym świetle spędzają kilka godzin: jedzą, oglądają telewizję, sprzątaj. I coraz częściej nie zasłaniają okien.

Pisarze sci-fi projektowali opresyjne światy i ponure dystopie, w których członkowie społeczeństwa byli inwigilowani i obserwowani (wszyscy znają choćby „Rok 1984” Orwella). W „Procesie” Kafki oskarżony Józef K. także jest obserwowany, nawet podczas egzekucji. Zapośredniczone przez cudzy wzrok doświadczenia stają się jakby mniej nasze. Z drugiej strony – przez ową podwójność zwiększa się ich intensywność.

Jeszcze kilka lat temu Polacy zasłaniaли się już o zmierzchu. Zapalenie światła w kuchni oznaczało opuszczenie rolet, zasłonięcie żaluzji albo zasłon. Ale teraz zapanowała jakaś dziwna solidarność patrzących z obserwowanymi. Jakbyśmy chcieli wspólnie spostonować Dulską. Albo móc do siebie w razie czego pomachać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

eprasa.pl 0d919da299

**BĄDŹMY
W KONTAKCIE!**





URATOWAĆ ORANGUTANY

Istanbul Photo Awards, Alain Schroeder, Belgia, III miejsce w kategorii reportaż

Orangutany sumatrzańskie są wypierane z naturalnych siedlisk w lasach deszczowych. Zwierzętom zagrażają powiększające się plantacje palm olejowych i roślin kauczukowych, wyręby, budowa dróg, górnictwo i polowania. Pozostało już tylko 14 tys. osobników. Organizacje ratują zagubione, ranne lub uwięzione orangutany, by ponownie wprowadzić je do środowiska i stworzyć populację zdolną do przetrwania w chronionych lasach.

1. Cały zespół Sumatran Orangutan Conservation Program pracuje nad przygotowaniem do operacji odebranej wieśniakowi trzymiesięcznej Brendy.
2. Yenny, weterynarz SOCP, obok zdjęcia rentgenowskiego małej Brendy, na którym widać złamaną kość ramieniową.
3. Po operacji obojczyka Hope zostaje umieszczona na łóżku w niskiej klatce, aby ograniczyć jej ruchy. Została uratowana całkowicie ślepa, w ciele miała 74 kule z wiatrówek.
4. Matki zastępcze w drodze do leśnej szkoły. Nauka wspinięcia się na drzewa to pierwszy krok w programie socjalizacji i rehabilitacji.





3

5. Ośmioletnia Diana zostanie wypuszczona na wolność w Parku Narodowym Jantho.
6. 20-letnią Ashę, uśpioną i przewiezoną na tacze z wybiegu, czeka badanie lekarskie.
7. Nazarudin rano wyjmuję Kamałę z klatki i kładzie pod drzewem, na które łatwo się wdra- pać, a potem przez cały dzień monitoruje jej zachowanie.



6



7

Simon King, Clare Nasir

Prognozy z internetu

Technika a kontrola pogody

W coraz dynamiczniej rozwijającej się epoce cyfrowej wszyscy coraz bardziej polegamy na smartfonach i różnych programach, które przekazują nam potrzebne informacje za pośrednictwem internetu. Obecnie o wiele łatwiej uzyskać dostęp do prognozy pogody niż w latach 90., kiedy musieliśmy czekać, aż podadzą ją w telewizji, radiu lub gazecie. Teraz przez 24 godziny na dobę możemy oglądać wiadomości, które cały dzień informują o aktualnym stanie pogody, a z aplikacji w smartfonach dowiadujemy się, jakie warunki atmosferyczne panują w dowolnym miejscu na świecie.

Dlatego zatem tak często narzekamy, że w aplikacjach pogodowych lub na stronach internetowych pogoda pozornie zmienia się z godziny na godzinę czy z dnia na dzień? By wyczerpująco odpowiedzieć na to pytanie, musimy zrozumieć, jak się tworzy prognozę pogody. Zanim będziemy mogli przewidzieć pogodę w przyszłości, musimy najpierw dobrze poznać warunki pogodowe panujące na świecie w danym momencie. Możemy tego dokonać,

równania matematyczne i kody komputerowe, których używają, by określić, jak zachowa się powietrze i jak będzie kształtować pogodę na świecie. Nazywamy to numerycznym prognozowaniem pogody. Wykorzystuje się w nim złożone metody rozwiązywania równań różniczkowych i komputery o ogromnej mocy obliczeniowej. Każde duże centrum meteorologiczne ma swoje superkomputery zdolne przetworzyć miliony danych obserwacyjnych w prognozę pogody, dokonując bilionów obliczeń na sekundę. Rezultatem jest prognozowanie pogody na najbliższe godziny lub dni.

Meteorolodzy wykorzystują również inne narzędzia służące prognozowaniu pogody, np. modele deterministyczne oraz takie, dzięki którym zyskujemy 50 różnych przewidywań pogodowych. Do zestawu takich modeli wprowadza się małe odchylenia początkowe i obserwuje, jaki mają

dni do przodu, inne prognozują pogodę codziennie nawet na 20 dni. Jeszcze inne podają tylko niektóre składniki pogody albo prezentują cały zakres danych meteorologicznych. Dzięki niektórym aplikacjom można poznać prawdopodobieństwo wystąpienia opadów, a inne tego nie pokażą. Jedne zwiastują pogodę na podstawie danych zebranych przez ludzi, a inne używają danych komputerowych.

Różne aplikacje pogodowe pokazują nieco odmienne prognozy nawet na najbliższe 12 godzin i czasem można odnieść wrażenie, że te przewidywania zmieniają się co godzina. Dzieje się tak dlatego, że stosowane w nich algorytmy korzystają ze zmieniających się również co godzina danych obserwacyjnych, uśredniając „uśrednić pogodę”, którą widzimy za oknem, i uwzględnić to, że jest bardziej słoneczna, wilgotna albo sucha, niż sugeruje to model komputerowy. Wpływa to na przewidywania prognozy na kolejne sześć do dwunastu godzin, przy czym w aplikacji zmieniają się symbole pogodowe w związku z uaktualniającym się algorytmem. W Wielkiej Brytanii modele pogodowe zmieniają się co sześć godzin, więc łatwo zauważyć większe zmiany, zwłaszcza jeśli prognoza dotyczy okresu od dwóch do pięciu dni, kiedy to niewielkie różnice początkowego modelu pogody zmieniają się z upływem czasu w dużo większe.

Czy możemy kontrolować opady deszczu i czym jest zasiewanie chmur?

Przez wieki ludzie próbowali w różny sposób kontrolować pogodę. Usiłowali powstrzymać huragany, rozpraszać mgłę na lotniskach, zwiększać ilość śniegu w ośrodkach narciarskich czy też wywoływać deszcz, który mógłby zapobiec suszy na obszarach rolniczych. Manipulowanie pogodą nie jest łatwe i do tej pory nie okazało się skuteczną metodą zapobiegania stratom gospodarczym. Jednakże wywoływanie deszczu jest

Czterodniowa prognoza pogody w Wielkiej Brytanii jest obecnie równie dokładna jak jednodniowa w latach 80.

mierząc temperaturę przy gruncie, wiatr, ciśnienie, wilgotność i pokrywę chmur. Meteorolodzy wypuszczają w powietrze balony, które zbierają dane od powierzchni Ziemi aż po górne partie atmosfery. Samoloty, boje oceaniczne, statki i sondy kosmiczne również przekazują ogromne ilości danych meteorologicznych. Każdego dnia na całym świecie zbiera się miliony bitów informacji i przesyła je do ośrodków prognozowania pogody na całym świecie, takich jak Met Office w Wielkiej Brytanii, Europejskie Centrum Prognoz Średnioterminowych (European Centre for Medium Range Weather Forecast), japońska agencja meteorologiczna Kishō-chō czy Narodowa Służba Pogodowa (National Weather Service) w Stanach Zjednoczonych – to tylko kilka z nich. Aby wszystkie dane wynikające z obserwacji można było zamienić w prognozę pogody, naukowcy opracowali

one wpływ na symulację pogody w nadchodzących dniach. To bardzo przydatne narzędzie, które daje nam pojęcie co do prawdopodobieństwa prognozy. Jeśli 50 przewidywań przyszłych zjawisk pogodowych jest do siebie podobnych, możemy być pewni, że prognoza się sprawdzi. Im więcej różnic, tym bardziej możemy być pewni, że będzie niedokładna.

Prognozowanie pogody jest bardzo skomplikowane i choć korzysta z nauk ścisłych, to do nich nie należy, lecz dzięki coraz lepszej technice i wiedzy w ciągu trzech ostatnich dekad czterodniowa prognoza pogody w Wielkiej Brytanii jest równie dokładna jak jednodniowa w latach 80. ubiegłego wieku. Obecnie mamy do dyspozycji mnóstwo aplikacji pogodowych czerpiących dane z różnych źródeł – każda ma własny algorytm interpretujący dane. Niektóre aplikacje pokazują dane co godzina na pięć



Przed rozpoczęciem olimpiady w Pekinie w 2008 r. wystrzeliano w chmury jodek srebra, żeby zapewnić dobrą pogodę.

postrzegane jako modyfikacja pogody warta wszelkich nakładów. (...)

Techniki zasiewania chmur w ostatniej dekadzie bardzo się rozwinęły i stały bardzo dochodowe. Trudno dokładnie przewidzieć, ile dodatkowego deszczu spadnie w wyniku zasiewu chmury, ale szacuje się, że ok. 15-35% więcej. Ostatnio coraz skuteczniejsze staje się wywoływanie deszczu na określonym terenie, ale zdarza się również, że zasiewa się chmury, by zapobiec opadom. Zdarzyło się tak w 2008 r. podczas ceremonii otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, ponieważ organizatorzy chcieli, żeby panowała wówczas piękna pogoda. Przed igrzyskami meteorolodzy z Biura Modyfikacji Pogody z Chińskiej Administracji Meteorologicznej zostali poproszeni o wywołanie deszczu nad stadionem zwanym Ptasim Gniazdem. Aby zmienić pogodę, naukowcy wystrzelili 21 pocisków rakietowych zawierających jodek srebra, który wywołał opady w mieście Baoding na południowym zachodzie od Pekinu, zanim chmury zdołały dotrzeć do stolicy. W wieczór otwarcia igrzysk było słonecznie i sucho.

Najpopularniejszą metodą zasiewania jest uwalnianie odpowiedniej substancji z samolotu bezpośrednio do chmury. Gdy naukowcy zidentyfikują właściwy typ chmury (cumulusa), w dniu, w którym chcą wywołać opady, samoloty wlatują w nią

i odpalają flary rozpylające substancję, która inicjuje opady deszczu.

Jak często stosuje się zasiewanie chmur w skali globalnej?

Wspomnieliśmy już o Chinach, które prowadzą największe na świecie programy modyfikacji pogody. Tak jak w wypadku Igrzysk Olimpijskich w 2008 r. chińscy meteorolodzy ingerują w pogodę, by zapobiec burzom gradowym niszczącym plony, i wywołują deszcz, by przeciwdziałać skutkom burz piaskowych. Do tej pory ich największym takim przedsięwzięciem jest łagodzenie corocznych susz na Wyżynie Tybetańskiej. Wymaga to dziesiątek tysięcy komór, w których spala się paliwo stałe potrzebne do produkcji jodku srebra. Potem jodek srebra rozpylany jest na dużych wysokościach w nadziei, że dojdzie do zasiewu chmury i opadów deszczu. Celem chińskich naukowców jest wywoływanie opadów na obszarze trzy razy większym od Hiszpanii i zasilanie go 10 mld m sześć. wody rocznie.

Ponad 50 krajów na świecie jest w jakiś sposób zaangażowanych w zasiewanie chmur – największymi potęgami są Chiny, Stany Zjednoczone i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Niedobór wody jest wielkim problemem w krajach Zatoki Perskiej, gdzie brakuje wody potrzebnej do

zaspokajania potrzeb powiększającej się populacji i łagodzenia konsekwencji zmian klimatycznych. Zjednoczone Emiraty Arabskie zasiewają chmury, gdy panują odpowiednie warunki do wywołania większych opadów deszczu. Z szacunkowych danych Narodowego Centrum Meteorologii Zjednoczonych Emiratów Arabskich wynika, że każda operacja zasiewania chmury kosztuje 5 tys. dol., a dodatkowe 30% wody powstającej w wyniku tego zasiewu jest warte 300 tys. dol. (...)

Czy możemy zmienić trasę huraganu?

Chociaż ciągle słyszymy, że ludzie próbują modyfikować pogodę, by zdobyć przewagę militarną, to jednak większość doświadczeń związanych z takimi modyfikacjami służy poprawie warunków pogodowych w skali lokalnej. Idea ochrony życia i własności przed działaniem najbardziej niszczycielskich żywiołów nie wydaje się zatem specjalnie szalona, lecz od razu pojawia się pytanie, czy faktycznie jest to możliwe. (...)

Powstrzymanie huraganu czy zmiana jego kierunku to nie lada wyczyn. Ilość energii w nim nagromadzona jest bowiem gigantyczna. Gdybyśmy obliczyli, ile energii wytwarza sam wiatr, okazałoby się, że wynosi ona połowę rocznej produkcji energii na świecie. Energia, którą uwalnia wiatr, tworząc chmury, jest 200 razy większa niż roczne światowe zużycie energii elektrycznej, a ciepło, które powstaje wewnątrz huraganu, to równowartość bomby atomowej o mocy 10 megaton wybuchającej co 20 minut. To niemal 700 razy więcej niż moc bomby atomowej zrzuconej w 1945 r. na Hiroszimę. A teraz wyobraźmy sobie, ile energii byłoby potrzebne do pokonania siły huraganu kategorii 4 lub 5 – takiego jak Katrina lub Irma. (...)

Prognoza dotycząca zimy nuklearnej

Jedna z najbardziej spektakularnych symulacji komputerowych scenariusza zimy nuklearnej została opracowana przez zespół amerykańskich naukowców, którzy przeanalizowali konsekwencje wojny atomowej między Indiami a Pakistanem. W latach 80. każdy z tych krajów

► posiadał ok. 50 głowic atomowych (podobnych do bomby, która spadła na Hiroszimę). Model przedstawiał analizę ilości dymu, który zostałby wyemitowany do atmosfery w razie totalnego konfliktu. Przewidywali, że do atmosfery dostanie się 5 mln ton dymu, który stopniowo obejmie całą planetę. Temperatura spadałaby w różnych rejonach świata w różnym tempie, lecz w krajach śródlądowych z pewnością spadałaby poniżej zera. Wszędzie byłoby o wiele ciemniej, a z braku warstwy ozonowej ilość promieni UV docierających do powierzchni Ziemi byłaby o wiele większa. Ucierpiałby rośliny, zwierzęta i wszystkie ekosystemy. Wielu ludzi zaczęło zwracać uwagę na globalne konsekwencje wojny nuklearnej i zdawać sobie sprawę, że dla kraju, który taką wojnę by rozpętał, byłoby to niemal samobójstwo, nie mówiąc o całkowitym unicestwieniu celu.

Ale skąd mamy wiedzieć, że taki model sprawdziłby się w rzeczywistości? W kwietniu 1815 r. wybuchł wulkan Mount Tambora w Indonezji i była to najpotężniejsza erupcja zarejestrowana w historii. Chociaż szacunki się różnią, ocenia się, że liczba ofiar śmiertelnych wyniosła ok. 70 tys. Do atmosfery przedostała się ogromna ilość popiołu wulkanicznego, która krążyła wokół Ziemi, wywołując znaczne zmiany klimatu. W kolejnym roku globalna temperatura spadła o 0,4-0,7 st. C i chociaż ten spadek nie wydaje się zbyt duży, to miał

temperatury, a nawet jej obniżenia. Do niektórych z najbardziej szalonych propozycji należy odsunięcie Ziemi od Słońca i umieszczenie w przestrzeni kosmicznej wielkich lustro, które odbijałyby promieniowanie słoneczne – to pomysły rodem z książek *science fiction*. Niemniej u podstaw tych konceptów leżą czasem całkiem sensowne założenia. Chmury w atmosferze są naturalnymi powierzchniami odbijającymi promieniowanie słoneczne docierające do Ziemi. Im jaśniejsze są chmury, tym więcej odbijają światła, zatem obniżają temperaturę na naszej planecie. Jeden z projektów zakłada

Techniki zasiewania chmur w ostatniej dekadzie bardzo się rozwinęły i stały dochodowe.

rozpylanie w chmurach delikatnej mgiełki wody morskiej. Najlepiej by się to sprawdziło na obszarach polarnych, ponieważ zmniejszyłaby się temperatura na biegunach i wzrósłby poziom morza. Takie przedsięwzięcie nie wymagałoby toksycznych chemikaliów i byłoby względnie niedrogie. Trzeba się jednak liczyć z tym, że poważnie zakłóciłoby to miejscowe wzorce pogodowe i doprowadziło do zmniejszenia opadów w innych rejonach. Oczywiście jest to bardzo kontrowersyjny przykład modyfikacji pogody, trzeba więc jeszcze wiele badań, byśmy się mogli przekonać, czy ta metoda ma więcej zalet niż wad.

Pojawia się zatem pytanie: czy moglibyśmy wynosić do stratosfery „wulkaniczne” cząsteczki i osiągnąć ten sam efekt, czyli obniżyć temperaturę na naszej planecie? Teoretycznie jest to możliwe. Owym „wulkanicznym” czynnikiem mógłby być dwutlenek siarki, za sprawą którego w stratosferze tworzyłyby się aerozole, które odbijałyby światło słoneczne w przestrzeń kosmiczną. No i przede wszystkim obniżyłoby to globalną temperaturę. Ale czy wysyłanie jednych gazów cieplarnianych w atmosferę zrównoważyłoby działanie innych? Przecież nie wiemy, jakie byłyby uboczne skutki takich działań.

Zdarza się, że zasiewa się chmury, by zapobiec opadom.

ogromny wpływ na klimat, w związku z czym rok 1816 został nazwany „rokiem bez lata”. Efektem była klęska nieurodzaju, która oznaczała głód na półkuli północnej. Rok bez lata był skutkiem naturalnej katastrofy, a konkretnie ogromnych ilości dymu, popiołu i dwutlenku siarki, które zostały wyrzucone do atmosfery i ograniczyły promieniowanie słoneczne oraz obniżyły globalną temperaturę. Ta sama zasada obowiązuje w wypadku zimy nuklearnej. (...)

Czy modyfikacja klimatu mogłaby ocalić planetę?

Mamy różne możliwości powstrzymania globalnego wzrostu

Innym pomysłem dotyczącym obniżenia temperatury globalnej jest naśladowanie tego, co dzieje się naturalnie, gdy dochodzi do wybuchu wulkanu. W dziejach Ziemi wiele razy ogromne erupcje chwilowo zmniejszały temperaturę globalną. W 1991 r. wulkan Pinatubo na Filipinach wyrzucił aż do stratosfery wielkie ilości pyłu, popiołu i różnych cząsteczek, co spowodowało obniżenie temperatury na świecie o 0,5 st. C w kolejnych dwóch latach. Być może to niewiele, ale gdy mówimy o globalnej zmianie temperatury, to obecny wzrost o 1,5 st. C w stosunku do czasów sprzed epoki przemysłowej jest tak duży, że spadek o 0,5 st. C wydaje się znaczący.

Być może najsensowniejszą metodą modyfikacji pogody mogłoby być coraz popularniejsze wśród inżynierów wychwytywanie dwutlenku węgla. Nie jest to nowa metoda – w zakładach przemysłowych wykorzystujemy już szereg różnych technik wychwytu tego gazu cieplarnianego, zanim dostanie się on do atmosfery. Dwutlenek węgla jest wówczas magazynowany w ziemi lub wykorzystywany do innych celów. To jednak za mało, bo wprawdzie dzięki temu emitujemy go mniej, ale z atmosfery go nie ubywa. To jedynie opóźnia i tak nieunikniony wzrost temperatury globalnej. Potrzebujemy zatem energii, która nie byłaby oparta na spalaniu węgla, co zapoczątkuje redukcję ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Wkrótce może się to stać rzeczywistością przez wprowadzenie nowoczesnych technik, dzięki którym – mówiąc w uproszczeniu – wielkie wentylatory będą zasysały powietrze, oczyszczały je z dwutlenku węgla i wypuszczały do atmosfery. Takie urządzenia wprawdzie już działają, ale by poważnie zredukować ilość CO₂ w atmosferze, musimy wprowadzić je na wielką skalę. (...)

Fragmenty książki
Simona Kinga i Clare Nasir
Jak pachnie deszcz?
Przekład Magdalena
Hermanowska,
Rebis, Poznań 2020



Zbigniew Rau cieszy się, że ma sukces, bo odbyło się (po czterech latach przerwy) spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw Trójkąta Weimarskiego. Reaktywacja? Zobaczymy. Bo śledząc pisowskie media i działania polityków obozu władzy, można odnieść wrażenie, że Polska w innym kierunku zmierza.

Wystarczy rzucić okiem na okładki pisowskich mediów – tam pokazywana jest walka świata z Polską. Że „oni” chcą „złamać Polaków” albo przekształcić Polskę w kolonię i dyktować jej swoje warunki. A PiS na to się nie zgadza.

To gromkie „nie” chyba najwyraźniej artykułuje Patryk Jaki, który w Parlamencie Europejskim takie właśnie prowadzi potyczki. Jak to wygląda? Kilkanaście dni temu miała miejsce w PE debata na temat powiązania unijnego budżetu z praworządnością. I co wtedy mówił Jaki? „Atakujecie Polskę w bezczelny sposób – wołał do europosłów. – Wypominacie nam jakieś totalitaryzmy. Chcę wam powiedzieć, dlaczego macie przewagę ekonomiczną, która wam pozwala na taką arogancję wobec Polski. Kiedy Polska była atakowana przez Niemców i Sowietów, to wasze państwa stały i patrzyły, jak Polska honorowo broniła wartości. A potem za to, że Polska broniła wartości, oddaliście ją Sowietom i patrzyliście, jak przez dekady nie mogła się rozwijać. Oddajcie nam te lata, które Polska straciła, to wtedy nikt sobie nie pozwoli na taką arogancję”.

Wyjaśnił więc, dlaczego Polska jest biedniejsza od państw zachodnich i jakie z tego tytułu powinności wobec Polski ma Zachód. Że nam się należy. I dopowiedział: „Od Polaków moglibyście się jeszcze wiele nauczyć. Szczególnie jeśli chodzi o wartości i tolerancję. Dzisiaj Polska wam przeszkadza, bo dużo lepiej sobie radzi od was. Szczegól-

nie spójrzcie na Hiszpanię, gdzie prawie co drugi człowiek nie ma pracy. Was to uwiera, dlatego Polskę atakujecie”. Tak oto polska prawica besztła Zachód, bo ten śmiał zapytać o praworządność.

Jedni besztają, a drudzy jednak się przymilają. Na przykład trwają zakulisowe działania, żeby wepchnąć Jadwigę Emilewicz do Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Dla Morawieckiego i Kaczyńskiego porzuciła Gowina – trzeba jej to wynagrodzić.

Zresztą nie tylko ona marzy o EBOR. Na prezesurę tam miał chrapkę obecny minister finansów Tadeusz Kościński. Choć na ostatniej prostej miał tylko jedną konkurentkę – Odile Renaud-Basso, dyrektor generalną we francuskim Ministerstwie Gospodarki i Finansów – musiał obejść się smakiem.

Są i mniejsze strzały. Dziennikarze regularnie podliczają, ile dzieci polityków PiS pełni różne funkcje w Parlamencie Europejskim, najczęściej na stanowiskach asystentów. Jest tego spora gromadka.

Oni zresztą tak Europę widzą – jako synekurę. Nie tak dawno pisaliśmy, że Polska nie zgłosiła żadnego kandydata do Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, czyli unijnego MSZ. Dlaczego? Minister Rau nie chciał popierać tych dyplomatów, którzy się zgłosili, gdyż uznał, że pochodzą z niewłaściwego „rozdania”. Bo takie posady można oferować tylko swoim.

Nie bójmy się więc tych okrzyków Jakiego i Kaczyńskiego, bo oni z Unii nas nie wyprowadzą. Tylko by spróbowali! Zaraz odezwaliby się ojcowie i matki asystentów i asystentek, różni działacze biorący pensję w euro. Tak wygląda ich „patriotyzm”.

Attaché

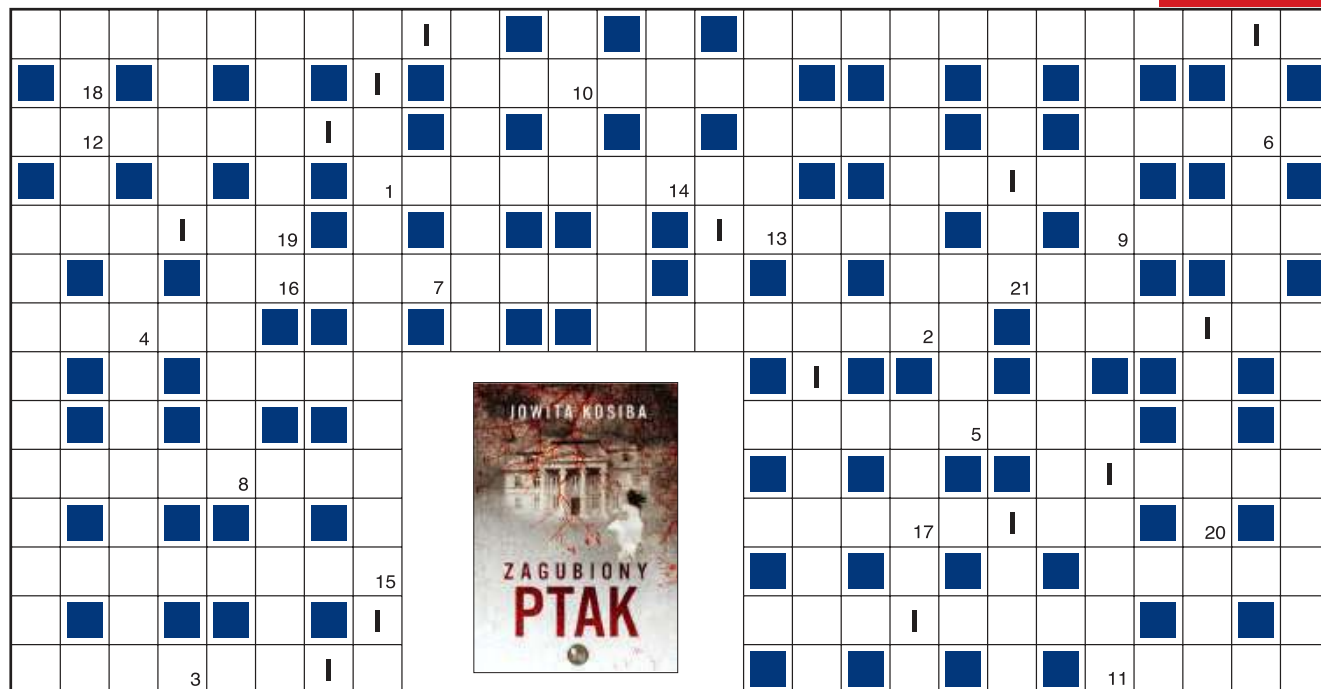


Cenzura ma się dobrze. W Rzeszowie w pośpiechu odwołano wystawę „Tu i teraz” Chrisa Niedenthala, bo tematyka zdjęć okazała się niewygodna.

Rzeszów, 13.10.2020

Informujemy, że z powodu zawartych treści politycznych wystawa Chrisa Niedenthala nie może zostać pokazana w Galerii Miejskiej Zespołu Szkół Plastycznych w Rzeszowie.

WICEDYREKTOR
mgr Joanna Gieszczyk



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery I ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- Ac w tablicy Mendelejewa
- autor „Dzielnego ołowianego żołnierza”
- zajmował się nią Claude Lévi-Strauss
- ...przymierza – wieść gminna u Mickiewicza
- podróż okazją
- ...Zielonego Przylądka – część Atlantydy

- rodzaj restauracji, baru we Francji
- ważność, epokowość
- nadzorował pracujących w polu
- zrządzenie, utyskiwanie
- samiec gulgoczący na podwórzu
- oszklona skrzynia do uprawy roślin

- Pamięci Narodowej lub Adama Mickiewicza
- Gmin, Lordów albo Deputowanych
- duży, kilkunamienny świecznik
- wypadek z udziałem wielu pojazdów
- i wysoka kultura osobista, i jakoś
- wagonik wywrotka
- urządzenie dla miłośnika gier komputerowych
- osoba odnajmująca mieszkanie
- ...z Bogdańca, stryj Zbyszka
- las ledwie kilkunastoletni
- z nim – energicznie
- ...społeczne – może doprowadzić do demonstracji

- wodne przydomowe jest teraz dofinansowywane
- kroczone, chwytny, pływne stawonogów
- zespół ośmiu muzyków
- w Księdze Przysłów nie wzbogaci się, kto lubi ją i wino
- geostacjonarna dla satelity
- pisklę zysa
- oktagon zbudowany na jego planie
- badawczy lub wypoczynkowy
- kurza jest krótka
- używa Pierścienia Rybaka
- i kot, i dywan
- Robert Kupisz albo Maciej Zień
- niejedna w portfelu, szaszetce
- rolna lub szkolnictwa
- ojciec albo matka

- najmniejsza z czterech głównych wysp Japonii
- rzekł: „Wiem, że nic nie wiem”
- chorągiew z wyhaftowanym godłem
- na nich przegląd eksponatów z różnych dziedzin produkcji
- przeciwieństwo zdobywania
- przypadek, zbieg okoliczności
- Jerzy, grał Jarząbka w „Misiu”
- pieczone... kurczaka
- wydzielona część tekstu
- internauta – ...sieci
- wyłożenie pierwszej karty w grze
- na czele kilkusobowej grupy harcerzy
- czy władzy, czy pieniądza – zaślepią umysł

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-984”. Do rozlosowania książki „Zagubiony ptak” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 listopada 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-981” z nr. 41: *Przyroda nie lubi kłamstwa.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Łukasz Szurlej z Warszawy, Janina Zdułeczny z Krakowa.

PENETRACJE



HANNA KRALL,
REPORTERKA

Ludzie chcą być zapamiętani. Istnieje potrzeba pamiętania, ale istnieje też bardzo głęboka potrzeba bycia zapamiętanym. Cafe Archiwum Ringelbluma wzięło się przecież z tej potrzeby. Ludzie, powierzając mi swoje historie, dają sobie tę szansę bycia zapamiętanym. Nie wiedzą, co ich czeka – że praca z takim reporterem to męka. Cudza pamięć zastępuje mi moją własną. A ta moja własna to już nie jest pamięć, tylko niewiedza. Bardzo niewiele wiem o mojej rodzinie. O moich babciach na przykład, wobec tego bardzo lubię opowiadać o babciach cudzych.



MAHMOUD KHALIFA,
AMBASADOR
PALESTYNY

Od kiedy Netanjahu sprawuje władzę, wszelkie negocjacje są zawieszone, za to rozwija się nielegalne osadnictwo izraelskie (przeciw któremu opowiadają się ONZ i UE), a polityka okupacyjna jest brutalna i nie ma absolutnie żadnego poszanowania dla praw człowieka, co może w niedługim czasie doprowadzić do powstania państwa apartheidu. Władza tworzy fakty dokonane, przez co uniemożliwia ponowne rozpoczęcie dialogu. Premiera Netanjahu dobrze znamy i jesteśmy przekonani, że nadal będzie prowadził swój monolog o gotowości do rozmów pokojowych, ale w to już nie wierzymy.



MACIEJ SAMCIK,
REDAKTOR NACZELNY
SERWISU SUBIEKTYWNE
O FINANSACH

Banki będą starały się znaleźć sposób, by jak najwięcej zarabiać na kredytach. Z ustawy antylichwiarskiej wynika, że dziś najdroższy kredyt może być oprocentowany na trochę ponad 7% w skali roku. W przypadku niezabezpieczonych kredytów pożyczanie przy takim oprocentowaniu to działalność na progu rentowności. Dlatego banki będą dorzucały klientom rozmaite prowizje, opłaty i ubezpieczenia. Konsumenci nie pójdą ze swoimi pytaniami do banków, nie pójdą do doradców finansowych, którzy już dawno się skompromitowali. Przede wszystkim będą szukać obiektywnych i rzetelnych informacji u nas, czyli w mediach.



**ZYGMUNT „MUNIEK”
STASZCZYK, WOKALISTA,
AUTOR TEKSTÓW**

Nie tykam twardych narkotyków od 22 lat. Wtedy był taki klimat w Polsce, komunizm upadł i nadrabialiśmy lata 60. Takie płyty jak „Prymityw”, „Al Capone” powstały w czasach hedonizmu. Pamiętam, że pojechałem na obiad do Częstochowy. Mama robi rosół, a ja w toalecie chciałem zrobić „dmuch”, i nagle dotarło do mnie: co ja robię w toalecie, gdzie jako mały Zygmunt w tej wannie śpiewałem piosenki, albo bardziej udawałem, że śpiewam? U rodziców w domu? Spojrzałem w lustro i mówię: „Co ty odpier... za cyrk?”

Aby język giętki...

ADAM FERENCY O CZYTANIU POEZJI

Niestety, w Polsce robi to może z 700 osób.

ZYGMUNT KONIECZNY

O PIOTRZE SKRZYNECKIM

To, że kabaret w Piwnicy trwał 40 lat, było możliwe dzięki jego charyzmie i intrygom, w których sam brałem udział. Bo w Krakowie sporo załatwia się dzięki intrygom.

JERZY SOSNOWSKI O POGLĄDACH

Im jestem starszy, tym silniej uważam, że w kontaktach słownych z blizinami należy być raczej skutecznym niż bezkompromisowo szczerym.

AGNIESZKA HOLLAND

O BOHATERACH SWOICH FILMÓW

Losy ludzi, których pokazuję, są zawsze przefiltrowane przez moją emocjonalność. Mną też rządzą sprzeczności, pokusy.

KRZYSZTOF VARGA

O WIESŁAWIE MYŚLIWSKIM

Odchodzi z tego świata, zatem fetowany jest kolejnymi nagrodami, bo jak tu nie nagradzać kogoś, kto właśnie wydał ostatnią w życiu książkę i zabiera się do ostatecznego odejścia.

MAŁGORZATA SOCHA O TEŚCIOWYCH

Jestem przekonana, że będę okropną teściową, jak z kawałów. Bo mój syn Staś jest królewiczem, na którego nie zasługuje żadna kobieta.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA O SZPAGACIE

Robię go od dziecka, więc nie jest żadnym wyczynem, nawet w moim wieku.

JANINA OCHOJSKA

O BYŁYM MĘŻU MICHALE OKOŃSKIM

Zdrada zawsze jest bolesnym doświadczeniem. Szczególnie gdy okazuje się, że trwała długo. To był najbliższy mi człowiek, ufałam mu.

BORYS SZYC O DOJRZEWANIU

Kryzys męskości polega na długim dojrzwaniu, jak sery pleśniowe. To wkurza kobiety, które wcześniej dojrzewają i są odpowiedzialne.

BEATA ŚCIBAKÓWNA O PORĄDKACH

Nie rozpamiętuję. Uważam, że niczemu to nie służy ani niczego nie zmienia.



Podróż za jeden uśmiech i gęganie. Autostrada prowadząca do miasta Gandza w Azerbejdżanie.

FOT. UMIT BEKTAS/REUTERS/FORUM

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Prawdziwa cnota hakerów się nie boi?

Elektroniczne męskie pasy cnoty, opracowane przez chińską firmę Qiui, okazały się podatne na ataki hakerów. Ideą twórców gadżetu było, aby mógł zostać odblokowany, za pośrednictwem aplikacji mobilnej, jedynie przez uprawnionego partnera lub partnerkę. Tymczasem, jak dowiedli specjaliści od bezpieczeństwa z Pen Test Partners, istnieje możliwość przejęcia kontroli nad urządzeniem przez osoby trzecie i zablokowania go na dobre – nieszczęsnej parze pozostanie wówczas użycie szlifierki kątovej. Producent zaledwie częściowo rozwiązał problem, gdyż tylko posiadacze zaktualizowanej wersji aplikacji mogą już spać spokojnie. Choćby z tego powodu podobnym wynalazkom mówimy: pas!

Nagroda, co kasy nie doda

Po raz 30. przyznano Ig Noble, czyli nagrody za badania naukowe, które „najpierw rozbawiają, a potem skłaniają do myślenia”. Tym razem uhonorowano m.in. zespół, który przyjrzał się zależnościom między nierównościami dochodowymi a częstotliwością pocałunków w usta, autorów metody identyfikacji narcyzów na podstawie analizy brwi, a także naukowców, którzy wykazali, że noże z zamrożonych ludzkich odchodów mają mierne walory użytkowe. Radości laureatów nie zmałował nawet fakt, że choć wzbogacili zbiorową wiedzę ludzkości, otrzymane przez nich banknoty o nominale 10 mln dol. zimbabweńskich mają jedynie wartość pamiątkową.



Ostatnie kule ratunku

Amerykański zespół rockowy The Flaming Lips twórczo podszedł do koronakryzysu w branży rozrywkowej. Podczas koncertu w Oklahoma City zarówno muzycy, jak i fani bawiący się pod sceną znajdowali się wewnątrz dmuchanych plastikowych baniek, w pełni izolowani od potencjalnych kaszlących. Ansambl wierzy, że jego pomysł może uratować niejedną imprezę masową, jednak już pojawiły się głosy sceptyków. Wskazują oni, że dezynfekcja osłon, względnie ich jednorazowość, znacząco zwiększyłaby koszty organizacji wydarzeń. Jeśli dodamy do tego nakłady na niezbędną logistykę, może się uzbierać ładnych parę baniek...

Jacek, nie darują ci tej kwoty

À propos okazałych sum: w mediach społeczno-wych trwa kampania wypominania Jackowi Sasinowi 70 mln zł zmarnowanych na wybory, które się nie odbyły. Poręcznym narzędziem dla internetowych pamiętliwców może się okazać Sasinator, dostępny pod łatwym do zapamiętania adresem 70000000.pl. Za jego pomocą można przeliczać dowolne wartości liczbowe na uniwersalną jednostkę, jaką jest sasin, oznaczający rzecz jasna siódmkę z siedmioma zerami. Zapewne nie wiedzieliście, że zarobki Roberta Lewandowskiego wynoszą ok. 1,3 sasina rocznie? No to już wiecie.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Aż strach się bać, jakie pyszności dostały zwierzęta z Wild Place Project w Bristolu.

Daj, ać ja zanucę, a ty poszukaj

Mobilna wersja wyszukiwarki Google zyskała nową funkcję, wprost wymarzoną dla zapominalskich melomanów. Umożliwia ona wyszukiwanie piosenek za pomocą śpiewania, a nawet nucięcia lub gwizdania. Jeśli nie pamiętamy wykonawcy, tytułu ani tekstu utworu, który od rana chodzi nam po głowie, wystarczy, że spróbujemy odtworzyć jego melodię, a Google postara się dopasować ją do znanych sobie szlagierów. Uwaga: wyszukiwanie poprzez nucięcie pod prysznicem działa jedynie w przypadku wodoodpornych modeli telefonów i tabletów!

Nadchodzi psia ARmia

Pentagon rozwija program, który ma na celu zwiększenie efektywności współpracy psów i żołnierzy. Wybrane czworonogi zostały wyposażone w specjalne gogle wykorzystujące technologię AR, czyli tzw. rozszerzoną rzeczywistość. Wynalazek firmy Command Sight ma wyeliminować problem polegający na tym, że w warunkach bojowych opiekunowie zwierząt nie zawsze są w stanie przebywać na tyle blisko, by móc komunikować się z nimi za pośrednictwem wskaźników laserowych lub gestów. Psy w goglach widzą otaczający je świat, dzięki czemu mogą po nim normalnie się poruszać, ale jednocześnie są im wyświetlane komendy wizualne, wydawane przez bezpośrednich przełożonych. Pierwsze testy nowego rozwiązania zakończyły się sukcesem, dlatego jego upowszechnienie się, nie tylko w amerykańskich siłach zbrojnych, wydaje się kwestią czasu. Szkoda, że Szarik tego nie dożył...



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytyści: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chlečka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Paweł Althamer, Artur Żmijewski

PIEŚŃ OSTATECZNA



Patronat **PRZEGLĄDU**

Althamer i Żmijewski, oddani idei Formy Otwartej Oskara Hansena, debiutowali w latach 90. Od tamtego czasu wpisują się w kanon sztuki polskiej i światowej. Krakowskie muzeum sztuki współczesnej prezentuje 20 kolaży ich autorstwa z lat 2017-2019. Zbudowane są z wycinków z książek – począwszy od erotycznych i pornograficznych publikacji Taschena, przez albumy przyrodznawcze i anatomiczne, po atlasy historyczne oraz naukowe. Wielowarstwowe, malarskie prace mają wyraźną fakturę, barwę i gęstą kompozycję. Wojna, Shoah, cierpienie, erotyka to niektóre wątki pojawiające się na wystawie. Zupełnie nie ma polityki, do której artyści przyzwyczaili publiczność przez lata walki na polu sztuki krytycznej. Nie ma też wezwań do zrywu czy opiewania rewolucji. Zamiast tego jest refleksja poświęcona poezji i sztuce.

Galeria Beta, MOCAK
Kraków, ul. Lipowa 4
Od 29 października 2020
do 14 marca 2021

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Martwa natura

**Adamczyk, Artman, Atman,
Bożek, Czachor, Jakimiak,
Januszaniec, Keil, Nowacka,
Nowacka, Stoczyński, Wolińska**

**prapremiera: 7 listopada 2020
kolejne pokazy: 8, 10 i 11.11**

Martwa natura to zbiór elegii, które pozwalają nam nie tyle przepracować stratę, ile uświadomić sobie, co niesie ze sobą świadomość braku i nieobecności. Być może świat, który znamy, zaczyna odchodzić w niepamięć, ale stworzenie nowego porządku – społecznego, instytucjonalnego, artystycznego – będzie trudne do przeprowadzenia, jeśli nie będziemy wiedzieć, z kim i z czym musimy się pożegnać.

Joseph Beuys – aktywista i niepokorny artysta, nieugięty rzecznik troski o środowisko naturalne – stanowi punkt wyjścia dla wędrówki po tych terytoriach sztuki, które są podejrzewane o właściwości terapeutyczne.

Patroni
medialni

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

ojojosi.granica24



Spektakl w ramach projektu Beuys
dzięki wsparciu Fundacji Współpracy
Polsko-Niemieckiej



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

• TEATR CAPITOL •

SCENOGRAFIA
Marek Chowaniec

KOSTIUMY
Tomasz Jacyków

OPRACOWANIE MUZYCZNE
Jerzy Mączyński

REŻYSERIA

Jerzy Bończak

PRZEKŁAD

Elżbieta Woźniak

Ray Cooney

Kochane pieniądze

PREMIERA
PAŹDZIERNIK
2020



Alžbeta **LENSKA**



Mikołaj **KRAWCZYK**



Lesław **ŻUREK**



Andżelika **PIECHOWIAK**



Jarosław **RABENDA**



Ilona **WRÓŃSKA**



Tomasz
SCHIMSCHNER



Anna **KORCZ**



Wojciech **WYSOCKI**



Hiroaki **MURAKAMI**



Waldemar **OBŁOZA**



Robert **MOSKWA**



Aleksander **MACHALICA**



Sebastian **KONRAD**



Marcin **TRÓŃSKI**



Andrzej **POPIEL**



Robert **WABICH**

Teatr Capitol jest partnerem artystycznym
i kulturalnym partnerem Miasta
Warszawy w ramach projektu
„Teatr w Warszawie”

• KUP BILET •
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl